

TIM DONNELL

CONAN I WIDMO
PRZESZŁOŚCI

PRZEKŁAD ELŻBIETA DELIS-MODZELEWSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN I PRIZRAKI PROSZŁOGO, PLENNIKI BEZDNY

CONAN I WIDMO PRZESZŁOŚCI

I

Oślepiające pomarańczowe słońce — boskie oko Mitry — powoli, majestatycznie wznosiło się nad ziemią, spychając noc za horyzont. Miękkie, ciepłe promienie wnikały do pałaców, domów, chałup i nor. Ogrzewały i budziły, dając obietnicę jasnego dnia i czystego nieba. Noc, utraciwszy swą władzę, odchodziła z niechęcią. Ostatki mroków zalegały jeszcze w lasach i pod murami miasta, lecz i one blakły dotykane słonecznymi błyskami. Wreszcie noc przeszła do innego świata, świata tak starego, że poza Światłem i Mrokiem niczego tam nie było. Ziemia westchnęła, jakby próbując uchwycić ostatnie mgnienie odchodzącego w ślad za nocą snu, i przebudziła się. Nastął dzień.

Na południu Poitanii, tam gdzie widniały ciemne, lodowate wody rzeki Alimane, a w oddali połyskiwały w słońcu Góry Rabiryjskie, na czystej równinie przycupnęło trzydzieści drewnianych chat. Ludzie orali tu ziemię, hodowali i sprzedawali bydło, i zajmowali się polowaniem. Żyli tak jak ich przodkowie i jak żyje się dzisiaj. Wokół równiny toczył swe wody czysty szeroki strumień, w którym nigdy nie brakowało ryb. Okoliczni chłopcy przepadali nad jego brzegami, by całymi dniami brodzić z podwinętymi nogawkami w wodzie, zagarniając ją rękami. Wieczorem w każdej torbie poruszało się niemrawo kilka tuzinów wspaniałych, tłustych ryb.

Na skraju wioski — tak maleńkiej, że nawet nie miała nazwy — żył najbardziej leniwy i najbiedniejszy gospodarz. Utrzymywał się tylko z przyjmowania ludzi na nocleg. Obok jego starego domu przebiegał uczęszczany trakt i dla człowieka, który znalazł się tu nocą, świecący w oknie ogieniek oznaczał zawsze zaproszenie. Podróżnik podjeżdżał do ganku i wkrótce za kilka miedziaków stawał się mile widzianym gościem.

Tego ranka Igrat wstał niespodziewanie wcześnie. Zazwyczaj budził się koło południa lub nawet później i stękając, zwlekał się z drewnianego wyrka, pokrytego gałganami o trudnej do określenia barwie — choć uważne spojrzenie bez trudu rozpoznałoby w niej kolor zwykłego brudu. Szedł do stołu, gdzie poniewierał się wieczorem kawałek zeschniętego chleba, zjadał go i z ciężkim westchnieniem wychodził na dwór. Stał tam jakiś czas i drażnił się leniwie z sąsiadami, a gdy znudziła mu się ta zabawa, wracał do domu. Do samego zmroku siedział na taborecie przy stole, wpatrzony w płamę brudni na ścianie, albo gapił się bezmyślnie w okno. Potem usta Igrata otwierały się w szerokim ziewnięciu, oczy mu mętniały, powieki opadały i znów człapał do drewnianej pryczy, gdzie z westchnieniem ulgi zagrzebywał się w szmaty. Niebawem wczesne przebudzenie zdziwiło nawet jego. Z pierwszymi promieniami słońca podskoczył, nalał na dłoń wodę z kubka i przetaił twarz. Świat od razu nabrał wyrazistości i gospodarz ucieszył się niezmiernie, bo obawiał się już, że zaczyna ślepnąć. Zapominając o zjedzeniu chleba, wybiegł na dwór. Drzwi szopy były jeszcze zamknięte, więc Igrat przykleił się do szczeliny w ścianie i wpatrzył się w mrok.

Goście spali. Jeden mamrotał przez sen, inny postękiwał, pozostali pogrążeni byli w słodkim zapomnieniu. „Szczęśliwcy — wyszeptał gospodarz, przyglądając się twarzom, które oświetlały padające przez szczeliny promienie słońca. — Gdybym ja wypił tyle piwa, też bym tak spał...” Zupełnie zapomniał, że i bez piwa spał tak każdego dnia. Lecz nawet w głowie mu nie powstało, by mieć to gościom za złe. Dzięki nim wieczorem śmiał się jak nigdy dotąd. No, może w dzieciństwie, ale dzieciństwa nie pamiętał. Dwunastu mężczyzn i kobieta, których przyjął pod swój dach, okazali się komediantami i zarabiali na życie pokazywaniem wszelakich sztuczek. Skakali przez głowę, robiąc salto w powietrzu, łykali ogień i noże, przyczepiali sobie sztuczne nosy i włosy, naśladując innych ludzi — jednym słowem, wyprawiali prawdziwe błazeństwa. Nie mogli zapłacić gospodarzowi za nocleg nawet jednej złotej monety, ale pokornie wziął od nich dziesięć miedziaków i przyjął ich u siebie. Do tej pory widywał takie trupy tylko na jarmarkach, i to w tłumie mokrych od potu ciał, a teraz jemu — chwała ci, Mitro! — przypadł zaszczyt gościć we własnym domu tych wesołków,

tych... Ale, chyba jeden się przebudził... Gospodarz jeszcze mocniej przytknął oko do szczeliny, ale nie zdecydował się zawołać komedianta, bojąc się obudzić pozostałych. Nie mógł rozpoznać, który to z nich. Mało zresztą prawdopodobne, by go sobie przypomniał — wszak widział ich tylko przez jeden wieczór. Jak się nazywają? Te trzy ogromne tłuściochy to Hugo, Ulino i Zazała. Rudy to Mado... A może Mado to ten okrągły jak bułeczka? Nie, chyba jednak rudy. Tego maleńkiego wołają Bacherem albo Micherem... Urodziwy i smutny nazywa siebie Senizonną, a piękny wesolek to Agrej. Ta dwójka markotnych, wyłysiałych, bladych istot to Kuk i Lakuk; wprost niemożliwe, by tak nazwać ludzi — sami musieli wymyślić sobie te imiona. Najważniejszy z nich jest Leonso. Mocny, zdrowy chłop — takiego by pod wierzch, a niechby i na siodło, i w bój — a on komediantami dowodzi! Ksant i Jenkin, jego dwaj synowie, to komedianci jak wszyscy: dobrzy chłopcy, dobrodusznicy i weseli. Kobieta ma na imię Welina i jest u nich kimś w rodzaju gospodyni. Jedno spojrzenie wystarczy, by się przekonać, że smągła ślicznotka jest zakochana w jasnowłosym dowcipniku Agreju. Chyba dobrze wszystkich pamięta... Ale kto tam się przewraca? Może wśliznąć się po cichu do szopy i wyciągnąć go? Tak ciekawie słucha się przejezdnych, a jeszcze komediantów! I opowiedzą, i pokażą... Gospodarz uśmiechnął się na wspomnienie minionego wieczoru. Ale do szopy lepiej jeszcze nie wchodzić. Obudzi ich, a oni uznają, że gospodarz marudny, i przejdą do kogo innego. Komediantów każdy przyjmie, nawet bez pieniędzy, byle tylko zostali. Nie. Igrat odszedł zdecydowanie od szopy i poszedł do domu. Lepiej poczekać, aż się obudzą.

Etej jęknął cicho i poprawił wiązkę siana pod głową. Rzeczywiście, wypili wczoraj morze piwa. Teraz ma w ustach obrzydliwe uczucie, jakby demony wypluwały tam swe brudne ogony. I w głowie dudni... Kiedyś przed bojem dał tak w róg nemedyski dziesiętnik, pod którym Etej służył. Etejem nazwali go Zuagirczycy. W ich dziwnym języku, stanowiącym jakąś ludzko-zwierzęcą mieszaninę, jego imię oznacza strzelca, oczywiście dobrego. Od dawna już nikt tak nie nazywa, przestał już zresztą być zręczny jak wiewiórka, silny niczym lampart i odważny jak lew. Bratem i siostrami byli mu łuk i strzały; rozmawiał z nimi, żartował i kłócił się, a po bitwie czyścił je troskliwie i ponownie zarzucał na plecy. Ależ głowa mu pęka... A jeszcze gospodarz gapi się przez szparę, wyraźnie oczekując ich przebudzenia. Zabawić by się chciało? Zabawimy. Tylko nie teraz i nie ciebie samego. Strzelec wyciągnął delikatnie spod siebie zdrętwiałe ręce, poruszał palcami i wbił wzrok w obleczony wytartą czarną skórą zad tego wyniosłego bałwana. Wylać by do Nergala jego i całą tę kompanię i osiedlić się jak najdalej od ludzi, i najlepiej gdzieś w leśnej głuszy, aby przez cały czas, jaki pozostał do Szarych Równin, nie słyszeć nawet jednego ludzkiego słowa! Jeden Mitra wie, jak męczy go to nieustanne pijaństwo i wesele, i jak z każdym dniem coraz trudniej jest przywdziewać na twarz uśmiech błazna. Przecież jest przygłupem! Tak właśnie nazywają ich, komediantów, i mają rację! Wszak jemu samemu nieraz zdarzało się kopnąć w tyłek wypacykowanego błazna z trupy wesoleków. Niechby go zobaczyli teraz Zuagirczycy czy nemedyscy wojownicy. Ale mieliby radość! Być może nawet chętnie by ich zabawili. Oczywiście nie za darmo.

Strzelec przymknął powieki, słuchając sapania gospodarza i szelestu myszy w słomie. Obrzydliwość! Wreszcie jednak gospodarz odkleił się od ściany i poszedł. Pewnie zdecydował, że nie będzie niepokoił gości. Etej położył się na plecach, podłożył ręce pod głowę i tak zastygł. Gdzie się podziało jego dawne życie? Może zobaczy je znowu, ale już z Szarych Równin... Będą tam płynąć ciężkie, mokre chmury, dzień i noc połączy się w jedno, stojące niewzruszenie u wrót stare demony będą wszystkich wpuszczają, ale nikomu nie pozwolą wyjść. Może wtedy zacznie się prawdziwe życie? Kto wie... Wszak nikt jeszcze stamtąd nie wrócił. Gdyby Etej był pewien, że tam czeka go prawdziwe życie, sam odszedłby na Szare Równiny. Fu, co to za smród?

Pogrzebał w słomie, znalazł kawałek ostrego patyka i z całej siły wetknął go w rozśpiewany na całą szopę, a przede wszystkim prosto w jego nos, zad.

— Aj!

Jego biedny właściciel podskoczył i rozcierając ręką zranione miejsce, popatrzył na Eteja z wyrzutem. Lecz twarz strzelca była obojętna i dopiero gdy ukłuty potrząsnął jego ramieniem, Etej zaśmiał się, poderwał się na nogi i pchnął przyjaciela w siano. Szum rozbudził pozostałych. Z piskiem i krzykami rzucili się na szarpiący się w sianie kłębek i zaczęła się żartobliwa bijatyka. Gospodarz, który czujnie wyczekiwał przy oknie swoich gości, z zadowolonym posapywaniem podreptał do szopy. Teraz właśnie zaczął się dla niego dzień.

— No co, śmierdzące psy — odezwał się wesoło Leonso, mrugając do kamratów. — Nie

chcecie piwa?

— Chcemy! — wrzasnęli i rzucili się do stołu, przepychając się w nadziei zajęcia siedzącego miejsca. Leniwy Igrat miał tylko cztery taborety i jeśli nie liczyć gospodarza, na każde siedzenie przypadało trzech ludzi. Tak więc tylko Leonso, grubasy Hugo i Zazała oraz rudy Mado zajęli twarde siedziska. Mniej obrotni wcale się tym nie przejęli i z pokrzykiwaniami gramolili się na kolana swoich przyjaciół. Gospodarz pozostał bez miejsca i patrzył z rozczuleniem na wesołych gości. Postawił na stole dwanaście kufli piwa i przyniósł ze schowka za drzwiami ogromny, zawinięty w płótno bochen chleba.

— Opowiedz co wesołego, Lakuk — zaproponował Leonso, oblizując pianę z warg. Rudy Mado zachłysnął się piwem i przechylił do tyłu. Agrej i Ksant przytrzymali go, by nie spadł z taboretu, a on śmiał się, pokazując równe, drobne, żółtawe zęby.

— Dobrze mówisz, Leonso! Lepiej od Lakuka nikt nie opowiada. Wszyscy parsknęli śmiechem, spoglądając z ukosa na ponurą fizjonomię Lakuka. Nieszczęśnik dzielił rozkoszne miejsce na kolanach Hugo z grubym Ulinem, toteż zjeżdżał co i raz z tłustego uda przyjaciela, co wcale nie poprawiało jego nastroju.

— Dlaczego się śmiejesz, Mado? — zwrócił się ze smutkiem do towarzysza. — Czy zrobiłem coś śmiesznego?

— Przyjacielu, ty nie musisz niczego robić — odpowiedział rudy, czkając — Samej twojej mordy wystarczy, by rozweselić nawet bezmózgiego demona.

— Nie wspominaj demonów, Mado! — wykrzyknęła z przestachem Welina, która dzieliła kolana Zazały z ponurym Senizoną.

Siedzący na drugim kolanie tłuściocha Jenkin mrugnął na rudego.

— Nie wspominaj demonów! — odśpiewał kpiąco. — A jak nie, to ci coś odgryz-ą...

Mado zapiszczał i zaśmiał się znowu, wycierając łzy. Biała, piegowata twarz poczerwieniała i przybierając kolor szopy ognistych włosów, upodobniła się do podgniętego owocu krzaka pomidorów. Malutkie, pełne wdzięku ręce wczepiły się kurczowo w kołnierz skórzanej kurtki, odrywając go niczym węża, a wyblakłe szare oczy zmętniały. Patrzący z rozczuleniem na gości gospodarz zaczął już pisać radośnie, chociaż nie pojął, co śmiesznego powiedział Jenkin — lecz natychmiast zauważył, że nikt inny się nie śmieje. Wprost przeciwnie, twarze komedianów przybrały nieoczekiwane jakiś nieobecny, nawet uroczysty wyraz. Niektórzy odsunęli się, a inni opuścili wzrok i tylko od czasu do czasu popatrywali ukradkiem na przyjaciela.

Speszony gospodarz zaniósł się kaszlem. Domyślił się, o co chodzi, i jako człowiekowi z natury łagodnemu zrobiło mu się szczerze żal rudego Mado. Niespodziewanie przyszła mu do głowy myśl: A gdyby tak wziąć go do siebie? Jego dusza zadrżała. Igrat rzadko czuł cokolwiek poza głodem, chłodem i pragnieniem szybkiego zaśnięcia i teraz trudno mu było połapać się w swoich odczuciach. Ba, nie wiedział nawet, że powinien się w nich połapać. Jednakże myśl, by przyjąć do siebie cierpiącego na epilepsję komedianta, trzymała się go uporczywie. Zaledwie parę chwil zajęło mu przemyślenie, czym go będzie żywił i czym zapłaci lekarzowi z sąsiedniej wsi za wyleczenie chorego, w którym kącie wymości sobie leże z siana, jako że jego drewniane wyrko zajmie teraz oczywiście Mado, jak będą spędzać dni i...

W tej chwili atak choroby minął i twarz rudego zasnuł mrok. Popatrzył ze złością na towarzyszy, wsunął palec do ust i zaczął gryźć paznokiec, mamląc ciche przekleństwa. Igrat westchnął z ulgą. Jak to dobrze, że nie zdążył obwieścić o swych zamiarach, teraz bowiem rudy Mado z mokrą od łez i śliny twarzą wywoływał w nim tylko niechęć. Bardziej ze skrępowana aniżeli z konieczności przetaił szybko połą kurtki skraj stołu i odszedł w najciemniejszy kąt. Przysiadł w kucki i w oczekiwaniu i dalsze wydarzenia obserwował gości.

— A ja coś wymyśliłem! — obwieścił, jakby nic nie zaszło, siedzący na kolanie Leonsa okrągły jak bułeczka Micher.

Zapanowało ożywienie. Starając się nie patrzeć na Mado, komedianci pilnie przyglądali się Micherowi.

— Słuchajcie uważnie, wy wyschnięte kawałki łajna starej wielbłądzy! — zabasował uroczyście, podskoczył i stanął mocno na małych, tłustych nóżkach. Wypinając chępliwie pierś, tak że uwidoczniły się wszystkie wałki tłuszczu, najwdzięczniej jak potrafił machnął krótką rączką, uniósł rzadkie, bezbarwne brwi i otworzył usta, jakby chciał pokazać przyjaciołom coś niezwykłego. W tej chwili zza pleców Agreja i Ksanta rozległo się gniewne syknięcie. Komedianci wzdrgnęli się i wszyscy jak jeden spojrzeli na Leonsa. Ten westchnął i patrząc na rudego, surowo ściągnął brwi.

— Nie pora się uspokoić, Mado? — spytał.

— Ha, ha, ha — roześmiał się rudzielec, dzieląc starannie sylaby. — Wszyscy wiedzą, że

ten tłusty wyrodek nie umie powiedzieć składowi nawet dwóch słów.

— Jakiś ty niedobry, Mado... — wyjęczał płacząco Micher, ale nie obraził się ani trochę. Igrat zastępnął w swoim kąciku. Teraz całkiem zapomniał o niedawnym zamiarze przygarnięcia chorego i tylko ze zdumieniem zastanawiał się, jak oni mogą go znieść. Lecz gdy w chwilę później Mado zaświstał niczym jemioluszką, patrząc swawolnie na kompanów, gospodarz pokiwał głową z aprobatą. Rudzielec był świetnym naśladowcą i Igrat ponownie poczuł przypływ czułości. Mado odśpiewał pieśń słowika, udał wizg orła, po czym w jego gardle rozległ się jakby trzask i zachwyceni słuchacze usłyszeli daleki grzmot, drżący plusk wody przed burzą, szum liści i cichy płacz niemowlęcia, które młoda matka zostawiła w ciemnej izbie... Igrat słuchał ze łzami w oczach — czegoś takiego nigdy jeszcze nie słyszał. Poczuci, że znowu kocha rudzielca. Pod wpływem natchnienia twarz Mado zaczęła się zmieniać. Czyste białka skierowanych w górę oczu błyszcząły niczym poranna rosa w promieniach słońca, gęste, niemal czerwone rzęsy drgały lekko, a zbiełała skóra nabrała takiej Przejrzystości, że doskonale widać było niebieskie żyłki. Dobry Igrat pociągnął nosem i, straszliwie skrępowany, zapłakał nagle, wycierając łzy sztywnym od brudu rękawem. Mado zakrzuszył się i umilkł, obojętnie wpatrzony w gospodarza. W jego duszy natychmiast zapanowała pustka i jego twarz zmiękła się: oczy przygasły, wargi opadły gderliwie, policzki obwisły... Lecz Igrat tego nie widział. Sztuka poraziła go w samo serce i rudy Mado pozostał dla niego piękny i uduchowiony niczym lekki obłok, jak topolowy puch, jak rzadkie, ledwie dające się wyczuć, a zawsze bardzo bolesne wahania duszy. Wszystkie te odczucia przekazał rudzielcowi spojrzeniem, lecz ten wzruszył tylko ramionami, mruknął coś i odwrócił się.

— Piwo się skończyło! — burknął niezadowolony, zaśmiał się nagle dobroduszenie, przychylił się i ugryzł w ramię posmutniałego Agreja. Jasnowłosy chłopak podskoczył, zakwicział jak prosiaki i palnął Mado dłonią w czoło. Rudzielec zamachał rękami i zwał się na podłogę, ciągnąc za sobą Ksanta. Starszy syn Leonsa przekręcił się, chcąc zasiać na nim okraciem, ale w tej samej chwili odskoczył na trzy kroki. Ręce Mado były delikatne ale żylaste i naznaczone wypukłościami żelaznych mięśni. Teraz do walki włączył się ugryziony Agrej. Zwał się całym ciężarem na rudzielca, a ryczący i ujadający Ksant podpełzał na czworakach i chwycił Mado za nogi. Potoczyli się po podłodze, zanosząc się śmiechem i żartobliwie, choć ca zdecydowanie, okładali się wzajemnie.

Gospodarz z rozczuleniem patrzył na bijatykę. Nigdy jeszcze nie widział tak wesołych i zarazem tak obdartych ludzi. Jeszcze raz pobłogosławił Mitrę. Nie miał wątpliwości, że to niebiosą zeszły mu tych wspaniałych błaznów. Nie spuszczać oczu z szamoczącego się na podłodze kłębu, pospieszył, by przynieść gościom ostatnie zapasy piwa.

Wyskoczył za drzwi i przywarł plecami do ściany. Na jego twarzy błędził uśmiech szczęścia, bo też naprawdę był szczęśliwy. Nie wiedział jeszcze, co będzie dalej, lecz nie miał wątpliwości, że za żadne pieniądze — choć nikt mu ich nie proponował — nie rozstanie się z tymi ludźmi. Pomyślał, że mógłby zbierać opłatę za przedstawienie albo im gotować. W końcu umie głośno śpiewać, no i chodzić na rękach... Westchnął z żalem nad swymi niewielkimi zdolnościami, oprzytomniał nieco i ruszył do piwnicy po piwo.

Nadeszła noc i Etej rozkleił się całkiem. Wesołość męczyła go tak samo jak bezsenność, która szczególnie nasiliła się w ostatnich czasach. Samopoczucie strzelca pogorszyło się tak bardzo, że zaczął podejrzewać u siebie jakąś nieznaną chorobę. Jak inaczej wyjaśnić tę nieustanną słabość, worki pod oczami, wysychające przy każdym oddechu usta... Na razie nikt tego jeszcze nie zauważył, ale... Uśmiechnął się kwaśno. A jeśli nawet zauważą, to co? Choroba nie oznacza przecież złych intencji. Nikt nie może domyślić się jego prawdziwych zamiarów.

Zwał się na siano, zakopał głębiej i zamarł w nadziei, że kamraci go nie ruszą. Był bliski rozpacz. Czy uda mu się wypełnić to, co zamierzał? Czy Mitra nie wstrzyma jego karzącej ręki? Nie, odpowiedział sobie z przekonaniem. Mitra nie będzie go zatrzymywał. Chyba Nergal, który spłodził tego wyrodka... W głębi duszy Etej nie był pewien, czy sam czasem nie jest jego dzieckiem. Ostatecznie i tak nie widział żadnej różnicy: Światło czy Mrok, Niebo czy Ziemia, z rzadka tylko poruszały go te sprawy, a i to raczej z nawyku. Dawno już pojął, że nie ma niczego poza Wielkim Życiem i Wielką Śmiercią, której schronienie — Szare Równiny — tak przeraża prosty lud i jego żalonych władców. On, Etej, wolny strzelec, z pogardą patrzył na zwierzęta nazywające siebie ludźmi. Lekki stosunek do własnego nieistnienia był im równie obcy, jak kotu czy psu brak apetytu. Nawet najsilniejsi i najmężniejsi z nich, którzy nieraz znajdowali się o pół kroku od Szarych Równin, woleli jednak Życie. On sam jednakowo traktował Życie i Śmierć. Było mu wszystko jedno, a w

każdym razie tak o sobie myślał. Nic nie trzymało go na Świecie, tak samo jak nic nie ciągnęło go w Mrok. Lecz tamten... Tamten powinien pierwszy odejść na Szare Równiny. Powinien. Chociażby dlatego, że wyraźnie nie było mu tam spieszno. Westchnął spazmatycznie. Oj, Mitro, niedobrze... Miał wrażenie, jakby głowę ścisnęła mu żelazna obręcz Pantedra, upośledzonego na umyśle kata Zuagirczyków. Strzelec nigdy nie doświadczył tej tortury, ale naturze komedianta nietrudno było sobie ją wyobrazić. Zaciśnął zęby. Poczuł, jak Pantedr ze swym obrzydliwym uśmieszkiem nakłada mu na głowę obręcz, dokręca gwinty i... Nagle pociemniało mu w oczach od strasznego bólu. Przez chwilę leżał nieporuszenie, jak gdybym stracił nadzieję, że przeżyje. Jego życie nie było naprawdę ważne, lecz gdyby zginął, nie dokonałaby się jego zemsta. Jak przez sen słyszał pomruki przyjaciół i cichy śmiech kobiety. Ból ustępował powoli. Zlizując krew z warg, Etej rozluźnił ręce, potem nogi, wreszcie całe ciało... Głosy z głębi szopy stały się wyraźniejsze i w zapadającym zmroku zobaczył jakąś postać. Już od kilku dni na nią czekał. W odzieniu czarniejszym od nocy, z białymi, ślepyimi oczami i długimi, smukłymi palcami. Taką ukazywała mu się w dzieciństwie, taką widział przed strasznym bojem z piratami, kiedy tylko on jeden przeżył... Teraz jednak nie przeraził go jej straszliwy wygląd. Wiedział, że przyjdzie, wiedział, że tylko on ją ujrzy. Tylko on... Uśmiechnął się. Może pozwoli mu dotknąć skraju swej szaty? Może to pomoże znaleźć odpowiedź, czy spełni się zemsta — jedyny cel jego istnienia w ostatnich latach. Strzelec wyciągnął rękę, ale postać nieoczekiwanie rozplynęła się w mroku. Jęknął rozczarowany. Zniknęła tak szybko, że nawet nie zdążył o niej pomyśleć. Skulił się w sianie jak w łonie matki i tak pozostał. Nie ruszał się. Był człowiekiem z innego świata, lekkim, wolnym... A może tak mu się tylko zdawało?

II

Smukłonogi trzylatek z długą grzywą jedwabistych włosów parsknął, patrząc z ukosa na Conana fioletowym okiem. Jego spojrzenie było zdecydowanie życzliwe. Nowego właściciela poznał dziś rano, gdy karawana z Koryntii z towarami i podarunkami dla aquilońskiego władcy dobiła wreszcie do wrót Tarancji. W królewskiej stajni natychmiast zdjęto z gniadego konia uprząż, wyczyszczono go, napojono i okryto miękkim, kwiecistym czaprakiem z frędzlami na rogach. Król patrzył na niego, nie kryjąc uśmiechu zadowolenia, a za jego plecami dziesięciu koniuchów klóciło się szeptem, usiłując wywalczyć sobie prawo doglądania smukłego rumaka.

— Mendus! — burknął Conan, nie odrywając oczu od podarunku.

Niewysoki chłopak, który dwa księżyce temu przybył z północnej wioski na podbój stolicy, oblizał pospiesznie zaschnięte z podniecenia wargi i podszedł do władcy.

— Głową za niego odpowiadasz!

Twarz koniucha rozplynęła się w szczęśliwym uśmiechu. Podziękował królowi niskim pokłonem, rzucił na starszego triumfalne spojrzenie i gospodarskim gestem poklepał konia po kłębie.

Conan zostawiał swoje włości, będąc w doskonałym usposobieniu. Po raz pierwszy od wielu dni opuścił go ciężki, mroczny nastrój, wynikły z połączenia trwogi i nieustannego napięcia. Zniknął bez śladu. Poczuł, jak mięśnie rąk, ramion i potężnej szyi rozluźniają się. Nagle króla opanowała nieznośna chęć zdrowej upitki i mimo woli przyspieszył kroku. Niech Nergal weźmie wszystkich buntowników, zwłaszcza że właśnie zostali bezlitośnie rozbici przez Czarne Smoki. Niech zabierze też tego zdrajcę Goro — już niedługo uda się tam prościutko z Żelaznej Wieży. Kogo jeszcze? A niechby wszyscy się do niego przenieśli, machnął ręką Conan. Splunął z lubością, kopnięciem nogi rozwarł ciężkie drzwi, naznaczone u dołu śladami jego butów, i wszedł do pałacu. Zrzucił na usługne ręce sługi jedwabny, wyszywany w złote gwiazdy płaszcz i kilkoma skokami pokonał drugie, szerokie marmurowe schody. Znalazł się w niewielkiej, przytulnej i niemal pustej sali, gdzie zwykł przyjmować skrzywdzonych i poniżonych, niesprawiedliwie skazanych, i innych będących w potrzebie. Ukryte drzwi wiodły stąd do wspaniałych komnat, wysłanych grubymi i miękkimi jak wodorosty turańskimi dywanami, z ciężkimi kotarami na ogromnych niemal na całą ścianę oknach i prostymi, lecz eleganckimi, dębowymi meblami. Było to ulubione miejsce odpoczynku króla.

Conan przemierzył salę długimi krokami, skręcił za wspaniałą chiński fotel z wysokim, wąskim oparciem, na którym siedział w czasie przyjęć, i zniknął za srebrzystoszarą aksamitną zasłoną. Po drodze uderzył jeszcze z rozmachem w wiszący na ścianie dzwon z nieznanego dotąd ciemnożółtego stopu, podarunek shemickiego kupca. Rozległ się lekki dźwięk i po

kilku zaledwie chwilach przez salę przeszedł pospiesznie stary sługa z tacą w rękach. Od dawna już znał przyzwyczajenia króla. Wszystkie potrzebne rzeczy przechowywane były w pobliżu — wielki srebrny kubek, przysłany aquilońskiemu władcy w darze przez tego samego shemickiego kupca oraz wysoki dzban z wąziutką szyjką — kunsztowne dzieło jubilera Farnana. Pękate boki wyrobu zdobił najsubtelniejszy i najbardziej wyrafinowany grawerunek, przedstawiający Conana—barbarzyńcę, Conana—Amrę i Conana—króla w różnych chwilach burzliwego życia dostojnego męża: na statku piratów i na arenie gladiatorów, w pustynnych stepach Hyrkanii i w drodze do podziemnego chramu Mitry z mieczem i toporem — pragnącym krwi Rana Riordoja... Jubiler nie znał szczegółów tych przygód. Dzieło swe stworzył według krótkiego, dokładnego opisu samego króla, który oddając się od czasu do czasu wspomnieniom, zapragnął zamówić u mistrza obrazy swego życia — nie po to, by prezentować je gościom, lecz dla siebie samego.

Jednak Conan rzadko oglądał swój dzban. W tych komnatach bywał tylko wtedy, gdy pozwalały mu na to okoliczności lub jego własny nastrój. Sprawy ostatnimi czasy nie przedstawiały się najlepiej, zrozumiałe więc, że samopoczucie aquilońskiego władcy nie sprzyjało tym wizytom. Prowincje stałe się buntowały i do ich poskramiania trzeba było wysłać ze stolicy doborowe wojska. Nie zawsze wracały do Tarancji w pełnym składzie, gdyż buntownicy walczyli zażarcie jak wilki. Na granicy z Nemedią niemal każdego dnia były potyczki i udające się na wschód karawany z towarami zmuszone były do podejmowania okrężnej drogi przez Ophir lub Koth. Z pozoru pokorne i oddane nowemu królowi psy Numedidesa zaczęły nagle pokazywać kły, lecz nie jawnie, ale cichcem. Wierny Pallantyd ze swymi gwardzistami długo dławił ich bunt.

Tego ranka jednak Conanowi zdawało się, że ma to wszystko za sobą. Smukłonogi gniadosz rzadkiej rasy, wspaniały, iście królewski dar z Koryntii, położył, zda się, kres klęskom. Ostatni zdrajca siedzi już w Żelaznej Wieży, bunt uśmierzone, a karawana z Koryntii, wprawdzie okrężną drogą, dostarczyła aquilońskiemu władcy cudownego konia. Conan siedział w głębokim, miękkim fotelu wyrobu tarancyjskich mistrzów i z lubością popijał czerwone wino, które zostało w piwnicach jeszcze po poprzednim władcy. Lecz jeszcze bardziej od wina radował go własny nastrój — lekki i jasny niczym promień słońca. Nie musiał o niczym myśleć. Dawno już nie miał tak spokojnego dnia.

— Panie... — dobiegł go ledwie słyszalny zza zamkniętych drzwi głos.

— Kogo tam znowu niesie? — warknął, nie oglądając się.

Przez chwilę poczuł w sercu ukłucie niejasnej trwogi, ale odegnał ją natychmiast. Ostatnimi czasy przyswoił sobie idiotyczny zwyczaj oczekiwania złych wieści. Wieczna czujność dręczyła go najbardziej. Tym razem jednak Alban, dziesiętnik Czarnych Smoków, nie przyniósł mu złej wiadomości.

— Panie... Wybacz, że niepokoję cię w ten błogosławiony czas odpoczynku, gdy dusza twoja znajduje się...

— Twoja mowa długa jak sam Set! Krótko, Alban! — przerwał mu z rozdrażnieniem Conan.

— Niejaki Peljas prosi cię o przyjęcie, władco — wyklepał dziesiętnik, przestępując z nogi na nogę.

— Peljas? — wzdrygnął się Conan. — Czego mu trzeba? Dawaj go tutaj!

Alban szarpnął się całym ciałem, co najwyraźniej miało oznaczać pełen uszanowania pokłon, i jak strzała wyskoczył za drzwi.

— Tylko delikatnie, ośli pomioście! — zaryczał Conan w ślad za nim, odchylając się na oparcie fotela. Czego znowu chce ten Peljas? Króla łączyły z magiem zupełnie dobre stosunki, ale nieufność, którą odczuwał wobec wszelkiego rodzaju czarodziejów, przeszkadzała powstaniu prawdziwej przyjaźni. Czarny mag, biały mag — jak zajrzeć w jego duszę? Kto może zagwarantować, że biały mag nie zostanie w pewnej chwili tym najczarniejszym, a czarny nie postanowi zawładnąć całym światem? Cóż, w czasie długiej drogi, jaką Conan przeszedł w swym życiu, widywał zbyt wiele przemian czystego w brudne, a brudnego w cuchnącą bagienną zgniliznę, i nauczył się ufać tylko prostym i przejrzystym ludziom. Ludziom takim jak on sam, Alban, Pallantyd, kapitan jego Czarnych Smoków, jak hrabia Prospero, jak... Wielu ich — oddanych, uczciwych, prawdziwych! Nieraz już stawali z nim ramię w ramię w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, nieraz byli gotowi zasłonić go własnym ciałem... A Peljas? Kto go tam wie...

— Nad czym tak się zadumałeś, przyjacielu? Czy nie o mnie myślisz? — Wysoki, przystojny siwowłosy mag pojawił się cicho jak kot. Pokłoniwszy się, poprosił o pozwolenie na spoczynek i po krótkim skinieniu głowy władcy zasiadł swobodnie w fotelu naprzeciw.

— Jakie wiatry cię tu przywiały? — spytał uprzejmie Conan, dając znak pojawiającemu

się w drzwiach słudze.

— Dzięki ci, mój panie, rzeczywiście nie odmówię łyeczka dobrego czerwonego wina.

— Zaraz je przyniosą. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — zmarszczył się król.

— Ach, wybac mi, wybac, przyjacielu. Podróż była długa i jestem zmęczony... Jakie wiatry, pytasz? Chyba zachodnie... Ale... — Mag podniósł rękę. Z przykrością zauważył, że Conan zupełnie nie Jest w nastroju na lekką rozmowę. — Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Widzę, że opanowały cię niewesołe myśli.

— Mylisz się, Peljasie. Zanim przyszedłeś, czułem się doskonale. Teraz jednak, klnę się na Croma, mój nastrój pryska z każdym wydechem. Nie przywykłem trzy razy powtarzać pytania.

— Znowu powinienem prosić o wybaczenie. Nie chciałem jednak, panie, od pierwszego słowa zaczynać poważnej rozmowy. Wypijmy parę łyków, bo gardło mi wyschło w podróży, i natychmiast' opowiem ci o celu mojej wizyty.

— Pij — rzekł król, wskazując głową na przyniesiony przez bystrego sługę drugi srebrny kubek.

Peljas napełnił kubek po brzegi, posmakował i wypił niewielki łyk. Potem następnym i jeszcze jeden...

— Cudowne! Jak mówisz, przyjacielu? „Klnę się na Croma?”

— Peljas, słucham cię z uwagą! — Conan stracił cierpliwość.

— No cóż... Sprawa, o której chcę ci opowiedzieć, jest nader poważna. Nie wiem, czy ci wiadomo, władco, że zawsze w ostatniej fazie księżycy oglądam układ twoich gwiazd. To moje główne zadanie. O innych nie będę ci opowiadał, znam bowiem stosunek mego pana do magii.

— Dlaczego? — spytał nachmurzony Conan. — Dlaczego oglądasz układ moich gwiazd? Twoje ci nie wystarczą?

— O, przyjacielu, nie mogę pozostawać w niewiedzy co do twego życia. Tak, panie. Właśnie życia. Wiem, że ostatnimi czasy miałeś niespokojne dni, choć nie wiązało się to z poważniejszym niebezpieczeństwem. Wierz mi, że nie było żadnego zagrożenia, inaczej przyszedłbym już dawno. Ale teraz... Teraz pojawiło się, i to poważne.

— Znowu bunt? W Tarancji?

— O nie! Twojej królewskiej pomyślności nic na razie nie zagraża. Powiem więcej — w Aquilonii nastał czas pokoju. Nie potrafię określić, na jak długo, lecz twoje wojska mogą oddawać się wesołości i dobremu pijaństwu, jeśli oczywiście pijaństwo bywa dobre... A co do twego życia, panie... Złoczyńca pragnie zguby Conana—Amry!

— Conana—Amry, powiedziałaś? A więc złoczyńca znał mnie już dawniej?

— Tak, panie! I mocno mu wtedy dopiekleś. Wiele lat przygotowywał się do zemsty, a doświadczenie podpowiada mi, że należy bać się tego, komu niespieszno do rozprawy. Tacy ludzie wiedzą, co robią. W ich myślach nie ma ani zapalczywości, ani gniewu. Tylko przenikająca wszystkimi porami, wżarta w umysł i ciało chłodna nienawiść...

— Ten jest właśnie taki?

— Tak panie.

— Chciałbym go zobaczyć.

— Niestety, to niemożliwe. Moja sztuka nie jest tak wielka, bym ukazał ci jego twarz i powiedział jego imię... Jedno tylko...

— Co takiego?

— Komedianci...

— Nie rozumiem. Jacy komedianci?

— Wkrótce święto, czy tak, przyjacielu?

— Tak. Mitrades, nowe święto na znak dziękczynienia Życiodajnemu Mitrze. Ludzie są zmęczeni wojną i postanowiłem podarować im trochę radości.

— Co jeszcze raz dowodzi twej mądrości, panie. Więc ci komedianci... Z tego, co wiem, wybierają się na Mitrades ze wszystkich zakątków ziemi?

— Nie, nie ze wszystkich. Ale pięć, osiem trup powinno przybyć...

— Twój przyjaciel to błazen w jednej z nich.

— Jesteś tego pewien?

Peljas uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami. — Ciekawe... W której?

— Na razie nie mogę powiedzieć, panie. Niech wszyscy przybędą tu, do Tarancji.

Przejdziemy się razem i... z kimś jeszcze... A wtedy, być może — być może! — rozpoznam tę trupe, w której...

— Wiesz, Peljasie, myślę, że ten człowiek nie wart jest tego, abyśmy się tak obaj dręczyli.

— Wart, przyjacielu. Inaczej nie przeżyjesz.

— Ale co może mi zrobić jakiś tam komediant? W ciągu swego życia zdobyłem sobie tylu wrogów, że gdybym miał się chronić przed każdym... Ha!

— Nie mów tak pochopnie, panie. Takich wrogów jak ten komediant masz niewielu, a może wcale ich już nie ma — odeszli na Szare Równiny. Wyjaśniłem ci, dlaczego ten jest taki groźny.

— Nie zdradziły ci gwiazdy, kiedy ma zamiar mnie ukatrupić?

— Czyż nie powiedziałem tego, panie? W święto, przyjacielu, w same święto Mitradesu... W czasie Mitradesu... Sprytnie pomyślane! Wielkie pole za południowym murem Tarancji będzie pełne ludzi; otaczać go będą uliczki bazaru, a pośrodku zostaną rozmieszczeni półkolem komedianci. Wysoki pomost przy samym murze zajmie król i jego świta — stąd właśnie Conan wygłosi mowę powitalną, skierowaną do wspaniałych Aquilończyków. Przed pomostem ustawiona na szerokość dwudziestu kroków straż miejska będzie chronić przejście; najpierw przejadą jeźdźcy, potem gwardziści... A może najpierw gwardziści?

— Wzywałś mnie, panie?

Pallantyd, wierny sługa, kapitan Czarnych Smoków, pojawił się jak cień za plecami Conana i zastąpił w oczekiwaniu rozkazów.

— Tak. — Król spojrział na niego w zadumie i nagle wypowiedział słowa, od których szczególnie wrażliwemu Pallantydowi zrobiło się słabo.

— Zaplanowałeś zamach na mnie w czasie Mitradesu. Jak to zrobisz?

— Ależ panie... — wymamrotał oszołomiony kapitan. — Klnę się na wątrobę mojego cisawego, że nie mam zamiaru cię zabić... Prędzej sam udam się na Szare Równiny, aniżeli...

— Na Croma! — machnął ręką zniecierpliwiony Conan. — Stary z ciebie wyga, a nie zrozumiałeś. Ufam ci jak sobie samemu. Ale gdybyś — gdybyś! — to zaplanował, jak byś to zrobił?

— Nie mogę odpowiedzieć, panie...

— Pomyśl!

— Nic takiego nie przychodzi mi do głowy...

— Dobrze. Spróbujemy inaczej. Wyobraź sobie, że doniesiono ci o złoczyńcy, który w święto będzie próbował zabić króla. O co najpierw zapytasz donosiciela?

— O imię złoczyńcy.

— Tego nie wie. Drugie pytanie?

— Jak wygląda.

— Też nie wie. Trzecie?

— Jak ma zamiar to zrobić.

— Właśnie! Załóżmy, że tego donosiciel także nie wie. Do ciebie teraz należy przejrzeć w głowie wszystkie sztuczki, którymi może posłużyć się zamachowiec.

— W czasie święta będzie bardzo wiele możliwości. Na przykład rzucić w ciebie z tłumu dzirzytem. Albo... Udasz się przeciw, panie, na przechadzkę uliczkami bazaru? Chociaż tu pójdą za tobą moje ofiarne Smoki... Można podpalić deski pomostu, tyle że wtedy spadniesz tylko zaledwie... Poza tym, kiedy po twym wystąpieniu, panie, polecą w niebo setki strzał ze świętecznymi wstęgami... Myślę, że nietrudno jedną z nich skierować w ciebie.

— A kto ma wypuszczać święteczne strzały?

— Komedianckie bękarty. Wszak ty sam tak rozkazałeś, panie.

— Pamiętam. Na Croma! Ale węzeł się zawiązał! Do Mitradesu pozostało zaledwie pięć dni i nocy. Powiedz, stary psie, kiedy komedianci przybędą do Tarancji?

— Spędzą tu już noc przed świętem. Czy rzeczywiście wierzysz, panie, w istnienie tego złoczyńcy?

— Ja to wiem. Teraz już odejdz. Niewiele czasu nam zostało. Chciałbym, abyś przed zmrokiem przedstawił mi wszystko, czego dowiesz się o tych komediantach.

Kiedy Pallantyd odszedł, krocząc po miękkich dywanach ogromnymi buciarami, król odchylił się na oparcie fotela i zaklął ze złością. Nie zdążył jeszcze nacieszyć się spokojem, a już pojawił się jakiś wyrodek, którego przypiliła chęć wysłania go na Szare Równiny! Kopyto Nergala mu w zęby! On ma inne plany na najbliższy czas... Gdyby mógł sobie przypomnieć, kiedy, a najważniejsze — komu dopiekle... W pół dnia można by było poradzić sobie z tą sprawą. Czarne Smoki za kudły przywlokłyby tu te wszystkie komedianckie świnię.

Ustawiliby ich w szeregu, dali parę kopniaków — nawet mrugnąć by nie śmieli — a Conan obejrzałby ich nieczyste ryje i rozpoznał złoczyńcę. Ale przez całe swe życie dzisiejszy aquiloński władca dopiekle tylu ludziom, że nie było wprost możliwości przywołać w pamięci choćby trzech z nich. Zwłaszcza że podły mściciel z pewnością nie sam oberwał od Conana, inaczej już dawno przechadzałby się po Szarych Równinach... Król uśmiechnął się i spojrział na pękaty dzban. Nawet tuzina takich dzbanów nie starczy, by przedstawić wszystkie jego

przygody. Ale czy w ogóle warto? Nikt i nic nie opowie uczciwiej o bojach rycerza niż samo jego ciało. Jedyne rysy naniesione ręką wroga — a nie obojętną ręką grawera — nie zabrzmią fałszem, nie okłamią...

Conan wzruszył ramionami, zrzucił niedbale dzban ze stołu i wstał, wciskając pod cienką złotą obręcz wysuwający się kosmyk gęstych, naznaczonych nieco siwizną czarnych włosów. Zbyt wiele spraw nagromadziło się w ostatnim czasie. A teraz przyszło mu odkładać je na później z powodu jakiegoś kawałka fajna odzianego w kolorowe, komedianckie szmaty. Normalnie nie zrobiłby tego nawet na rozkaz samego Mitry. Z tą myślą król trącił drogocenny dzban tak, że zadźwięczał żałośnie i potoczył się pod fotel, po czym westchnął, żegnając się z nadzieją upicia się do nieprzytomności, i zdecydowanie opuścił swe wspaniałe schronienie.

III

Trzy razy powitali wschód słońca w domu Igrata weseli goście. Przez ten czas leniwy gospodarz zmęczył się jak nigdy dotąd. Od nieustannego, czasami bez żadnej przyczyny śmiechu, dół brzucha bolał go tak, jakby nadwreżył się przy ciężkiej polowej pracy czy budowie nowego domu nobila. Gdyby jednak miał boleć go nie tylko dół, ale i góra brzucha, do tego serce, nerki i wątroba, nie zrezygnowałby ze znajomości z komediankami. Gospodarzowi wydawało się, że przed spotkaniem ich życie jego było bezmyślne i bezwartościowe niczym pyłek, nie warte na tym świecie nawet drobnego miedziaka. Każdy dzień był podobny do poprzedniego jak jedno ziarno piasku do drugiego, każdy też, jak myślał teraz Igrat, pusty. Nie ma nawet ani czego wspominać, ani o czym opowiadać gościom w odpowiedzi na ich nie kończące się wesołe bajania.

A jednak Mitra go nie opuścił! Podróżująca po świecie bez większego bagażu trupa, zajmująca zaledwie dwa kryte wozy, ciągnięte przez stare klacze nieokreślonej maści, mogła skierować się do Tarancji jakąkolwiek drogą — przez Shem i Argos lub przez Brythunię i Królestwa Kresowe czy też z Asgardu przez Vanaheim... Mało to dróg na tym wielkim świecie? Ale Dawca Życia i Strażnik Ogniska wysłał swe błądzące dzieci właśnie do domu najnikczemniejszego z niewolników, do zeschniętego źdźbła trawki, pełzającej w deszczu dżdżownicy, żabiej łapki... Igrat wytarł palcem napływającą nagle łzę rozczulenia i szczęścia i popatrzył, jak Ulino, Agrej i Senizonna wpijają się wargami w brzegi kubków i z niebywałą uwagą sączą niedopite wino. To był ostatni poczęstunek, jaki mógł im zaproponować leniwy gospodarz. Pieniądze, którymi komedianci zapłacili za kwatery, skończyły się już wczoraj — za nie właśnie Igrat kupił sześć antałeczków piwa. Rankiem pozostała z piwa jedynie piana na kubkach i za czterdzieści jeden i ćwierć dzbanka wina przyszło mu sprzedać piękne buty z miękkiej, mocnej skóry. Trzy księżycy temu dostał je niemal za darmo od jadącego z Messancji do Tanasulu szewca, brata jego zmarłej żony, który postanowił zatrzymać się na nocleg u byłego powinowatego. Tak czy inaczej żał było butów.

Teraz i wino się kończyło. Przez cały dzień goście wlewali je w swe bezdenne żołądki, oblewając się i bulgocząc, po czym padali pokotem; jedni w milczeniu, inni z chrapliwymi odgłosami, jeszcze inni ze śpiewem. Za stołem pozostała tylko trójka, najbardziej krzepkie okazy zdrowia — tłuścioch Ulino, smętny przystojniak Senizonna i płowowłosa wesołek Agrej. Z godnością przyjmowali zakochane spojżenia i westchnienia gościnnego Igrata i wysysali z kubków ostatnie krople ożywczego płynu.

— I co Igrat, wybierasz się z nami? — spytał płaczącym się językiem Senizonna.

— No — kiwnął głową ze swego kąta leniwy gospodarz.

— D...laczego? — Ulino spróbował klasnąć w tłuste ręce, lecz rzuciło nim i omal nie zwałił się pod stół. Prawdopodobnie doszedł jednak do wniosku, że pod stołem będzie mu nieco za ciasno, wczepił się więc w rękaw Agreja i tak pozostał na taborecie. — Dlaczego, o bezmózga lilio mojego wielkiego serca? Myślisz, że tylko pasiemy sobie brzuchy, śpimy i tańczymy?

— Pod Messancją jest jedno smutne miasteczko — odezwał się Agrej. — Nazywa się Glemozo... Dwa księżycy temu wygnali nas stamtąd i ścigali prawie do samej Alemane.

— Za co? — zdumiał się Igrat.

— Za nic, przyjacielu. Po prostu jesteśmy wesołkami, bękartami...

— Sam jesteś bękart — skrzywił się Senizonna. — Śmierdzący pies... Ale Glemozo to rzeczywiście smętna miejscina. Zacząłem opowiadać o Semei i Onzale. Znasz tę historię, gospodarzu?

Igrat potrząsnął głową.

— Piękna dziewczyna Semeja żyła w dalekim Iranistanie — zaczął tęsknie Senizonna, przymknąwszy powieki. — Usta miała niczym płatki sitowia...

— Sitowia! Za to właśnie rzucili w ciebie pierwszym kamieniem! — pogardliwie wydał policzki Ulino. — Sitowie nie ma płatków, ty smężna gąsienico... To kępy zielska podobne trochę do zeschniętej trawy. I rośnie tylko na ziemi Piktów, w Iranistanie nawet o nim nie słyszeli!

— Można by pomyśleć, że w Glemozo ktoś słyszał! — parsknął urażony Senizonna. — 1 nie nazywaj mnie smężną gąsienicą, ty kupo łajna. Był czas, że służyłem w wojsku dzielnego Gaura w Turanie i przekłułem co najmniej tuzin takich tłustych wielbłądzich garbów! Lepiej nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Jestem bardzo cierpliwy, bardzo cierpliwy, ale...

— Zamknij się. — Tłuscioch machnął łapskiem bez cienia szacunku dla wojennych zastęg Senizonny. — Ja także nie zawsze wyglądałem jak kupa łajna.

— Ulino, opowiedz o Zuagirczykach — ocknął się Agrej. — Bywałeś u nich?

— Niedługo... Księżyc, może dwa...

— Opowiedz!

— To stare sprawy, a i chęci do gadania nie ma.

— Przecież u nas poza Kukiem i Lakukiem wszyscy umieją trzymać oręż w rękach! — Senizonna spurpurowiał, starając się nie patrzeć na tłusciocha. — Nie ma co robić bohatera z tego spasionego szczura. I Mado walczył, i Ksant z Jenkinem, i Micher! A Leonso był nawet dziesiętnikiem w Sultanapurze.

— Przestań wreszcie, Senizonna! — odezwał się zirytowany Agrej.

— Nawet nie mam zamiaru!

— A ja mówię, żebyś zamilkł! — W głosie jasnowłosego chłopaka zadźwięczała groźba.

— Bękart!

— A ty łajno... — wyszczał z całej duszy Agrej i rzucił się na Senizonnę.

Ale ten był czujny i z rozmachem walnął przyjaciela pustym kubkiem w czoło. Płowe włosy komedianta zabarwiły się na czerwono, a jego głowa opadła na stół.

Ulino patrzył na to wszystko z absolutną obojętnością. Wiedział, że Agrej ma głowę mocną niczym kamienny posąg, a Senizonna zaraz zacznie chlipać i będzie błagał o przebaczenie. Tak też się i stało. Po chwili Agrej zaryczał, drapiąc stół pazurami, pięknemu smętkowi zadrżały wydatne pasowe wargi i do pięknych ciemnoszarych oczu, oprawionych w długie rzęsy, napłynęły łzy. Tłuscioch uśmiechnął się, wzruszył lekko otłuszczonymi ramionami i mrugnął na pobladłego Igrata.

— Tak właśnie żyjemy!

Leniwy gospodarz westchnął głęboko, gdyż wybuchające co chwila bójki komediantów napawały go strachem. Ze swym pokojowym usposobieniem, zawsze niewzruszenie spokojny Igrat nie znosił kłótni, a tym bardziej bójek, a jednak pragnienie wybrania się z trupą na wędrowną po świecie nie opuszczało go ani na chwilę. Tylko lekki, niemal nieświadomiony smutek ścisnął na chwilę jego serce, lecz natychmiast zniknął. Obejrzał swą siedzibę i poruszył wargami jakby w pożegnaniu. Cała izba była zapluta i zapaćkana rozlanym winem, pełna pustych i w większości porozbijanych dzbanków; na podłodze walały się strzępki z kurtki Mado i koszuli Jenkina, którzy poprzedniego dnia stoczyli tu całkiem poważny bój, zeschnięte okruchy, kostki dwóch kuropatw — własnoręcznie złowiła je pod lasem bystra Welina — oraz wszelkie inne śmiecie, których dawniejszego przeznaczenia sam gospodarz nie mógłby teraz określić. Pod sufitem wisiała wieloletnia pajęczyna, którą zachwycał się Senizonna, widząc w puszystych, szarych kłębach smutek skryty we własnej duszy. Szczeliny ścian zarosły mchem, po którym snuły się pękate żuki. Otwór na środku oznaczał okno i można było wysunąć przez niego głowę, ale lepiej było tego nie robić, bowiem przy próbie wciągnięcia głowa klinowała się i jej powrót do ciała wymagał wiele siły i niemałego sprytu. Tak wyglądała izba leniwego gospodarza po trzech dniach pobytu gości i było to zupełnie zrozumiałe — przedtem paskudził w niej sam Igrat, a teraz pomagało mu dwunastu mężczyzn i jedna kobieta.

Ani mamroczący pod nosem niestworzone bzdury Senizonna, ani ziewający szeroko Ulino, ani piękny, płowowłosy Agrej nie widzieli żadnej różnicy między szopą, gdzie spali, izbą, gdzie pili, a placami, gdzie dostawali bity. Wszędzie był brud, przywykli do niego, nawet woleli go od wygod pałaców — tak przynajmniej mówili — toteż zapuszczony, cuchnący dom leniwego gospodarza wydawał im się przytulną przystanią, wysepką spokoju na wzburzonym morzu czy czymś w tym rodzaju. Pochlebiało to Igratowi, rozumiał jednak, że komediantom brak po prostu własnego domu, toteż nie szczędzili pochwał cudzemu, a szacunek i płynące ze szczerego serca uwielbienie, tak rzadkie i dlatego cenne, zmusiły ich do zatrzymania się we wsi. Ale następnego dnia pora wyruszyć w drogę. W drogę! Do Tarancji! Tam aquiloński władca organizuje wielkie święto Mitradesu, na którym trupa z pewnością zarobi dużo pieniędzy... Może nawet bardzo dużo! A wtedy znowu w drogę, do miast,

miasteczek i wsi. Dawać pokazy, tańczyć i śpiewać... O Mitro, jakież to szczęście! Igrat ukrył twarz w dłoniach i zaszczołał.

Przed świtem Etej poczuł nagle, że staje mu serce. Miarowy rytm stracił takt i w piersi powstała okropna, ssąca pustka. Strzelec zamknął oczy i zaczął liczyć oddechy w oczekiwaniu tego ostatniego. Nie bał się, tylko rozpacz skuwała powoli wszystkie jego członki i Etej, jakby patrząc na to z oddali, zdumiał się jej siłą. Nie podejrzewał w sobie takiej nienawiści do dawnego wroga. Nawet w obliczu własnego końca odczuwał tylko pragnienie zabicia. Zabić go! I rozpacz zrodzoną ze świadomości, że on, strzelec, odchodzi na Równiny, zanim dokonała się zemsta.

Przed zamglonymi oczami Eteja pojawiły się nagle niejasne zarysy delikatnej figury odzianej na białą dziewczyny. Wokół niej poruszały się w półmroku jeszcze mniej wyraźne olbrzymie czarnoskóre postacie. Wiało od nich grozą i pogardą. Etej nie mógł tego zrozumieć. Dziewczynę poznał od razu i omal nie zachłysnął się ze szczęścia, ale gigantów nie znał. Piraci? Możliwe. Ale przecież ani razu nie widział jej piratów z bliska, skąd więc oni... Ostrożnie, by nie zakłócić wracającego powoli rytmu serca, wciągnął do płuc stęchłe powietrze szopy. Co jemu do piratów? Ma przed sobą Belit! Królową Czarnego Królestwa! Swą wieczną miłość i nigdy na jawie nie spełnioną namiętność... Po co do niego przyszła? Wtedy, dawno temu w Kemi, nawet nie dostrzegła młodego, biednego handlarza mięczaków, który sycił oczy jej wspaniałym stanem, delikatną, białą szyją i wysoką piersią.

— O, Mitro... — jęknął strzelec od ukłucia nieznośnego bólu gdzieś pod sercem. — Nie, nie Mitra. Erlik! — poprawił sam siebie. To właśnie jego ukochane bóstwo Erlik wymaga oczyszczenia przez cierpienie... — A więc tak, Erliku! Masz tu prawdziwe cierpienia Kochałem ją przez całe życie, choć widziałem ledwie trzy razy, i tak dawno opuściła ten świat... Wszystko, co robiłem i czym żyłem — jej ofiarowywałem... Nie było dnia ani nocy, bym jej nie wspominał; i w łańcuchach na galerze, i w rękach stygijskiego oprawcy pod ciemnymi, wilgotnymi sklepieniami podziemi, i w zażartych bitwach z kashańskimi barbarzyńcami, i przy kuflu piwa z Garetem...

Tak, jeszcze Gareth. Przez mętną błonkę zasnuwającą mu oczy Etej patrzył na wiotką figurę Belit i jakby opowiadał jej o Garecie. Był on wtedy atamanem Zuagirczyków i zdarzyło się, że na pustyni leżącej za gorącym, przepalonym na wylot przez rozgrzane słońce i wysuszonym wiatraim mieście Eruku zabrał Eteja. Strzelec cudem uratował się ze stygijskiej niewoli, przepłynął Styks, pokonał górską przełęcz i przeszedł znaczną część pustyni. Lecz bez łyka wody, z wypalonymi wargami i pełnymi piasku ustami, z poparzoną, pękającą od słońca skórą, pozostałby na zawsze w gorących piaskach. Wówczas pojawił się Gareth. Przyjaciel, brat... Przerzucił wtedy wyniszczone i lekkie jak drewniana szczapka ciało Eteja przez siodło, zaświstał na swych Zuagirczyków i pomknęli dalej, do Khauranu. Lepiej by było, gdyby skręcili do Kothu!

Strzelec zazgrzytał zębami na wspomnienie, jak w zaledwie dzień później pojawił się w obozie Cymmerianin. Gareth zdjął go z krzyża o dwa loty strzały od Khauranu. Przybysz był wymęczony nie mniej od Eteja, który jeszcze nie wyzdrowiał po pustynnej tułaczce. Ale szybko wrócił do zdrowia! Co zrobił z Garetem, strzelec do tej pory nie wiedział. Wiedział tylko jedno — samo to wystarczyłoby, aby bez żadnych wahań wyprawić barbarzyńcę na Szare Równiny — pewnego dnia Gareth zniknął, a na jego miejscu na czele Zuagirczyków znalazł się podły Cymmerianin. Ten, którego kochała Belit! Pływał z nią na jej pirackim statku, a potem ona zginęła, a on żyje! Do dzisiaj!

O Erliku! Nie dość już tego doświadczenia? Nie dość bólu i nie zagojonych ran? Teraz i obraz Belit zniknął, nie wytrzymując jego opowieści... Niech więc pęknie serce, jeśli zakończył się przeznaczony mu okres! Oczy Eteja wypełniły złe łzy, strzelec otworzył oczy i zawył cienko i żałośnie niczym szczeniak.

Gdy o świcie boskie oko Mity opromieniło wszystko wokół łagodnym różowym światłem, trupa komediantów ruszyła w drogę. Leniwy gospodarz siedział na koźle pierwszego wozu obok Michera i obrzucał dumnym spojrzeniem ojczystą okolicę. Wypiął pierś 1 zacisnął wargi na wypadek, gdyby ujrzał go jakiś znajomy. Niestety, nikogo takiego nie zauważył, tylko psy, wywabione z krzaków skrzypieniem kół, wściekłym, ochrypłym szczekaniem odprowadzały Podróżników aż do samej drogi.

Micher kiwał się obok Igrata, nie zwracając najmniejszej uwagi na wspaniałą urodę okolicy. Za ich plecami rozlegało się potężne chrapanie tłuściochów, skomlenie Kuka i Lakuka, senne mamrotanie Mado i głośny, poświstujący oddech Leonsa. Wszyscy spali, tylko leniwy gospodarz, który po wyjeździe ze wsi stracił swój hardy wygląd, ze smutkiem patrzył

na wspaniałe, wysokie palmy, zielony kobierzec traw, po którym małymi falami przepływał lekki wiaterek, na wysokie śpiewające przez mglisty błękit góry. Czy prędko tu wróci i czy w ogóle wróci? Miał przed sobą długą, niemal nie kończącą się podróż po nieznanym krajach, do miast, w których każde żyło swoim własnym życiem; spotkania i rozstania, radości i smutki... I nagle ogarnęła go tak dojmująca tęsknota, że omal nie zeskoczył na ziemię, by co tchu w piersi pognać z powrotem, do domu. Przez chwilę wydało mu się, że tylko tam jest życie, a wszystko inne to ciemność i pustka. Splótł palce z całej siły, zmrużył oczy i potrząsnął głową, odganiając niezrozumiałe i niepotrzebne uczucia. Wszystko przeszło tak szybko, że Igrat zmarszczył się rozczarowany. Nie zdążył nawet nacieszyć się nowymi wrażeniami.

— Ej, chłopaki! — Leniwy gospodarz odwrócił się. Obok wozu siedł utykający lekko na prawą nogę starszy syn Leonsa, Ksant — szeroko uśmiechnięty, cały czas odrzucał dłonią z czoła kosmyk szpakowatych włosów. Machnął ręką do Igrata, zrównał się z nim i chwycił za odrapany skraj wozu.

— I tu wszyscy śpią — powiedział wesoło, mrugając do woźnicy. — A chciałem w kości pograć. Ale nuda!

— Ćśśś! — zasyczał przestraszony gospodarz. — Nie budź ich...

— E tam! Tych drani nawet kijem nie zbudzisz. U nas na statku...

— Na jakim statku?

— Na Prima Andecji. To po zuagirsku znaczy „pierwsza gwiazda”. Mój ojciec kupił go od księcia Mazelli Ipsi; nie słyszałeś o takim? A skąd tobie, wsiowy szczurze... Pewnie poza Tarancją nigdzie gdzie nie bywałeś? A ja pochodzę z Kordawy! No więc, jak mój ojciec poszedł na dno...

— Jak to — na dno? A Leonso to kto?

— Mój ojciec! — zniecierpliwził się Ksant. — Aleś ty tępy, przyjacielu. Po prostu nie wiem, jak z tobą rozmawiać... Na dno! Na Mitrę! Po prostu zbankrutował! Teraz rozumiesz? No i Prima Andecję trzeba było sprzedać jednemu kupcykowi. Malutki taki, grubutki, wiecznie zasmarkany, podobny do naszego Michera...

— On ci zaraz naopowiada — odezwał się nagle przytomnie Micher, patrząc ponuro na starszego syna Leonsa — jak się trudził na statku od świtu do nocy.

— A trudziłem się! — wściekł się Ksant. — Skąd możesz o tym wiedzieć, świnio!

— Ty sam świnia i krowi ogon — odpowiedział niewzruszenie mały Micher.

Ksant nadał się i spurpurowiał. Leniwy gospodarz, którego mocne ciało znajdowało się pomiędzy dwoma kogutami, najpierw poczuł, a potem także usłyszał, jak ze świstem i grzmiotem z jego siedzenia wyrwywają się haniebne dźwięki, i także poczerwieniał. Micher popatrzył z niedowierzaniem na sąsiada i nagle zrozumiał, co się dzieje. Wciągnął ustami powietrze i chichocząc piskliwie, oparł się na ramieniu stropionego Igrata. Krew napłynęła mu do twarzy ze śmiechu, tak że nie odróżnił się teraz kolorem od swych towarzyszy.

— No, bracie... — wymamrotał Ksant, wytrzeszczając oczy. — Zdaje się, mówię, że niczego nie potrafisz? Takiej pieśni jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem! Ludzie będą cię na rękach nosić! No, spróbuj jeszcze razik!

Igrat spuścił głowę, czując, jak pałą go uszy, po czym spojrzął z ukosa na płaczącego ze śmiechu Michera i... spróbował.

IV

Zajęty różnymi sprawami Conan przez cały czas był myślami w stajni. Przed jego oczami wciąż stał piękny gniady trzylatek ze wspaniałą grzywą i szczupłymi, mocnymi nogami. Ale zatrzymał go Pallantyd.

— Panie, wszystkiego się dowiedziałem!

— O czym znowu, stary psie? — warknął zirytowany Conan. Pochłonięty przyjemnymi myślami o cudownym podarunku z Koryntii zupełnie zapomniał o ostrzeżeniu Peljasa i o porannej rozmowie z wiernym Pallantydem.

— Jak to? — Kapitan Czarnych Smoków spojrzął na króla zdumiony. — O komediantach!

— Na Croma! Zdaje się, że nie uda mi się dzisiaj iść do mojego gniadosza... Dobrze, opowiadaj, byle szybko!

— Proszę! — Pallantyd wyciągnął zza mankietu zwinięty w rulon szary pergamin. — W czasie Mitradesu będzie w Tarancji pięć trup. Jedna z Turanu — ta nigdzie na dłużej się nie zatrzymuje i snuje się od karczmy do karczmy. Piją i nigdy nie trzeźwieją, tak że trzeba będzie ich sprawdzić przed świętem... Żeby do czego nie doszło... Druga to nasza własna — są pod nadzorem. Trzecia — ze Shemu, ale jest już w Tarancji. Ulokowali się w domu Rudej

Magali... — Przy ostatnich słowach Pallantyd rzucił królowi dwuznaczne spojrzenie. Wiesz sam, panie, jakie dziewczęta u niej mieszkają...

Conan wzruszył ramionami.

— Czy komedianci to nie mężczyźni? Niech im tam. Mów, co dalej.

— O czwartej wiadomo tylko, że zatrzymała się w domu niejakiego leniwego Igrata na skraju Puantenu — podjął Pallantyd z westchnieniem. — Przesiedzieli tam kilka dni, a teraz kierują się do Tarancji. Piąta jest z Ophiru i też już są w drodze do nas. To wszystko, panie.

— Niewiele warte są twoje informacje, stary psie! Ale Nergal z tymi komediantami.

Chodźmy lepiej popatrzeć na mojego gniadego.

Pallantyd przyjął zaproszenie króla z najwyższym zadowoleniem. Jednak Conan nie zdążył jeszcze dotknąć ręką drewnianego skobla na drzwiach stajni, gdy zawołał go sługa, truchtający kaczym chodem po prostej ścieżce ogrodu. Król obrzucił go lodowatym i spojrzeniem i z ponurą miną wysłuchał wiadomości.

— Panie mój, ponownie przyjechał do ciebie mag. Jest z nim jeszcze ktoś. Straszny!

Conan zazgrzytał zębami i popatrzył tęsknie na drzwi stajni, zza których dobiegało ich chrapanie gniadosza. Miał już dość całej tej historii. Czego jeszcze chce Peljas i kogo przywłócił ze sobą?! Splunął z rozdrażnieniem, odwrócił się i ruszył do pałacu, aby przyjąć gości jak przystoi aquilońskiemu władcy.

— W złym momencie przyszliśmy, przyjacielu? — spytał z lekkim uśmiechem Peljas, składając pokłon królowi.

— Klnę się na Croma, że miałem nadzieję weselej spędzić czas... i sens w próżnym gadaniu!

— Próżnym? O nie, panie! Jeśli pamiętasz, mowa była o twoim życiu.

— Czy warto teraz o tym wspominać? — wymamrotał Conan, patrząc znacząco na przyprowadzonego przez maga gościa.

Rzeczywiście trudno byłoby znaleźć dla tego starca lepsze określenie niż „straszny”. Był niewysoki, lecz kształtny i giętki, wzbudzał odpychające wrażenie nadzwyczaj długimi rękami z wystającymi ramionami i łokciami, gęsto pokrytą twardymi, ciemnymi włosami chudą szyją i ostrym, przekrzywionym garbem na plecach. Jego twarz dziwnie przypominała pysk krokodyla, a obfite zmarszczki nie były bynajmniej szlachetnymi bruzdami, które zdobią twarz godnego szacunku starca, świadcząc o jego uczciwym, choć niełatwym, życiu. Zdawało się, że każdy z owych głębokich kanalików na zwiędłej skórze mógł opowiedzieć swą własną, mało pociągającą historię zdrady i rozpusty, grabieży i zabójstwa... Wąskie brudnobrązowe oczy — ten sam kolor przybrały plamy na twarzy i rękach — były niemal zakryte gołymi, zwisającymi nisko brwiami, co było tym dziwniejsze, że nie było widać nawet śladu rzęs. Długi, cienki nos, szlachetny i wytworny w kształcie, mógłby choć trochę ozdobić swego właściciela, był jednak skrzywiony na bok tak, że jego czubek niemal dotykał zapadniętego policzka. Całości dopełniały wąskie, bezbarwne usta, wykrzywione w przeciwną do nosa stronę.

Prosta odzież starca składała się z długiego do kostek chałata z najwykleszej tkaniny i narzuconej na to ciepłej wełnianej narzutki. Biorąc pod uwagę panującą na ogół w Aquilonii pogodę, a zwłaszcza ostatnie upały, strój ten wydawał się bardziej niż dziwny. Zapadniętą pierś zdobił srebrny medalion na masywnym, także srebrnym łańcuchu, a z wyciągniętego płotka owłosionego ucha wisiał kolczyk ukazujący wspinającego się na drzewo człowieka. Conanowi, który w czasie swych dawnych wędrówek widywał wielu różnych ludzi, wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec to wszystko. — Od razu też zrozumiał, że Peljas nie przyprowadził do niego zwyczajnego mieszkańca miasta. Na ostatnie słowa maga zareagował więc lekkim skinieniem głowy i niemal przez cały czas rozmowy nie spuszczał ze starca uważnego spojrzenia, co nieco drażniło gościa, lecz ani trochę nie przeszkadzało samemu królowi.

— Ależ przyjacielu, właśnie teraz należy o tym mówić! Pozwól, że przedstawię ci swego starego znajomego. Meir Cemido Biancci z Puntu.

— Z Puntu? — Conan uniósł brwi.

— Tam jest moja ostatnia przystań — skrzywił usta w drugą stronę meir, co najwyraźniej miało oznaczać u niego uprzejmy uśmiech.

Cichy, skrzypiący głos zdawał się być bez wyrazu. Starzec mówił bez żadnej intonacji, na jednej nucie, jakby klepał pacierze.

— Jeśli chodzi o twoją przystań — powiedział uprzejmie król — może być nawet pod ogonem Nergala, mnie nic do tego.

— Panie — wtrącił się mag. — Meir Cemido przybył, aby ci pomóc. Wysłuchaj go, a

zrozumiesz. Tylko on jest w stanie ukazać złoczyncę, którego zwyrodniały umysł zaplanował straszliwe przestępstwo.

— Do Croma! Strasznie dużo mówisz, Peljasie. Nie lepiej przejść do rzeczy? Jednak na początek chciałbym się dowiedzieć, kim jest meir Cemido. Nie wystarczy mi jego imię. Stary uniósł ostrą brodę, z której sterczały trzy czarne włosy, i spojrzał zezem na króla. Patrzyło tylko jedno oko i Conan z wielkim zdziwieniem zauważył, że drugie pozostało nieruchome. W swoim życiu widział jednak tak wiele sztuczek, że jeśli wielce szanowny meir chciał wyrzeć na nim wrażenie, wcale mu się to nie udało.

— Jestem Sługą Przeszłości — zaskrzypiał dumnie stary.

— I co z tego?

— Mogę odnaleźć twego wroga w przeszłości, panie.

— Od tego należało zacząć. Zabieraj, Peljasie, swego przyjaciela i wynoś się z pałacu. A najlepiej w ogóle z Tarancji!

— Nie spiesz się tak, przyjacielu. — Twarz maga stężała i upodobniła się do maski. — Nie ośmieliłbym się wprowadzać cię w błąd. Wierzaj mi, meir Cemido to prawdziwy mistrz i nie ma sobie równych...

— Pozwól, mój drogi... — gość nachylił się, owiewając Conana ostrym zapachem starości oraz wilgotnej ziemi i wyciągnął przed nim dłoń.

Conan nie dostrzegł na skórze Sługi Przeszłości ani jednej linii. W powietrzu zawisła równa, matowa powierzchnia bez wypukłości i zagłębień jak pokryta woskiem deska. I nagle na środku dłoni zapalił się przytłumiony ogieniek. Niczym światelko we mgle wieczoru przygasał, by znów się rozjarzyć. Skóra stawała się stopniowo coraz cieńsza i w ciało pod nią wstępowało życie. Zaczęły prześwitywać żyłki — niebieskie, jak pełne wody rzeki, kości... Nie, nie kości, lecz proste drogi i ścieżki... Na Croma! Conan zobaczył wyraźnie oazę na skraju pustyni, a dalej równinę. Przez równą zieloną płaszczyznę przechodził szeroki trakt, kończący się u wrót miasta...

— Na Croma! — wykrzyknął król wielkim głosem, walnąwszy pięścią w podłokietnik fotela. — Chcesz mnie zadziwić, stare truchło?

— Nie — odparł spokojnie meir, chowając rękę w fałdy chałata. — Chciałem tylko zaproponować ci wyprawę w przeszłość. W twoją przeszłość, oczywiście.

— Nie obawiaj się podstępu, panie — wtrącił łagodnie Peljas, którego rysy pozostały ostre, a twarz nie ukazywała najmniejszych uczuć. — Sądysz, że dawna przyjaźń to dla mnie tylko pył? No cóż, jak to się mówi, jeśli nie wierzylesz — uwierz.

— Hmm... — wymamrotał zbity nieco z tropu Conan. Rzeczywiście, jak na razie mag nie dawał mu żadnych powodów do podejrzliwości. — Niech będzie jak chcesz, Peljasie. Jeśli meir proponuje mi wyprawę w przeszłość — zgadzam się. Tylko bez żartów i sztuczek! Inaczej, klnę się na brodę Croma, obaj zgnijecie w Żelaznej Wieży!

Cóż, Conan jest Conanem, uśmiechnął się w duchu Peljas, pokłonił się z szacunkiem dla władcy, po czym zwrócił się do starca.

— Czy zdążę wypić kubek wina, zanim wrócicie?

— Nawet dwa — uchylił szczelinę ust meir Cemido. — A jeśli jesteś amatorem słynnego agrosskiego, to i trzy.

Gdy Conan przemierzał w tę i z powrotem wielką komnatę, a mag w całkowitej zgodzie z żartem starca osuszał czwarty już kubek słynnego agrosskiego, meir Cemido, pochrzakując, szykował się do podróży. Rozpostarł swój chałat tak, że całkowicie niemal ukrył się przed wzrokiem króla i Peljasa, i tylko wianuszek rzadkich siwych włosów wznosił się nad tkaniną, po czym zgarbiony zaczął mamrotać w nieznanym Conanowi języku coś jakby modlitwę.

— To dla niego tylko demonstracja, panie mój — wyszeptał mag. — Dla niego wybrać się z tobą w przeszłość jest równie łatwo, jak mnie towarzyszyć ci do twej stajni.

— A ty myślisz, że tak łatwo znaleźć się w mojej stajni? — burknął ponuro Conan. —

Cały dzień się tam wybieram i...

— Jesteś gotowy, panie? — Meir Cemido wyszczerzył w swym dziwacznym krokodylim uśmiechu rzadkie ostre zęby, po czym wpatrzył się jednym okiem w króla, a drugim w Peljasa.

— No? — Conan złożył ręce na piersi i z nie skrywaną niechęcią popatrzył staremu prosto w twarz.

— Dobrze, że masz zwykłe odzienie — wyskrzypiał z aprobatą meir. — Skórzane spodnie, bluza i kurtka nie zwrócą niepotrzebnie na nas niczyjej uwagi. Teraz podejdź do mnie, panie. Conan podszedł i podporządkowując się gestowi starego, przysiadł na podłokietniku jego fotela.

— Daj rękę.

Kiedy król, z trudem panując nad wstrętem, wsunął swą potężną rękę w suchą, pozbawioną życia dłoń starego, ten wyciągnął przed jego oczami drugą. Znowu zadrgał w niej przytłumiony ogień, to przygasając, to znów nabierając blasku...

Ciałem Conana przebiegł dreszcz. Nie mógł oderwać oczu od obrazów, przepływających po matowej powierzchni dłoni Sługi Przeszłości. Oto szturm Venarium. Cymmerianie z wrzaskiem wdzierają się do twierdzy, a w pierwszych szeregach, między najtwardszymi, zahartowanymi w bojach wojami, chłopak z burzą czarnych włosów i przenikliwymi, niebieskimi oczami, które goreją teraz istic barbarzyńskim podnieceniem... Lecz ku irytacji Conana, który nie zdążył dobrze obejrzeć siebie z młodości, obraz rozplynął się, a na jego miejsce natychmiast pojawił się następny. Tym razem pojawiła się pantera ze szmaragdowymi oczami i gorącą krwawą paszczą, która stojąc przed nim, machała czarnym, błyszczącym ogonem. Conan wyciągnął do niej rękę ze złotym krążkiem na łańcuszku... To był chyba amulet Mitry... Znowu wszystko zniknęło. Mignęli jacyś ludzie, których twarze, lepiej powiedzieć mordy, wydały się królowi znajome, półmrok szynków, dźwięcząca w uszach zjadłość bitew i potyczek... A oto Belit! Serce Conana nagle mocniej uderzyło i wyciągnął rękę do obrazu... Lecz Belit zniknęła, a zamiast niej na dłoni meira pojawiła się przepiękna twarz Dajomy, która przedstawiała mu nowego sługę, szaroskórego tytana Idrajna...

— Co się dzieje? — ponaglił piskliwie stary. — Niedługo dojdziemy do dzisiejszych czasów! Mów, gdzie się zatrzymać!

Conan, którego nikt nie uprzedził, co trzeba mówić, rzucił na meira wściekłe spojrzenie.

— Tutaj — warknął, nie patrząc na jego dłoń.

W tejże chwili przed jego oczami zawirowały czerwonoróżowe kręgi, w skroniach zastukały donośnie młoteczki, a włosy na karku zjeżyły się jak u zwierza, wietrzącego niebezpieczeństwo. Nawet nie poczuł, jak w jego ogromną rękę wpiły się szponiaste palce meira Cemido. Popatrzył na Peljasa zmaconym wzrokiem i już chciał rzucić w niego jakimś przekleństwem, ale osłabł nagle i chwytając powietrze, zaczął osuwać się na bok.

— No i już... — usłyszał Conan zadowolony głos starego, zazgrzytał zębami w bezsilnej wściekłości i stracił przytomność.

Świeży wiaterek wzburzył włosy Cymmerianina, niestety przyniósł tylko nadzieję ulgi, gdyż brak mu było wagi i ciała. Conan pragnął prawdziwego wiatru — silnego, morskiego, nasyconego solą i zapachami różnych krajów, takiego, który porwałby choćby część niewiarygodnego bólu, tętniącego w jego skroniach... Jęknął, przekręcił się na brzuch i gdy wpadł nosem w kłębek szmat, spróbował przypomnieć sobie, co się z nim stało.

Peljas? Tak, Peljas, który pojawił się w pałacu z ohydny krokodylem, mieniącym się Sługą Przeszłości... Równa, matowa dłoń tego wyrodka, a w niej... Na Croma! Jak można było zrobić z siebie takiego głupca! Podeszli go jak dziecko! Ale dlaczego? Czego potrzeba Peljasowi? A w ogóle dokąd go wepchnęli?

Otworzył jedno oko, spodziewając się zobaczyć ciemne, wilgotne mury ciemnicy, lecz ujrzał tylko drewnianą ścianę oraz brzeg pryczy, z którego zwisała czyjaś bosa noga.

— Na Croma! — odetchnął Conan w zdumieniu i w tej samej chwili z jeszcze większym zdumieniem poczuł podejrzany zapach, wydobywający się z jego własnych ust. Zbadał go i stwierdził, że wyraźnie stanowi następstwo nieumiarkowanego spożycia taniego, kwaśnego wina. Pamiętał jednak, że poza sześcioma kubkami najlepszego agrosskiego niczego nie pił. Wypluł gorycz na drewnianą podłogę, podniósł się ciężko na łokciach, podciągnął odporne ciało i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

— Nie podoba mi się to wszystko, panie...

Cymmerianin obejrzał się. Obok niego na drewnianej pryczy zasiadał nie kto inny, jak meir Cemido we własnej osobie. Krokodyla twarz była ponura, a długie wiechcie brwi straszyły się na wszystkie strony. Nie patrzył na króla, lecz zwinięte w trąbkę cienkie wargi świadczyły o tym, że meir jest z czegoś mocno niezadowolony.

— No i co ci się nie podoba, połamancu? — spytał surowo Conan, sam niezbyt zachwycony swym obecnym położeniem.

— Żle trafił się. Trzeba było dać znak wcześniej, wtedy znaleźlibyśmy się gdzieś nad morzem czy w lesie albo... Wiele jest przecież miejsc! Co mamy robić w tych koszarach?

— Jesteśmy w koszarach?

— Właśnie, w Khauranie. Zalałeś się wczoraj w szynku, a teraz to odlegujesz. Głowa boli...

— I bez ciebie o tym wiem — burknął Conan. — Nie myślałem, że po agrosskim może

być tak kiepsko.

— Po jakim agrosskim? — skrzywił się z pogardą stary. — W tutejszych szynkach wojakom niczego poza sikaczem nie dają!

— Więc tu się zalałem? W Khauranie?

— Panie, twe nierozgarnięcie zadziwia mnie i zachwyca!

— A dlaczego zachwyca? — zdumiał się Conan.

— Dlatego że jesteś królem. Proszę jednak o wielkoduszne wybaczenie, bo teraz jesteś tylko kapitanem gwardii królowej Taramis. O najszlachetniejszy, czyżbyś nic z tego nie pamiętał?

— Pamiętam... Zaraz... Niedługo rozpocznie się na placu bój ze Shemitami?

— Tak.

— A potem mnie...

— Tak!

— O! — zajęczał Conan. — Gdzie myśmy się dostali! Nie mam ochoty przeżywać tego jeszcze raz!

— Wracamy?

— No nie! Zobaczymy, może uda mi się chociaż trochę zmienić przeszłość!

— Nie, panie, nie licz na to. Ale słyszysz? Gwardziści ruszają na plac. Wstawaj!

Meir Cemido uległ z biegiem czasu zadziwiającej przemianie: niegdyś z jego twarzy emanowało ożywienie, przez nawisłe brwi błyskały żółtymi ognikami zamglone przedtem oczy, a palce co chwila przekładały fałdy chałata. Kiedy pobladli, zakłopotani gwardziści obrócili spojrzenia na Conana, stary podskoczył nagle do wysokiego, krągłogłowego chłopaka i z rozmachem walnął go w ramię.

— Służysz, sokole? Służ, służ!

Cymmerianin parsknął śmiechem, a zdumiony chłopak odskoczył od nieznanego, bowiem w przeszłości meir wcale nie wyglądał sympatycznie.

— Kapitanie! — odezwał się niski osiłek ze zżartą przez ospę, poszarzałą twarzą. — Tylko błogosławiona Iszta wie, dlaczego królowa otworzyła wrota tym bękartom! Powiedz nam, co mamy robić.

— Oddamy Khauran Shemitom?

— Dlaczego bez walki, kapitanie?

— Nie oddamy oręża!

Conan uniósł rękę. Miał zamiar powiedzieć im prawdę i zmienić tym samym bieg historii, ale niestety! Nikomu jeszcze nic takiego się nie udało. Już zaczął mówić, gdy z końca koszar wyłonił się, ziewając, potężny wojownik z grzywą czarnych, splątanych włosów. Kapitańska przepaska była dokładnie zalana brązowymi plamami z wina. Zmięta, pokryta szramami twarz z pogryzioną w porywie namiętności — czy to przez niego samego, czy też przez jego przyjaciółkę — wargę, wydała się królowi niejasno znajoma. Popatrzył pytająco na meira Cemido, ale ten tylko uśmiechnął się w odpowiedzi, wzruszając kościstymi ramionami.

— Dość gadania — burknął ponuro przybyły. — Idziemy na plac, zobaczymy, o co chodzi.

Niebieskie oczy mężczyzny spojrzały nagle wprost na Conana i przez chwilę błysnął w nich dziwny ogień, lecz zgasł natychmiast i mężczyzna odwrócił się obojętnie, ruszając do wyjścia. Gwardziści, zapominając zupełnie o królu, którego dopiero co tytułowali kapitanem, ruszyli w milczeniu za nim.

— Ach ty stary pniaku... — odezwał się Conan, patrząc w zadumie na szerokie plecy w czerwono-czarnych kurtkach. — Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że on tu jest?

— Sam powinieneś się domyślić, panie, że do tego spotkania musiało dojść.

— Nie poznał mnie...

— Oczywiście. Przecież jesteś o dziesięć lat starszy...

— Na Croma! Spodobał mi się!

— Dlaczego mówisz „on”?

— Przecież nie mogę mówić o innym człowieku „ja”...

— On nie jest innym człowiekiem! On jest tobą!

— Dość gadania. Idziemy na plac, zobaczymy, co się dzieje.

Król pokiwał głową, ciągle jeszcze wstrząśnięty nieoczekiwanym spotkaniem, i nie czekając na meira Cemido, wyszedł z koszar.

Cały plac przed królewskim pałacem był wypełniony ludźmi. Aby dostać się tutaj, Conan i jego towarzyszy musieli przedzierać się przez ciasno zapchane podekscytowanymi tłumami ulice. Daleko w przodzie król widział górującą nad tłumem czarną szopę swoich własnych

włosów. W żaden sposób jednak nie mógł przyzwyczać się do tego, że ów gigant to on sam, tak nieprawdopodobna była dzisiejsza przygoda. Spojrzył z ukosa na idącego obok meira Cemido. Stary uniósł nieco poły długiego chałata, by go nie ubłocić, i z nie skrywanym zadowoleniem obserwował wydarzenia.

Wokoło rzeczywiście działy się nieprawdopodobne rzeczy. Tłum wrzał zatrwożony i zdezorientowany, tu i ówdzie rozlegały się krzyki, jęki i przygłuszone szloch.

Ustawieni na placu z rozkazu królowej żołnierze zachowywali milczenie. Oni także byli zdumieni. W ich skierowanych nad głowami tłumu spojrzeniach było błaganie o prawdę. Nikt na razie nie mógł zrozumieć, co się stało. Dlaczego ukochana przez naród Taramis kazała otworzyć wrota Khauranu i oddała na pohańbienie i swoje miasto, i swoich ludzi? I jak doszło do tego, że obok niej stoi podły Kothyjczyk Konstancjusz? Wszak poprzedniego dnia opowiedziała odmownie na jego wstrętne roszczenia?

Wszystkie te pytania, zadawane po cichu lub szeptem, król wraz z meirem słyszeli, stojąc w przycichłym już tłumie. Z zaciśniętymi do bólu zębami Conan patrzył ponuro na szereg żołnierzy; gwardzistów z jego miejsca nie było widać, więc nie mógł również zobaczyć wśród nich samego siebie. Uzbrojeni po zęby Shemici w liczbie co najmniej dziesięciu tysięcy ustawieni byli w czworobok. Bezcelnie wpatrzeni w khaurańskich wojowników czarnymi wytrzeszczonymi oczami, nie troszczyli się wcale o swą postawę. Wszystko to nie miało teraz żadnego znaczenia. Nie byli gośćmi, lecz gospodarzami. Stali niedbale, ziewali lub gadali między sobą, czasem też spluwali z pogardą w stronę wspaniałej świątyni Isztar, która wznosiła się na placu obok i była stąd doskonale widoczna.

Na stopniach pałacu ukazała się królowa z szyderczym uśmiechem na pięknych ustach i tłum zahuczał. Potężny chór pobrzmiwał nutkami nadziei i Conan aż zmarszczył się z bólu. Królowa — Cymmerianin nawet w myślach nie považał się nazwać jej dumnym imieniem Taramis — odchyliła głowę, zachichotała i odwróciła się do tyłu.

Z cienia za jej plecami wystąpiła rosła postać wojownika we wspaniałym stroju. Jego twarz oświetlił dzień i tłum zamilkł. Fala przerażenia przebiegła po stojących w szyku wojownikach i ścięła prostych ludzi. Konstancjusz! Konstancjusz obok królowej!

— Słuchajcie wszyscy! — zaczęła rozkazująco królowa. — Ogłaszam, że od dnia dzisiejszego Konstancjusz zostaje królewskim małżonkiem!

Tłum jęknął.

— Armii rozkazuję złożyć broń i rozejść się! Od tej chwili waleczni wojownicy waszego nowego króla będą strzec Khauranu. A teraz rozejdźcie się! Wynoście się!

Na placu zapanowało zamieszanie. Część ludzi, jakby ciągnięta jakąś nieznaną siłą, ruszyła ku pałacowi, inni usiłovali jak najszybciej opuścić plac. Ani jednym, ani drugim nie udało się — tłum był zbyt wielki, by można się było z niego wydostać.

Oniemiali i oszołomieni żołnierze składali oręż. Choć nie mogli zrozumieć dziwnego, wyglądającego wręcz na zdradę zachowania Taramis, przywykli wypełniać królewskie rozkazy. Zresztą nawet samo słowo „zdrada” nie przychodziło im na myśl. Raczej tylko jej przeczucie unosiło się nad złamanym szykiem khaurańskich wojowników.

Conan, który stał jak skamieniały, nie zrobił nawet jednego kroku. Wreszcie nie wytrzymał. Odepchnął wczepionego w jego kurtkę meira Cemido i w kilku susach dopadł pałacowego ogrodzenia. Jakiś Shemita zamachnął się na niego leniwie krótkim mieczem, lecz upadł zaraz pod ciosem ciężkiej pięści Cymmerianina. Kątem oka Conan zauważył, że gwardziści nie mają wcale zamiaru rozstawać się ze swym orężem. Tęgi, obwieszony mieczami i kindzałami shemicki dziesiętnik cierpliwie powtarzał im rozkaz królowej, nie potrafiąc pojąć tępoty Khaurańczyków. Nie słuchano go. Wszyscy jak jeden mąż mieli głowy skierowane w stronę kapitała. Nawet Conan, który na moment zatrzymał się przy oddziale, popatrzył na niego z mieszanym uczuciem dumy i obawy. Lepiej od wszystkich innych wiedział, co powie teraz ten potężny, ponury młodzieniec, wiedział też, co z tego wyniknie. Znowu poczuł przemożne pragnienie, by się wtrącić, lecz wstrzymał się siłą woli. Meir Cemido miał rację. Czy może zmienić przeszłość? I czy ma do tego prawo?

W głębi duszy król nie miał chęci przeżywać powtórnie tego, co miało się stać, lecz na wspomnienie pełnych gęstej, gorzkiej, pijackiej śliny nie miał wątpliwości, że przyjdzie mu jeszcze raz na własnej skórze doświadczyć wszystkiego, co sądzone kruczołosemu kapitanowi gwardzistów. Nie zamierzał jednak niczego w swoim przeszłym życiu zmienić, toteż ograniczył się w swych działaniach jedynie do tego, że ruszył zdecydowanie ku stopniom królewskiego pałacu, uprzejmie przepuszczając przed siebie tych, którzy już tam się kierowali.

Dwaj niemal jednakowi ludzie stanęli obok siebie — u jednego z nich w czarnych jak skrzydło kruka włosach połyskiwały jedynie srebrne nitki — spojrzeli na królową. Młodszy

Conan nie zamierzał przepuścić sobowtóra, a raczej nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, jakby przeczuwając, że z tej strony nie spotka go żaden podstęp. Conan starszy natomiast z wielką uwagą obserwował każdy gest młodzieńca. Zadowoleniem napawała go świadomość, jak podoba się sobie i jak niewiele zmienił się od tamtej pory.

Wreszcie oderwał się od oglądania siebie z młodości i zmierzył królową pogardliwym spojrzeniem, po czym uczynił krótki krok w tył i stanął u boku kapitana. Młodszy Conan powtórzył dokładnie jego spojrzenie i odwrócił się do zamarłego tłumu, który obserwował go nieporuszenie.

— Ależ to nie królowa, nie Taramis! — wykrzyknął głośno drwiącym tonem. — To demon w jej postaci!

Fałszywa Taramis wydała ostry pisk wściekłości i utkwiała wzrok w plecach Konstancjusza. Kothyczyk podkręcił wąsa, popatrzył w zadumie na króla i kapitana, tak zadziwiająco do siebie podobnych, i — nie zastanawiając się nad tym więcej — odwrócił się na pięcie i wraz ze swą miłością zniknął w pałacowym mroku.

Ludzie na placu ryknęli. Kim jest ta Taramis? Gdzie jest Taramis? Pytania pozostały bez odpowiedzi, gdyż wiedźma Salomea jedynie groźnym blaskiem oczu różniła się od prawdziwej królowej. Dziki, potężne wycie stu tysięcy gardeł wstrząsnęło Khauranem. Z twarzy najemników natychmiast zniknęło całe dotychczasowe znużenie. Wściekły jak rozjuszone zwierzę tłum mógłby zdławić ich w pół oddechu, toteż wyciągnęli miecze i nie tracąc czasu, rzucili się na bezbronnych ludzi.

Wielki Shemita zwrócił się do kapitana, chcąc przebić mieczem jego pierś, lecz w tej samej chwili padł martwy na stopień. Kindżał młodszego Conana po rękojeść wszedł w jego szyję. Król uśmiechnął się, tłumiąc pragnienie, by po przyjacielsku poklepać młodzieńca po ramieniu, wyciągnął swój królewski miecz i rzucił się w dół. Tam wrzała już walka.

Gwardziści bili się zawzięcie ze Shemitami. Na początku kapitan zabronił im zdawać oręż, a potem wystąpił z krótką, lecz wstrząsającą mową, i teraz nie pozostało w nich nawet śladu niedowierzania i niepewności. To nie Taramis! Przez jakiś czas słychać było jedynie okrzyki gniewu i połączone ze szczękiem metalu nawoływania do boju, wkrótce jednak zagłuszył wszystko dziki krzyk oszalałego tłumu. Ludzie rzucali się na Shemitów niczym zwierzęta, które wyrwały się z klatek. Pozbawieni mieczy walczyli pięściami, nogami, zębami... A jednak losy bitwy były przesądzone. Pięciuset gwardzistów i prości ludzie nie mogli obronić się przed tysiącami doskonale uzbrojonych Shemitów.

Conan—król, który mieczem torował sobie drogę do ściany pałacu, gdzie kapitan walczył z setką wrogów, z trwogą czekał chwili, gdy walka będzie dla niego skończona. Tak jak wyraźnie odczuwał skutki pijaństwa swego sobowtóra, tak teraz powinien upaść po naciskiem shemickich psów, by wkrótce zostać rozpiętym na krzyżu przez podłego Kothyczyka Konstancjusza... Owładnęło go obłąkańcze pragnienie zmienienia historii i tym razem nie starczyło mu woli, by mu się przeciwstawić. Może w spokojniejszej atmosferze zostawiłby wszystko, tak jak jest, teraz jednak, w ogniu bitwy, okazało się to ponad jego siły. Nie zastanawiał się też wcale, czy ma do tego prawo. Nieustannie unosił swój miecz, rażąc nienawistnych sobie teraz nie bardziej niż w przeszłości najemników, którzy bez przeszkód weszli do miasta w zamiarze pasożytowania na nieszczęściu oszukanych przez demona ludzi. Przez głowę przemknęła mu myśl o meirze Cemido, którego stracił jakoś z oczu, lecz w tej samej chwili, choć żaden wraży miecz nie tknął go nawet, jakby błyskawica rozdarła się przed jego oczami. Conan krzyknął, porażony straszliwym bólem, zachwiał się i upadł na ziemię. Stracił przytomność.

V

W duszy strzelca panował mrok. Kiwał się w wozie i przez dziurę w zbutwiałej ze starości tkaninie wyglądał na świat. Twarz miał spokojną, lecz w jego wnętrzu szalała prawdziwa burza. Kotły i trąby lamentowały rozpaczliwie, skowytały lub żaliły się jękiem, straszna muzyka miotającej się duszy rwała go na strzępy, krew pulsowała mu w głowie, ręce skuwały kurcze. Szczypał się ukradkiem w nadgarstki, wbijał paznokcie w skórę i kurcze ustępowały, lecz nie na długo. Po krótkiej chwili cierpienia zaczynały się na nowo.

Dawno już rozumiał, że jest ciężko chory. Doświadczony uzdrowiciel z pewnością mógłby mu pomóc, ale czasu na leczenie nie było. Mitrades był tuż—tuż: wkrótce trupa przybędzie do Tarancji i tam będzie można odpocząć — strzelec sam się oszukiwał. Teraz nawet wspomnienia — drugie, prawdziwe życie Eteja — widział jakby we mgle. Rozmazane rysy Belit i Gareta nie wyrażały niczego oprócz znużenia. Wydawało mu się, że żadnymi wyznaniem nie wywoła ich zainteresowania. Nawet Garet, który miał wszelkie podstawy do

tego, by nienawidzić aquilońskiego króla, nie chciał omawiać planów zemsty. Tak więc strzelec zostawił umarłych w spokoju i jedynie z przyzwyczajenia przywoływał w pamięci ich twarze. I tylko Conan stawał przed nim niezmiennie w swej obecnej postaci. Był dokładnie taki, jak pamiętał go Etej — wspaniałe wojownik ogromnego wzrostu, z grzywą czarnych, zawsze potarganych włosów i oczami koloru jasnego nieba, w których tak często pojawiały się groźne, szydercze błyski...

Znów zaczął oblewać się potem. Wytarł powoli dłonią twarz i szyję i wetknął nos w dziurę — okienko na wolność. Miarowo, głęboko wdychał świeże powietrze, czując z cichą i trochę obłąkańczą radością, jak przenika przez wszystkie pory do jego wnętrza, w duszę. Napawając się tą grą, która oznaczała dla niego kilka dodatkowych chwil życia, nie zapominał kolejny już raz przedstawić sobie krótkiej, lecz wspaniałej, sceny zguby aquilońskiego króla. Zaplanował ją w najdrobniejszych szczegółach, z wszystkimi gestami. Niosąca śmierć strzała, lekkie trzepotanie przywiązanych do niej wesołych, barwnych wstążek, ruchomy cuchnący tłum, wypacykowane fizjonomie komedianckiej braci, a tam, dalej, surowa twarz króla i ostatnia myśl — może olśnienie? — przemykająca w jego niebieskich oczach. Silne palce Eteja delikatnie ściskają cienki, sprężysty grot strzały i... Jakież to piękne! Zawsze kochał piękno i nawet tam, gdzie inni widzieli jedynie ból i krew, cierpienie i śmierć, on dostrzegał pochodzącą z wysokich niebios wielkość. A niebiosa te, które wedle mniemania strzelca znajdowały się daleko za ognistą kulą słońca — a już na pewno znacznie dalej niżli obłoki — tworzyły sklepienie i były prawdziwymi panami Świata. Etej mocno wierzył, że jego ręką, która przyniesie Conanowi rychłą śmierć, kierują właśnie wysokie niebiosa, albowiem tylko one wiedzą, czym jest prawdziwa sprawiedliwość. Zemsta to dzieło godne wybranych, i nawet przez moment nie wątpił w to, że do nich należy, toteż w jakimś zakątku swojej duszy zazdrościł królowi, któremu wysokie niebiosa udzieliły zaszczytu pięknego odejścia na Szare Równiny z ręki specjalnie wyznaczonego zabójcy, zamiast śmierci w boju, w najprymitywniejszy sposób, jak giną tysiące tysięcy... Spojrzenie Eteja zmętniało; on także pragnął pięknie odejść, lecz najwyraźniej sądzona mu inna dola. Niewiele przeżyje Conana. Rozwścieczony tłum rozerwie go na strzępy i zdepta. Wystarczy, by jeden popapraniec zauważył, z czyjej ręki wyleciała śmiertelna strzała. A to będzie trudne... Ciało Eteja zjeżyło się, jakby sturęki tłum już wczepił w niego swe żelazne palce, i kurcze ponownie sparaliżowały jego członki. Usiłował wyobrazić sobie twarz Belit, gdyż tylko ona mogła ulżyć jego cierpieniom, lecz zamiast pięknych rysów zobaczył ohydną maskę, wulgarnie wypacykowaną pstrokatymi kolorami, naklejoną na jakąś bladą twarz. Nie wiedział, co to było, lecz strach pokonał go wreszcie. Zachłystując się, wciągnął haust stęchłego powietrza i bezprzytomnie zwałił się na sakwy.

Rankiem komediantki za kilka miedziaków przepawili się przez szeroką i miejscami całkiem płytką rzekę Khorat i po jakimś czasie znaleźli się w niewielkim miasteczku Pritimus, na samej granicy okręgu Attalus. Już pierwszy napotkany człowiek, tutejszy mieszkaniec, przestraszony rozkazującym krzykiem Leonsa, opowiedział dokładnie komediantom historię dawniejszego rządcy, barona Dijona Grubego. Ten to mąż, kuzyn króla Numedidesa, z pianą na ustach obsypał wyzwiskami zastąpionego przez Conana krewniaka, przekonując towarzyszy nowego władcy o swym niewzruszonym oddaniu nowemu władcy; złożył nawet publicznie przysięgę i ze łzami wzruszenia zdążył oblizać jego but, aż wreszcie straż odciągnęła rozklejonego barona i wyrzuciła go za drzwi. Okazało się jednak, że Dijon Gruby był jednym z Czterech Buntowników, którzy zaplanowali zamach na drogocenne królewskie życie, zamiast więc rządzić bogatym okręgiem Attalus stał się on gospodarzem maleńkiej, wilgotnej celi w Żelaznej Wieży. Wbrew oczekiwaniom brak rządcy nie doprowadził Attalusa do upadku. Wprost przeciwnie — odrodził się tu handel z sąsiednimi hrabstwami, będącymi od dawna w konflikcie z Dijonem Grubym, a chłopcy, którym natychmiast obniżono podatki, szybko odrobili szkody i po raz pierwszy od wielu lat mogli cieszyć się wspaniałym urodzajem.

Oto, czego dowiedzieli się komediantki od mieszkańca, którego Leonso zatrzymał u wrót Pritimusa. Wreszcie człowiek skończył i oddalił się, wstrząśnięty do głębi burzliwymi oklaskami, którymi nagrodzono jego opowiadanie. Tylko komediantki milczeli przygnębieni. Co mają robić nędzarze bez domu i rodziny w tym bogatym, pięknym mieście? Gdzie twarze nie wybladłe, lecz urodziwe, gdzie odzież porządna, a krok ludzki pewny...

Mado poskrobał się po zapadniętej piersi. Zamglone niebieskie oczy błysnęły nagle podnieceniem i komediant obrzucił triumfalnym spojrzeniem zwieszających głowy towarzyszy.

— Niebiedna mieścinka, co? — wykrzyknął. — Będzie się czym pożywić!

— Taaa... — podtrzymał z głęboką rozważą Senizonna. — Może wykonamy tu parę skoków? Coś niewielkiego?

Leonso westchnął. Niepowodzenia prześladowały ostatnimi czasy jego trupę. Miał już dość drwin, opluwania, kijów. Nie bez kozery postanowili zachować siły na Mitrades. Tam można będzie zarobić tyle, że starczy dla wszystkich, aby przeżyć dostatnio dwa, a może nawet trzy księżyce... Oczywiście, jeśli zrezygnować z piwa, a tym bardziej wina... Ale jak oszczędzać siły, skoro nie ma co jeść? Komu potrzebni na obchodach nieruchomości, ponurzy komedianci z zielonymi od niedojadania twarzami? Popatrz ze współczuciem na rudego Mado, wynędzniałego i umęczonego do takiego stopnia, że brak mu było sił nawet na zwyczajne u niego histeryzowanie. Blady jak kurze jajko Agrej, choć przeziębził się w drodze i napady kaszlu męczyły go niemal bez przerwy, nie zrezygnował z biednego wprawdzie, ale niezwykle sympatycznego uśmiechu. Micher przypominał koguta na grzędzie, któremu zabrali i upiekli wszystkie kury. Mazgaj Senizonna wiecznie wypraszał dla siebie jako dla szczególnie uzdolnionego jakiś dodatkowy kęs. Miła, dobroduszna twarz Weliny, z której dawno zniknął już wspaniały, subtelny rumieniec...

— No i co, łapserdaki! — odezwał się zdecydowanie. — Żarcie wam potrzebne?

Potrzebne! Chce się piwa? Chce! Igrat, leć na plac! Rozweselimy tych tłustych drani!

— Wytrząśniemy z nich pieniążki! — zapiszczał radośnie Mado.

— Wypatroszymy sakiewki — włączył się basem Zazała.

— Tylko, jeśli będą rzucać we mnie kamieniami... — zaczął nadęty Senizonna, ale nikt go już nie słuchał.

Gdy tak trzęśli się w czasie jazdy, wyobraźnia podpowiadała każdemu z najwyższą siłą wspaniały obiad, opłacony monetami z wypchanych sakiewek attaluskich bogaczy. Jeden już zamawiał — oczywiście, na razie tylko w myślach — u gospodarza traktierni barani udziec z fasolą, drugi zajadał — także w myślach — pieczone przepiórki, popijając je pachnącym piwem, trzeci odrywał niewielkie kęsy jesiotra i grymasząc, zmieniał różowe brythuńskie na czerwone stygijskie, a czerwone stygijskie na białe agrosskie... Łaknienie było tak wielkie, że niemal czuli w powietrzu cudowne wonie różnych potraw. Podnieceni komedianci zaczęli pokrzykiwaniami poganiać swych woźniców i wybladłe twarze poróżowiwały lekko w oczekiwaniu ucztowania. Nie mieli wątpliwości, że można tu podjąć, jak się patrzy — ulice pstrzyły się szyldami karczem i szynków, tu i ówdzie kręcili się nawoływacze, kołatkami i przenikliwymi krzykami przyciągając uwagę przechodniów...

Wreszcie powożący pierwszym wozem Igrat zatrzymał klacz na niewielkim, okrągłym placu, wyłożonym czarnym płaskim brukowcem. Plac stanowił wyraźnie ulubione miejsce spacerów mieszczan, gdyż przechadzali się po nim uroczyście przedstawiciele tutejszej śmietanki towarzyskiej, pogardliwym syczeniem odganiając gromadki oberwanych dzieciaków. Umieszczone na zachodniej i wschodniej stronie fontanny — bez wątpienia ozdoba i duma Pritimusa — w postaci nieregularnych trójkątów, wyłożonych czarnym, żyłkowanym srebrnymi nitkami marmurem, wykorzystywane były przez nie nawykłych do nich mieszczan jako studnie. Komedianci natychmiast zauważyli, że co i raz podchodzi do nich ktoś z dzbanem, flaszka czy wiadrem po czystą, przejrzystą wodę, która niewysoką strugą biła z otwartych paszcz nieznanach zwierząt, przypominających nieco morskie koniki. Poza fontannami na placu nie było żadnych budowli — ani pałacu, ani świątyni — i komediantom było to bardzo na rękę.

Oko Mitry świeciło wysoko na jasnym niebie i jego miękkie, ciepłe promienie kładły się równo na ziemi, połyskując matowo na czarnym kamieniu i rozbłyskując kolorowymi ogieńkami w strugach fontann. Znudzeni sterylną niemal urodą swego kraju mieszkańcy snuli się leniwie w podmuchach delikatnego, świeżego wiatru, w głębi duszy marząc o burzy z ulewnym deszczem lub o śnieżycy, które tak dokuczały Hyperborejczykom, Vanaheimczykom i innym narodom Pomocy, lub choćby o paru chłodnych dniach. W istocie po stracie Dijona Grubego Attalus znalazł się daleko od zarzewi powstań i waśni domowych tak, że nienawykli do pokoju mieszkańcy wprost umierali z nudów. W tej sytuacji nieoczekiwane pojawienie się trupy komediantów podobne było trzęsieniu ziemi. Mieszkańcy miasta obstąpili wozy i z nieskrywaną ciekawością przyglądali się szeroko otwartymi oczami poczynaniom komediantów. Ci w ponurym milczeniu — bowiem puste żołądki wciąż dawały o sobie znać — ściągali z wozów zetlałą tkaninę ubarwioną kwiatami i gwiazdami, obnażając drewnianą dziurawą podłogę swej przystani na kołach. Wkrótce ustawione obok siebie pojazdy utworzyły coś w rodzaju pomostu, na który z wymuszonym uśmiechem wdrapał się Micher, cały obwieszony trąbkami, piszczałkami i czerwonymi szmatkami, co miało stanowić wesołe przebranie trefnisia. Nabrał głęboko powietrza, czerwieniąc przy tym niczym koguci grzebień, i nagle zaryczał tak ogłuszająco i groźnie, że

nie wszyscy stojący w pierwszych rzędach utrzymali się na nogach.

Trzeba przyznać, że komedianty nie mniej niż mieszczenie zdumieni byli wystąpieniem współbrata. Jego zadanie ograniczało się tylko do przywitania najszanowniejszej publiki, ogłoszenia chwały „szmaragdu” Aquilonii — to znaczy miasta, w którym odbywało się przedstawienie, w tym przypadku Pritimusa — a następnie Mado miał zadziwiającym trelem oszalałego z miłości słowika uradować subtelny słuch szlachetnych mieszczan. Niestety, Micher ryczał niczym byk, być może także upojony miłością, i dźwięki te absolutnie nie mogły zadowolić niczyjego słuchu.

Oniemiali komedianty przytomnieli wreszcie — chwała Mitrze, uprzedzili w tym mieszczan — i z najwyższym trudem ściągnęli wierzgający i kłusający kłębek z pomostu. Gdy koledzy wpychali do ust Michera knebel z jego własnych czerwonych szmatek, Mado zajął jego miejsce i... Nigdy jeszcze mieszkańcy Pritimusa nie słyszeli tak zadziwiającego mistrzostwa. Rudzielec zamknął oczy i kłaskał, terkotał, śpiewał; głos jego to wznosił się, przelewając najwyższymi nutami, to opadał, dudniąc i klekocząc gdzieś między gardłem a językiem.

Pieśń się skończyła, lecz nie umilkła, tylko płynnie przepłynęła w inne światy — dalekie, niezbadane i tak nęcące... Z oddali dobiegł łoskot gromu, zawył potężny północny wiatr, z każdą chwilą przybliżający się do jasnej, ciepłej Aquilonii, grożąc zakłóceniem spokoju i zmieceniem z powierzchni ziemi maleńkiego Pritimusa... Mieszczenie odruchowo zadarli głowy do góry, by ze zdumieniem ujrzeć czyste niebo, bez najbliższego bodaj obłoczka. Igrat słuchał swego ulubieńca z zapartym tchem. Oto Mado urwał dźwięki rozpętanej burzy i zaczął naśladować plusk fal na brzegu. Lecz co się dzieje na tym brzegu? Zagrzebany w piasku śpi zmęczony wojownik. Sen ma niespokojny: co i raz szlocha, mruży, jęczy. Śni mu się bój. Wydaje bojowe zawołanie i w tej samej chwili na jawie rzuca się na niego wróg. Ostry zamach klingi, cios!... Przedśmiertny charkot wojownika zagłusza triumfalny szepł jego wroga...

Mado zamilkł. Grube krople potu spływały z jego bladej, piegowanej twarzy. Uśmiechnąwszy się krzywo, błazeńskim gestem rozłożył cienkie ręce, skłonił się do podłogi przed szacowną publicznością i zeskoczył z pomostu. Mieszczenie wybuchnęło radosnym krzykiem. Nigdy do tej pory nie zetknęli się z taką sztuką. Na rudzielca posypał się deszcz miedziaków, wśród których błyskało także złoto. Wielu rzucało monety garściami, wygrzebując z sakiewek w zachwycie wszystko, co tam było, a ci, którzy pieniędzy nie mieli, rzucali komediantowi kurtki, pasy, czapki...

— Szanowna publiko! — wykrzyknął poczerwieniały z zadowolenia Leonso. — Szanowna publiko! Przedstawienie jeszcze się nie skończyło!

Popchnął kułakiem Zazałę i ten, chwytając za rękaw Ulina, który ze łzami w oczach całował Mado w rudą łepetyną, wdrapał się, postępując, na pomost. Krzyki zachwytu powoli ucichły. Mieszczenie zapomnieli już o zadziwiającym występie małego i z niecierpliwością czekali na następny numer. Wspaniale rozpoczęte przedstawienie trwało dalej.

— Ach, Mado, Mado — rzekł z wyrzutem Leonso, smakując różowe ophirskie wino. — Dlaczego nie zawsze jesteś taki dobry? To, czym rozradowałaś dzisiaj tych niedonosków, godne było samych królów.

— On mógłby nas wszystkich wyżywić — wymamrotał Agrej, któremu nie udało się wystąpić, gdyż sakiewki Pritimusan były już puste, i nagradzali komediantów samymi tylko zachwyconymi krzykami, a tych w traktierniach zamiast należności za kolację nie przyjmują.

— Wałkoń! — odezwał się surowo gruby Hugo.

— Leń śmierdzący... — zasyczał ze swą zwykłą złośliwością Senizonna. — Jedyne, co potrafi, to jemiołuszki naśladować... Przygłup.

— A! — beztrasko machnął ręką Mado, nie zwracając uwagi na wypowiedź urodziwego smętka. — Teraz się udało, a jutro nawet słowa nie wymówię. Znasz mnie przecież, Leonso...

— Dlaczego Agrej zawsze może kręcić się jak fryga i zwiąć się niczym wąż? A Zazała z Ulinem zawsze mogą połykać ogień i rzucać w siebie brukowcami wielkości twojej głowy? Nie, Mado, Hugo ma jednak rację. Jesteś leniem!

— Capy cuchnące! — rozeźlił się rudzielec. — Zrą za moje pieniądze, a mnie z błotem mieszają! Oddawaj kość, grubasie! Piwo też! A ty, bałwanie — rzekł Mado, wybałuszając oczy na nieporuszenie obgryzającego kogucią nogę Senizonnę — wynoś się stąd do Nergala!

— Uspokój się, Mado — burknął Hugo, odbierając z powrotem swą kość i kufel z piwem.

— Leń śmierdzący... — powtórzył z zadowoleniem Senizonna, rozkoszując się kogucią nogą, której nawet nie miał zamiaru oddawać Mado.

— Cicho tam wreszcie! — wykrzyknął Leonso, przerywając zaczynającą się awanturę. Mado syknął, ale zamilkł, rzucając na współtowarzyszy wściekłe spojrzenie. W porwywie złości uszczyptała nagle Igrata w kolano, ten pisnął cicho, nie śmiejąc jednak oskarżyć rudego, i dopiero potem mały uspokoił się.

Jednak Senizonna, dla którego nie było większej rozkoszy, niż szczepić się z bliźnim, zamruczał rozczarowany.

— No co, psy? — odezwał się Leonso, zacierając ręce. — Przenocujemy w tym gościnnym miasteczku i o świcie w drogę!

Ociężali po obfitym posiłku wstali od stołu i ziewając, z żalem patrzyli na ostatki własnej uczt. I tylko Senizonna nie bawił się w subtelności. Bez najmniejszego skrępowania zbierał do swego worka nie do końca obgryzione kości i kawałki chleba, zrzucił z talerzy fasolę w sosie i z obrzydzeniem oblizał zapaćkane palce. Dławiąc się, dopił z kufli piwo i wino, beknął i pospieszył za towarzyszami, którzy opuścili już karczmę, z rozkoszą zanurzając się w świeży mrok zapadającej nocy.

Po raz pierwszy od wielu dni żołądek strzelca był nabyty do granic możliwości, i to nie suchymi skórąmi, zebranymi po drodze, ale najprawdziwszymi potrawami, które za całą kupę miedziaków przyniósł im na stół bystry gospodarz. Ale gdyby ktoś wiedział, ile wysiłku kosztowało go wepchnięcie w siebie takiej ilości wspaniałego jedzenia! Niejeden raz robiło mu się słabo na myśl, że teraz właśnie zadławi się i umrze, nie dopełniając tego, co zamierzył. Wszystkie siły wytężał, by zachować obojętny wygląd, i zmuszał się, by połykać kolejne kęsy, czując jednocześnie, jak kaleczą rozpalone gardło.

Wreszcie tortury skończyły się, komedianci wyszli na ulicę, gdzie królował już błogostawiony mrok, i nocny chłód wziętą idących w swe miękkie ramiona. Etej szedł chwiejnym krokiem wraz z przekłętymi komediantami, którzy nie przepuścili najmniejszej sposobności do żartów — jak zawsze głupich i w niewłaściwej chwili. Odgryzał się niemrawo, ledwie powstrzymując jęk. Głowa znowu zaczynała mu pękać i zdawało się, że wybuchnie gorącymi iskrami i spali mózg... Z trudem wgramolił się na wóz, padł na podłogę i zasapał cicho, udając sen. Pozostali szybko poszli jego śladem i wkrótce trupa chrapała na czternaście gardeł, aż rzadcy przechodnie odskakiwali w zdumieniu.

Dopiero teraz Etej mógł otworzyć oczy i rozluźnić się nieco. W tej samej chwili znajoma postać pojawiła się przed nim w mroku. Ale nie była to Belit. Odwiedzała go od dzieciństwa, strasząc, a zarazem obiecując coś, czego nawet nie śmiał się domyślać. Jej ręce przesunęły się płynnie po jego twarzy jak kropla deszczu, która przelatując mimo, zawadza o policzki. Białe, nie widzące oczy wpatrzyły się w punkt między jego brwiami i strzelec poczuł tam lekkie pieczenie. Zamarł i wpuścił w siebie to ciepło, a ono natychmiast rozlało się w jego głowie, rozjaśniając biedne, monotonne myśli, rozrzucając przeszłość, budząc wyobraźnię... Miejsce upiornej postaci zajęła kobieta z krwi i kości i Etej z dziecięcą ciekawością pochwycił jej gorącą woń; nagle przywarł do niej całym ciałem, pragnąc prawdziwej — tylko prawdziwej — miłości, takiej, której nigdy jeszcze nie doświadczył...

Lecz i to okazało się oszustwem, a może mirażem, jak wszystko w dawnym i obecnym życiu strzelca. Kobięca postać obróciła się z cichym śmiechem i rozplynęła się w mgłę, zostawiając po sobie jedynie gorący, lecz szybko stygnący zapach. Przez ułamek sekundy pojawiła się w tym tumanie czysta twarz Belit, popatrzyła ze smutkiem na zakłopotaną fizjonomię ogłupiałego strzelca i oczywiście zniknęła. Cóż miałyby robić w cuchnącym wozie obok spoconych ciał błaznów i żalosnego nieudacznika... Żalosnego? Nie — strasznego, dzikiego, groźnego. O Erliku! Etej wytarł zalewające oczy łzy i położył się. Ale sen — jedyne święto w jego ziemskim istnieniu — nie nadchodził, by przynieść mu ulgę. Z przerażeniem poczuł zbliżający się ból. Cienkimi igłami dotykał lekko jego ciała, jakby obiecując, że za chwilę wbije się w nie bezlitośnie...

Zagryzł wargę i wyciągnął najpierw jedną, potem drugą nogę. Nie udało się. Kurcze zaczęły szarpać jego ciałem od końców palców do samych ramion. Czując, że za chwilę serce pęknie mu z bólu, strzelec usiadł, wpił paznokcie w podeszwy, potem w kostki, łydki... W momencie, gdy od nieprawdopodobnej tortury przestał już oddychać, ból przeszedł. Poruszył się ostrożnie, nie dowierając. Ciało jego było wolne i lekkie jak w czasach młodości... Jednak nie cieszył się jeszcze; poczuł nagłe rozdrażnienie. A więc wysokie niebios a chcą zakpić sobie ze swego niewolnika? Co u... Spozregł się na czas, łajac się za swój wstrętny charakter. Przekleństwa, które już miały wyrwać mu się z ust, nie zabrzmiały. A przecież i tak nazbyt wiele sobie pozwolił! Nawet za chwilę nieposłuszeństwa może zostać pozbawiony wielkiego zaszczytu zemsty nad nienawistnym barbarzyńcą! O Erliku... A czyż nie przywykł do tej pory do drwin? Z całej siły uderzył się w brodę, czując z rozkoszą ostry ból, i znowu

opadł na podłogę, przeniknięty teraz jednym pragnieniem — spać.

VI

Ostry ból w lewej dłoni ocucił Conana. Podniósł głowę, wstrząsając przesiąkniętymi krwią pasmami czarnych włosów, rozkleił rzęsy i ze zdziwieniem popatrzył na swoją dłoń. W jej środku widniała czarna dziura. Purpurowe strużki ściekały po spierzchniętej skórze, kapąły na klepisko, w które natychmiast wsiąkały, zostawiając na powierzchni tylko ciemną, wilgotną plamę.

Conan zaklął szpetnie, oderwał zębami od koszuli skrawek cienkiej tkaniny, złożył go i przycisnął palcem do rany. Wiedział, co teraz się stanie, lecz jako prawdziwy barbarzyńca nie chciał i nie potrafił bezmyślnie i smętnie czekać — na miłość, bitwę, tortury i śmierć. Na nic. Wyrzucił więc z głowy wszelkie niepotrzebne myśli, postanawiając rozejrzeć się i ustalić, gdzie się znajduje. Potem zdecyduje, co robić.

Zżarte przez wilgoć ponure, szare ściany, niskie sklepienie, usiane gęsto czarnymi plackami nieznanego pochodzenia, maleńkie jak wejście do nory drewniane drzwiczki, ledwo wiszące na jednym zawiasie i podparte z zewnątrz czymś ciężkim, rozeschnięte beczki w kącie — obecna siedziba króla była bez wątpienia najzwyczajszą piwnicą. Niejeden raz w życiu zdarzało mu się leżeć lub kryć się w równie ciemnych podziemiach. Ale jak znalazł się tutaj? Może jakiś litościwy Khauranin przywłókł go tu po walce?

Na wspomnienie walki jęknął mimowolnie. Ten stary krętacz miał rację: niczego w przeszłości zmienić nie można. Lecz jak nauczyć się żyć tak, by później nie pragnąć niczego zmieniać? Król wrzucił ramionami i odpowiedział sobie splunięciem na podłogę, po czym poderwał się na nogi i ruszył do drzwi. Dawno już powinien odnaleźć meira Cemido i wrócić w swój czas. Na Croma! Co miałby tu jeszcze robić? Znowu cierpieć męki rozpiętego na krzyżu? Po co? Wszystko to stało się dziesięć lat temu! Wszystko ma swój czas... Nie zdążył jeszcze zrobić kilku kroków, gdy prawą dłoń przeniknęła straszliwy ból. Jeszcze jedna wiadomość z przeszłości... Wzdrygnął się i stanął. Na moment pociemniało mu w oczach. Zacisnąwszy zęby, wspomniawszy wszystkie kończyny Nergala, którymi według niego bóg rzucał przekleństwa na shemickich najemników, oderwał jeszcze jeden skrawek koszuli i obwiązał nową ranę.

Doskonale pamiętał pałace słońce tamtego dnia dziesięć lat temu — oko pomyślności Mitry, które bywało nie tylko łagodne, czyste i ciepłe, ale także obojętne, a nawet okrutne. Pamiętał martwą pustkę dookoła, własną bezsilność i wrażenie chłodu ciągnącego od ciemnego muru Khauranu za jego plecami. Pamiętał też uśmieški na twarzach przybijających go do krzyża Shemitów i ohydny uśmiech Konstancjusza, który górując na koniu w otoczeniu swych zakutych w pancerze wojowników, z nie ukrywanym zadowoleniem przyglądał się męce ukrzyżowanego barbarzyńcy. A na niebie w oczekiwaniu łatwej zdobyczy krążyły już ścierwniki. Krążyły coraz niżej, z niecierpliwością otwierając krzywe dzioby i kracząc przenikliwie, i Conanowi zdawało się, że czuje ich zapach — gryzący smród rozkładającego się mięsa... Tak, wtedy uratował go Garet, przywódca szajki Zaugirczyków. Uratował go dla siebie — Cymmerianin wart był w boju sześciu mocnych wojowników, a jego wytrzymałość, przypominająca raczej zwierza niżli człowieka, sprawiała, że był naprawdę bezcenny.

I znów z dłoni bryznęła krew. Król strząsnął ją i usiadł na ziemi, bo wiedział, że teraz gwoździe powinny wniknąć w jego nogi. Wyczuł przez skórę, jak zarośnięta czarnymi, kędzierzawymi włosami shemicka ręka unosi się z zaciśniętym w pięści młotem i... Poczuł w czaszce i plecach przenikliwy ból, lewy but napełnił się gorącą krwią. Zaciskając zęby na kołnierzu kurtki, by nie odgryźć sobie wargi, oderwał go z przekleństwem. Teraz należało zdjąć drugi but, ponieważ ręka oprawcy sięgnęła już po czwarty, ostatni gwóźdź...

Szarpnąwszy się, przyjął i ten cios. W mglistej czerni wirujących przed oczami kręgów dostrzegł cały krzyż, a na nim samego siebie: rozpięty, osłonięty jedynie przepaską na biodrach, patrzył z dziką nienawiścią na Konstancjusza i jego popleczników, żałując jedynie, że przed śmiercią nie zdążył wyprawić na Szare Równiny tej brudnej kothyjskiej kreatury, która zdradą zdobyła władzę w Khauranie... Jak przez sen dotarły do Cymmerianina klekotanie i łopot skrzydeł ścierwników, czekających na ciało jeńca. Zacisnąwszy pięści, wydał głuchy, zwierzęcy ryk, podniósł się i postąpił niepewnie ku drzwiom. Nadal jeszcze źle widział, osłepiony bądź to bólem, bądź nienawiścią, a najpewniej i jednym, i drugim.

Wilgotna ziemia łapczywie wciągała krew, ściekającą z jego poranionych rąk i nóg, a z góry, ze sklepienia, na głowę i ramiona króla kapąca inna wilgoć — biała, mętna, cuchnąca... Chłodne krople ożywiły nieco Conana. Oczy znowu wyraźnie widziały wzór, utworzony z

mokrych plam, czarne szczeliny w beczkach, niziutkie drzwiczki...

Zamarł, wpatrzony w drzwi, które otwierały się powoli, pchnięte ostrożnie czyjąś ręką... Jeszcze chwila i w czerni za nimi pojawiło się nagle ogromne, pełne smutku piwne oko.

— Mgars... — wypuścił powietrze z płuc Cymmerianin, nie pojmując, z jakich głębi jego pamięci wyrwało się to dziwne imię.

Pod rozpaczliwym uderzeniem czyichś słabych raje drzwi rozwarły się i przed Conanem pojawiła się smągła dziewczyna ze wspaniałymi włosami barwy dojrzałych kasztanów. Gibka i ruchliwa niczym jaszczurka, odziana tylko w lekką, jasną tunikę, rzuciła się w stronę króla i przywarła do niego całym ciałem. Conana owionął cudowny zapach kwiatów...

— Mgars...

Przypomniał sobie wszystko. Wtedy, dziesięć lat temu, kochał ją przez dwa dni i dwie noce — tuż przed tym, jak wiedźma Salomea wydała Khauran na pastwę Shemitom. Być może dlatego właśnie pamięć przywiodła owe gorące dni w maleńkim domu Mgars, piętrowym pudełeczku na ustroniu... Dziewczyna mówiła mu o sobie, o swej miłości, o...

Ale bardziej niż w słowach wołała kochać go w rzeczywistości. Jednak Conan natychmiast przypomniał sobie jej opowiadanie, choć ani razu nie myślał o nim przez ostatnie lata.

Mgars była córką zimbabwejskiego księcia M'Waachu, niepodzielnie rządzącego ogromnym terytorium, gęsto zaludnionym pokracznymi czarnymi tubylcami. Matka jej, piękna białolica Turanka z ograbionej i wymordowanej karawany, niedługo męczyła się w niewoli jako trzydziesta szósta żona w brudnym, gorącym i dusznym haremie niekochanego małżonka. Kiedy zielona gorączka przeniosła się na Zimbabwei, zgasła cicho, a po niej równie cicho, bez łez i skarg odeszły na Szare Równiny jeszcze trzydzieści trzy żony M'Waachu, zostawiając mu dwie najbrzydsze, złośliwe staruchy. Księżę także niedługo zakończył swą ziemską drogę, utopiony w rwącym podstępny Styksie przez bandę Iranistańczyków, i maleńka Mgars, powtarzając los swej matki, znalazła się w niewoli.

Szyderstwa, bicie i ciężka praca od świtu do nocy — wszystkiego doświadczyła. Wolność odzyskała cudem, gdy nieoczekiwanie zasnął snem wiecznym jej ostatni gospodarz, ghoryjski kupiec Walazjusz. Korzystając z zamieszania, jakie zapanowało w noc jego śmierci w ogromnym ponurym domu, dziewczyna uciekła, w strachu nie biorąc ze sobą niczego oprócz pary rozdeptanych sandałów. W Khauranie znalazła sobie bogatego protektora, który z wdzięczności za jej miłość i pieszczoły obiecał, a potem rzeczywiście podarował dziewczynie niewielki, przytulny domek na skraju miasta. Tu właśnie śniada piękność poznała kapitana gwardii królowej Taramis — Conana Cymmerianina.

Cała ta historia przemknęła przez myśl króla w ciągu jednej chwili. Jeszcze mocniej przygarnął Mgars do siebie i z rozkoszą wdychał woń jej włosów.

— Na Croma... — wymamrotał. — Zdaje się, że mnie uratowałaś, dziewczyno?

— Nie wiedziałam... — szeptała, drażniąc wargami jego obnażoną pierś. — Nie wiedziałam, czy żyjesz jeszcze, mój panie... Znalazłam cię niedaleko swego domu, pod świątynią Mitry...

— Jakżeś ty mnie tu przywlokła?

— O... — jęknęła dziewczyna. — Strach nawet o tym wspominać. Chciałam kogoś wynajść, żeby donieść ciało mego ukochanego, ale... Nikt się nie zgodził! Wokół panika, Shemici włączają się po mieście w poszukiwaniu rannych... Musiałam przetoczyć cię na moją narzutkę i ciągnąć ulicami, kryjąc się w ściekach przed psami i błyskającymi hełmami...

— Możesz uważać, że zwróciłam ci dług.

Conan odsunął się nieco i zająrzył w oczy Mgars, gdzie ogniki gniewu, które zabłyśły w ciemnej, niemal czarnej głębi przy jej ostatnich słowach, zamieniły się w iskiereki radości.

Dziewczyna uśmiechnęła się, pochyliła głowę, patrząc figlarnie w górę na wielkiego Cymmerianina po czym, nie mogąc powstrzymać radości, podskoczyła i cmoknęła go w twardą szczękę. Raptem spoważniała znowu i z westchnieniem przywarła do jego piersi.

Serce Conana drgnęło; nie wiedział, co stanie się z tą dziewczyną potem, kiedy...

Tego roku Khauran co jakiś czas niepokoiły pogłoski o brutalnych zabójstwach, dokonywanych przez szajkę zbójców prowadzonych przez niejakiego Chalimsę Sześciopalcego. Ofiarami bandytów padali zazwyczaj nobile, kupcy, bogaci handlarze, lichwiarze — słowem ci, których prości ludzie nie bardzo żalowali, jednakże pewnego razu strach poraził także i ich serca. W ciągu jednej nocy Chalimsa Sześciopalczy zwyczajnie, dla własnego zadowolenia, wyrznął połowę dzielnicy rzemieślników, gdzie mieszkali tylko z trudem utrzymujący swe rodziny biedacy. Dlaczego? Przestrzegający prawa mieszkańcy Khauranu — biedni i bogaci, znanego rodu i niskiego pochodzenia — wszyscy zadawali sobie to pytanie i nie znajdując odpowiedzi, mocowali do swych drzwi wciąż nowe sztaby i zamki. Jednak bandytów nic nie mogło powstrzymać. Już przedtem beczelni, a teraz wprost

upojeni świadomością własnej bezkarności, zaczęli napadać na ludzi w biały dzień. Wpadali do domów, urządzali naloty na bazy, dewastowali sklepiki i izby blondów–prawoznawców, którzy za niewielką opłatą rozstrzygali sprawiedliwie różne sprawy... W ten sposób wielu ludzi widziało na własne oczy i Chalimsę, i jego zbójców.

Różnie opisywano Sześciopalcego, ale co do głównych cech wszyscy byli zgodni. Potężne chłopisko miało niskie czoło, długie prawie do pasa, brudne, rzadkie włosy i czarną, w przeciwieństwie do włosów gęstą, szczecinę na twarzy. Wyglądem przypominał goryla: ręce długie, chude, dziwnie wyglądające przy potężnym torsie; nogi krzywe, krótkie, lecz niebywale grube, mocno osadzone w tłustym, obwisłym zadzie; u każdej ręki sześć tłustych palców, a wszystkie zakrzywione jak haczyki. Co do fizjonomii świadkowie nie mogli się zgodzić. Jedni mówili, że Chalimsa ma długi i cienki jak szacowny nobil nos, wargi wąskie, pozbawione koloru, a oczu zza tłustych policzków prawie nie widać. Inni uważali, że jego nos wygląda jak pękaty ogórek, wargi są grube i zawsze wilgotne, a oczy wąskie jak u Khitajczyka. Pozostali twierdzili wręcz, że Sześciopalczy nie ma ani nosa, ani ust, tylko oczy i tłuste policzki.

I takie straszdyło miało czelność zakochać się w pięknej Mgars, którą zobaczyło przypadkowo na ulicy. Właściwie to nie była miłość. Brudny nie tylko z wyglądu, ale i w swoim wnętrzu, z czarną jak mgła imperium Nergala duszą, wyrodek ten nie mógł, bo nie potrafił, kochać. To lubieżna namiętność zawładnęła nim na widok smagłej piękności. Chalimsa ryczał, oblizywał w pożądaniu swe krwistoczerwone, wiecznie wilgotne wargi, dając tym gestem podstawę do wyobrażeń, co zrobi z Mgars, kiedy ta wpadnie mu w ręce. Na razie jednak nie zamierzał się spieszyć. Po raz pierwszy w życiu zapragnął wziąć kobietę nie siłą, lecz wywołanym w niej pociąganiem. Niestety, ów zażarty, wstrętny zabójca mylił się mocno co do swej powierzchowności. Takiego brudnego, cuchnącego potwora nie pokochałaby nie tylko kobieta, ale i małpa. Tak więc jeśli Mgars obróciła spojrzenie na Chalimsę, to nie z kokieterią, ale ze wstrętem, czego on nie mógł pojąć.

Wszyscy brzydzili się tego stwora, nawet jego najbliżsi kamraci, lecz — co zupełnie zrozumiałe — niespieszno im było demonstrować owe uczucie. Chalimsa Sześciopalczy odznaczał się niepohamowanym temperamentem, przy czym widać było, że z głową u niego także nie jest dobrze. Gdy uświadomił sobie wreszcie, że Mgars nie pragnie widzieć w nim płomiennego wielbiciela i doświadczonego kochanka, zaczął otwarcie o nią zabiegać. Jeśli do tej pory chodził za nią tylko od czasu do czasu na ulicy, teraz wstępował do maleńkiego domku na skraju miasta. Początkowo panował nad sobą i pod obrzydliwym uśmiechem ukrywał narastające rozdrażnienie i wzbierającą do nagłego wybuchu agresję. Potem zaczął się ujawniać jego charakter.

Mgars nie śmiała go wygnać. Od dzieciństwa nawykła do niewolniczej egzystencji, cierpiała tylko w milczeniu, patrząc, jak brudny stwór oddaje mocz do jej wspaniałej aquilońskiej wazy lub spluwa na stół, trafiając prosto w jedzenie, jak smarcze w podolek jej sukni, a wieczorem zasypia rozwalony na dywanie, wstrząsając dzikim chrapaniem jej schronienie... I oto kiedyś przyszedł do niej Conan.

Chalimsa czuwał, popijając przyniesione ze sobą piwo. Strugi piany ciekły po szczecinie jego skrzywionego podbródka, zraszały brudną, pokrytą tłustymi plamami kurtkę, by wreszcie znaleźć się na portkach, dokładnie między nogami, co sprawiło odrażające wrażenie i Mgars wybiegła co chwila na podwórko, skręcając się z obrzydzenia. Niestety, musiała wracać, potwór bowiem groził spaleniem domu, gdyby spróbowała ucieczki. A dla dziewczyny, która nigdy przedtem nie miała własnego schronienia, dom był droższy od wszelkich kosztowności. Conan przybył nieoczekiwanie. W tawernie Pod okiem promiennej Isztar znajomy Walery opowiedział mu o prześlicznej dziewczynie, która mieszka na skraju miasta i chętnie podarowałaby swą miłość odważnemu wojownikowi. Tak więc Conan, który zdążył już nieźle popić kwaśnego czerwonego wina, wybrał się do Mgars, pragnąc spędzić noc w ramionach ślicznotki. Lecz pierwsze, co zobaczył w jej izbie, to postać poczwary, która siedziała w półmroku na podłodze i popijała piwo z antałka. Kapitan ściągnął brwi i odwrócił się, by wyjść, lecz w tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Mgars. Twarz dziewczyny była tak nieszczęśliwa, że Conan, natychmiast wszystko zrozumiał, postanowił zostać. Chalimsa nie od razu zwrócił uwagę na nowego gościa. Dopiero gdy Conan dotknął czubkiem miecza jego tłustego karku, obrócił się, obejrzał Cymmerianina od stóp do głów i splunął w jego stronę. Kapitan gwardzistów bez najmniejszego wahania jednym ciosem ściął potworowi pół głowy.

Z jakiegoś powodu to proste rozwiązanie nie przyszło mieszkańcom miasta do głowy. Zamki, sztaby... Czy można wstrzymać tym zuchwalca? Wstrząśnięta Mgars stała przed Conanem i nie spuszczała zeń oczu. Trup Chalimsy i jego krew na drogim dywanie

nieszczególnie poruszały córę dalekiego Zembabwei. Znacznie bardziej interesował ją potężny młodzieniec, który tak spokojnie rozprawił się z jej dręczycielem. Smagła piękność podeszła swym lekkim krokiem do kapitana i wyciągnęła do niego szczupłe, zwinne ręce... Tak Conan poznał Mgars...

...Nieoczekiwanie dziewczyna odskoczyła od niego i wpatrzyła się uważnie w oczy ukochanego, jakby pragnęła sprawdzić, czy naprawdę żyje i znajduje się w jej domu. W napięciu badała wszystkie jego rysy, poznawała blizny i cienkie zmarszczki, przecinające jego czoło, policzki i brodę, po czym spojrzała na grzywę splątanych czarnych włosów i twarz jej ściemniała.

— Conanie! — wykrzyknęła cicho zdumiona, nie wypuszczając jego ręki. — Ty masz siwe włosy... To z powodu tej gadziny Taramis!

— To nie Taramis — poprawił ją surowo Conan — lecz uzurpatorka, która wzięła sobie imię i tron królowej. Wiedźma! Klnę się na Croma, że to najzwyczajniejsza wstrętna wiedźma! Zazgrzytał zębami, jakby znowu zobaczył przed sobą twarz Salomei z szalonym błyskiem w przepięknych oczach, w których pożądanie łączyło się z podłością i okrucieństwem. Mimowolnie zacisnął pięści i z zasklepionych już ran znowu trysnęła krew.

— Co to? — Mgars odskoczyła przestraszona i krzyknęła na widok purpurowych kropli, spadających na jej białą tunikę i bosc stopy. Usta dziewczyny wykrzywiły się gniewnie, jakby to ją najemnicy poddali takiej udźce, i Mgars osunęła się na kolana, przywierając delikatnym policzkiem do sączącej się rany na prawej dłoni króla. Nawet przez chwilę nie zastanawiała się, jak i kiedy pojawiły się te ziejące czernią otwory, i Conan, który nie miał najmniejszej chęci niczego wyjaśniać, był z tego bardzo zadowolony. Podniósł ją lekko z kolan i krucha, szczupła dziewczyna zadrżała nagle w jego rękach, ogarnięta płomieniem pożądania, a jego udęczone ciało odpowiedziało natychmiast na to wezwanie. Przywarł namiętnie do jej ust, gorącymi pocałunkami pokrył delikatną skórę twarzy, szyi i ramion... Powiewna tunika Mgars ześlizgnęła się na ziemię, ukazując wspaniałe kształty, i wargi Conana podążyły jej śladem, prowadzone cichymi westchnieniami i jękiem dziewczyny... W takich okolicznościach był to ukochany akompaniament króla! Cicho mruknął i nie przestając parzyć jej skóry pocałunkami, porwał dziewczynę na ręce, gwałtownie pchnął nogą uchylone drzwi i ruszył na górę po krętych, potłuczonych stopniach, ani na chwilę nie zastanawiając się, gdzie musi skręcić albo schylić głowę. Nie obchodziło go, jak jego pamięć przechowywała te wspomnienia, pragnął tylko jednego — opaść na pokryte miękkim khitajskim dywanem szerokie łóżce, na którym spędził kiedyś dwa cudowne dni i dwie zadziwiające noce... Wszedł wreszcie do dużego pokoju, oświetlonego cienką świecą, i zatrzymał się. Czując, jak jego oddech zlewa się z jej oddechem, jeszcze mocniej przytulił do piersi delikatne ciało, bezbłędnie odnalazł w półmroku kąt z łóżem i pewnym krokiem ruszył w jego stronę.

— Conanie, jak ty się zmieniłeś przez ten dzień. Jesteś zupełnie inny... Nie poznaję cię. Król uśmiechnął się. Jak tu się nie zmienić przez dziesięć lat! Lecz Mgars nie mogło nawet przyjść do głowy, że jej ukochany po prostu się zestarzał... Odwrócił się i popatrzył na śliczną buzię. W nikłym blasku jedynej świecy śniada cera wydawała się bielsza, cień rzęs padał na delikatne policzki, a w czarnych oczach błyskały maleńkie gwiazdeczki, w których odbijał się sam Conan. Wpatrzył się w swą stokrotnie zmniejszoną twarz, chrząknął niezadowolony i przejechał palcami po głowie, zaczesując potargane włosy. Upojna, lecz i wyczerpująca, miłość, jaką podarowała mu Mgars, trwała połowę nocy, nic dziwnego, że Conan poczuł nieprzeparty głód i jeszcze większe pragnienie. Westchnął i pomacał w przepastnych kieszeniach wsuniętych pod jedwabną poduszkę spodni, lecz niczego nie znalazł.

— Zaraz przyniosę! — Mgars natychmiast odgadła jego myśl. Wyślizgnęła się spod cienkiej, lecz ciepłej, kołdry, czubkami palców przesunęła lekko po policzku Conana i zniknęła w mroku pokoju, gdzie nie docierało światło świecy. Król obejrzał swe rany i z zadowoleniem stwierdził, że choć jeszcze dokuczały, już zakrzepły; nie chciał mu się wracać do Tarancji z takimi znakami. Ciekawe, ile czasu minęło od chwili, gdy meir Cemido przeniósł go w przeszłość... Czy rzeczywiście Peljas zdążył wypić zaledwie trzy, cztery kubki wina? Żeby tylko... Stary cap Cemido wyraźnie nie liczył na tak długi pobyt Conana w Khauranie... Na Croma! Król zastygł na chwilę. Gdzie podział się meir? I dlaczego nagle Peljas postanowił przyprowadzić go do pałacu? Czyżby tak drogie było mu jego życie? A może... Nie, lepiej nawet o tym nie myśleć. Wszak Peljas nieraz pokazał się od najlepszej strony...

— Panie mój, pozwól, że zaproponuję ci trochę gorzkiego wina i odrobinę niedosolonego twardego mięsa.

— Daj — uśmiechnął się Conan. Natychmiast przypomniał sobie zabawny zwyczaj Mgars, która częstując gościa najbardziej wyrafinowanymi potrawami, wszelkimi sposobami obniżała w słowach ich wartość. Cóż, takie zwyczaje panowały w Zembabwei, jej ojczyźnie. Według dziewczyny, jeśli nie zbeształo się smacznego jedzenia, rzeczywiście stawało się obrzydliwe, i Cymmerianin nie oponował. Zwiedził wiele krajów, poznał różne, czasem wręcz zdumiewająco głupie obyczaje i doświadczenia podpowiedziało mu, że należy cudze przyjmować tak, jakby było własne, a uniknie się wielu nieprzyjemności. Może nawet uratuje życie. Zawsze przestrzegał niezmiennie owej zasady i nieraz dzięki temu ułatwiał sobie życie w dalekich krajach, w dzikich, zapomnianych przez Mitrę miasteczkach i wsiach... Tym razem również nie zwracając uwagi na dziwne słowa Mgars, którymi przedstawiła poczęstunek, król zasiadł żywo, postawił sobie na kolanach ażurową, zrobioną z cienkiego złotego drutu tacę, i wziął się za jedzenie. Gorzkie wino okazało się cudownym, cierpkim, a zarazem łagodnym w smaku turańskim czerwonym, a niesłone twarde mięso — wspaniałą postną cielęcina, zapieczoną w winnym sosie pod zieleniną. Aromatyczny, porowaty chleb dziewczyna pokroiła dokładnie tak, jak lubił — w wielkie, grube pajdy. Obok w srebrzystej wazie z pięknego khitajskiego kryształu podała masło. Wszystko to król, który dawno już przywykł do wykwintnej pałacowej kuchni, pochłoniął z nie ukrywanym zadowoleniem tak szybko, że nawet nie wiedział, czy najadł się, czy nie. Odbiło mu się, wytań usta wierzchem dłoni i przypadł do warg przyjaciółki, podsumowując w ten harmonijny sposób tak nieudane rozpoczęty, lecz wspaniale kończący się, dzień. Czy raczej noc, za oknem bowiem niebo rozjaśniało się, przybierając kolor szarości, a długa, cienka świeczka przemieniła się w maleńki ogarek...

— Mgars... Mgars...

Ziwnąwszy głośno, Conan wymacał ręką smukłą nogę dziewczyny i pogładził ją, zdziwiony jej nieco zbyt chłodną skórą. Mgars była zazwyczaj gorąca od wygrzanych słońcem kamiennych murów Khauranu i nieraz mówiła Cymmerianinowi o swej podwyższonej temperaturze. Gorzał w niej jakiś nie gasnący ogień, co bardzo pociągało Conana, który lubił czuć pod ręką żywe ciało...

— Mgars!

Otworzył wreszcie oczy i z uśmiechem pochylił się nad dziewczyną. Leżała na brzuchu z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała; włosy miała rozsypane na jedwabnej poduszce, a z kącika lekko rozchylonych obrzmiałych warg ściekała cienka strużka śliny. Wlewające się przez okno różowe światło zabarwiło ją swym kolorem... Na Croma! Conan wstrzymał oddech i zakreśliło mu się w głowie. To nie mogło być prawdą! Przecież spał obok niej! Może... Może w winie były zioła nasenne? Myśl przepadła niemal w tej samej chwili, gdy się pojawiła. Barbarzyńca nie miał zwyczaju pocieszać się w podobny sposób. Zazgrzytał zębami, nie odrywając oczu od ciała dziewczyny. Nie było wątpliwości — z kącika ust Mgars ciekła krew. Zmarła całkiem niedawno... Conan uniósł brzeg kołdry. Między łopatkami dziewczyny połyskiwała złota, obsypana drogocennymi kamieniami rękojeść zembabwejskiego kindżału. Należał do samej Mgars! Czyjaś ręka zatopiła go w jej plecach z taką siłą, że na delikatnej skórze odcisnął się ślad ręki mordercy... Król zaryczał ze wstrętem, czując swą bezsiłę. Gdyby mógł zostać tu na jakiś czas, wyjaśniłby, kto wyprawił Mgars na Szare Równiny przed wyznaczonym jej terminem. I to pod samym nosem Conana Cymmerianina! Chalimsa Sześciopalczy? Z tego, co wiedział barbarzyńca, tylko on zdolny był do takiego bestialskiego zabójstwa, lecz Chalimsy już nie ma! A może jeszcze żyje? Król zaplątał się zupełnie w czasie — co było, a co stało się potem... A jednak Chalimsy już nie ma. Więc kto? To pytanie nie dawało mu spokoju. Dlaczego nic nie słyszał? Przecież nie Mgars wyspała mu coś do wina. Nie mógłby jej wtedy bronić! A poza tym takie sztuczki nie leżały w jej naturze. Nie, to ktoś inny... Na razie pytania pozostawały bez odpowiedzi i — co doprowadzało go do wściekłości — nie było żadnej gwarancji, że kiedykolwiek je uzyska. Okoliczności, w których się znalazł, były zbyt niezwykle. Dziesięć lat temu! Pamiętał uśmiezek fałszywej Taramis, walkę na placu, przybijających go do krzyża Shemitów, radującego się wcześniej Konstancjusza i Mgars... Mgars jednak wspominał tylko jako żywą. Wtedy, wo walce na placu, nie widział jej więcej. Teraz dziwnym zrządzeniem losu rzuciło go we własną przeszłość i tam stało się to, czego w rzeczywistości nie było! Conan nigdy o tym nie myślał. Co to może oznaczać? Sprawa meira Cemido czy kaprys losu?

Lecz długie rozmyślenia nie należały do zwyczajów barbarzyńcy. Conan wyciągnął z ciała Mgars kindżał, przykrył ją ostrożnie, jakby w obawie, by jej nie przestraszyć, po czym ubrał się i, nie bojąc się zupełnie szalejących po mieście Shemitów, wyszedł na ulicę.

VII

Szeroka, prosta zalana słońcem droga była tak udeptana, że nawet kopyto czy koło nie zostawiało na niej śladu. Trudno zliczyć przybywające tędy do Tarancji i opuszczające ją karawany, samotnych podróżników, pragnących szczęścia, sławy i bogactwa w tym wielkim, wspaniałym mieście. Teraz jednak, w przededniu Mitradesu, podążał nią prosty i rodowy lud ze wszystkich zakątków perły Zachodu — Aquilonii — oraz przybywali wozami i piechotą wędrowcy z leżących niedaleko krajów. Wśród nich, podskakując i poskrzypując, płynęły powoli dwa kryte wozy, zaprzężone w dwie stare klacze.

Choć od dawna już widać było mury miasta, trupa Leonsa podjechała do południowych głównych wrót Tarancji dopiero pod wieczór. Różnoraki tłum szumiał tam, kłócąc się z nieprzejednanymi strażnikami, których zmęczył już ten dzień i goście. Ludzie z wielką niechęcią rozstawali się ze swymi monetami i wszyscy jak jeden pragnęli wejść do miasta bez opłaty. Lecz skarżący się co jakiś czas dziesiętnikowi na bezmyślne bytło tłoczące się u wrót bardzo oszukiwali, brana bowiem przez nich opłata była mocno zawyżona. Część pieniędzy szła oczywiście do skarbcza, druga część, i to wielka, do pękatych sakiewek samych stróżów porządku. Nie było na to rady i najroztropniejsi goście, domyślając się w końcu, co się dzieje, płacili i wchodzili do miasta, przeklinając w duchu pazernych strażników... Zresztą tak było wszędzie, we wszystkich krajach i we wszystkich, nawet najbardziej niepozornych i biednych, miastach.

Leonso zachował się po królewsku. Nie wdając się w kłótnię, rzucił kilka złotych monet, czym zadziwił zarówno tłum, jak i strażników, i wozy bez przeszkód wtoczyły się do miasta, odprowadzane zawistnymi spojrzzeniami skąpszych lub biedniejszych.

Pod czerwonymi, niemal purpurowymi promieniami zachodzącego słońca Tarancja wyglądała ośniewająco. Wysokie, piętrowe, a nawet dwupiętrowe domy zbudowane były nie tylko ze zwykłego kamienia, ale także z jadeitu, gagatu i marmuru. Wychodzące w większości na ulice okna mieniły się różnymi kolorami, co o tej porze roku wydawało się szczególnie piękne. Pod dachami na krótkich, wąskich wystęпах stał majestatycznie kamienny Mitra — wszędzie taki sam — spoglądający w dół z niezmienną dobroduszością i chowający w brodzie swój znamienity półośmiech.

Po przejechaniu wrót komediantci wysypali się z wozów i kręcąc głowami, zaczęli oglądać wszystkie te wspaniałości. Tylko Senizonna bywał kiedyś w Tarancji i okoliczność ta musiała popsuć nastroje jego przyjaciół, gdyż piękny chłopak nadał się natychmiast jak indyk i sykał głośno, wyrażając w ten sposób pogardę dla powszechnego, głupiego, według niego, zachwytu. „No i co tu wspaniałego, ośle?” — narzekał, szarpiąc za rękaw kurtki Jenkina. „A ty, rudzielcu, czegoś się tak wypiął, co? Podobna ci się ta ruina?” — i zaglądając w twarz Mado, machał pogardliwie cienką ręką w stronę piramidalnej budowli, otoczonej kolumnami kwitnących kasztanów. Wreszcie Leonso stracił cierpliwość, chwycił pięknego Senizonnę za kark i wrzucił go na wóz, a różowy nastrój komediantów przysł ostatecznie.

— Ja chcę do karczmy — obwieścił ponuro Ksant i popatrzył pytająco na ojca. — Muszę sobie podjeść, inaczej zemdle mnie na widok tej ofiary.

— Mnie też — potwierdził Micher. — Jak ty go możesz jeszcze znosić, Leonso?

— A ty co, lepszy od niego jesteś? — nieoczekiwanie ujął się za Senizonna Mado. —

Wszyscy jesteście oferdami, obrzydzenie bierze na was patrzeć.

— Sam jesteś oferma! — wykrzyknął jadowicie z wozu ukarany młodzieniec i natychmiast zaskomlał, wyrażając skrucę.

— Ach ty... śmierdziu! Teraz cię rozerwę — wściekł się rudzielec, zaciskając pięści. W odpowiedzi rozległo się syczenie, połączone z ordynarnymi przekleństwami i pokwikiwaniami. Senizonna doskonale wiedział, jak wygląda gniew Mado, i nie miał chęci zadawać się z nim.

— Zamknij się, Mado — powiedział z rezygnacją Leonso.

Położył ciężką rękę na ramię rudzielca, ścisnął go lekko i piegi na twarzy Mado natychmiast zbladły.

— A dłaczego ja? Mado, Mado... Ksant pierwszy zaczął!

— Zamknij się, mówię.

— Popatrz, Leonso! — rzekł szybko Igrat, który nie znosił kłótni, od której dostawał czegoś w rodzaju morskiej choroby. — Mamy karcznię! Trzy świnię i prosiak... Wejdzimy? Leonso skinął głową bez słowa. Na kolorowym szyldzie, oświetlonym ze środka kagankiem, różowił się pociągająco barani udziec. Obok niego biała krzywa z jednej strony, pękaty od piany gliniany kubek. Mocne dębowe drzwi pod szyldem wyposażone były w

gruby żelazny łańcuch, który chronił to miejsce przed grasującymi ciemną nocą złodziejami, teraz jednak stały gościnnie rozwarte i choć tępa morda olbrzymiego wykidajły nie zapraszała do wejścia, komedianti hurmą wtargnęli w duszne wnętrza przepelnionej karczmy.

Stukot kufli i gwar podpitych głosów natychmiast wyleczyły wszystkich ze złego nastroju. Komedianti oczyścili sobie miejsce za długim stołem, zasiedli i zażądali baraniny z fasolą i piwa — tyle, ile pozostało jeszcze w piwnicy po najściu tutejszych gości. Z tym wspaniałym zamówieniem Leonso rzucił słudze niedbałym gestem pięć złotych monet i komedianti z nikomu nie znanych oberwańców przemienili się w najbardziej upragnionych gości. Sługa rzucił się do wypełnienia zamówienia i wkrótce soczyste kęski z ostrą, aromatyczną galareta zaczęły znikać w bezdennych brzuchach głodnych błaznów, dokąd rzeką wlewało się też świeże, zdumiewająco dobre piwo.

Pierwszy nasycił się Senizonna. Beknąwszy, odchylił się na oparcie ławki i zaparł obciążonym czarną skórą spodni kolanem o skraj stołu.

— Nie podoba mi się tu, chłopaki — powiedział leniwie, cedząc słowa. — Biegają i biegają, a karmią paskudnie...

— Ale z ciebie bydlę! — pokiwał głową zdumiony Agrej. — Mado, siedzisz bliżej. Palnij go w łeb ode mnie...

— Zamknij się, Agrej! — Leonso podwinął wargi, patrząc ponuro w stół. — Mam was dość, klnę się na Mitrę... Jak ja mam was dość!

— Wiesz, ojciec — zaczął zapalczywie Jenkin, lecz w tej samej chwili ciężka ręka Leonsa z rozmachem walnęła go w kark i chłopak zleciał z ławki prosto pod nogi sługi, który z radosnym uśmiechem spieszył, by po raz drugi obsłużyć bogatych gości. Ogromny dzban piwa wysunął mu się z ręki i dopełniając karę, wymierzoną przez ojca, rozbił się z trzaskiem o głowę Jenkina i oblał go cieczą, przeznaczoną zazwyczaj do innych celów. Jenkin zaskomlał z urazą, podniósł się i znowu zasiadł obok ojca, nie podnosząc oczu znad talerza. Senizonna, który był przyczyną tego zamieszania, milczał, usiłując nie patrzeć na groźne twarze kolegów po fachu. Jednak jego wygląd wskazywał, że był w świetnym nastroju, i Mado nie wytrzymał. W przekonaniu, że młodzieniec w strachu przed Leonsem nie zacznie wrzeszczeć, uszczyptał go mocno w bok. Tak też się stało: Senizonna zzieleniał z bólu i złości, lecz nie wydał nawet jednego dźwięku. Usatysfakcjonowany przywróconą sprawiedliwością ruzdzielec wrócił do niedojezionej baraniny i wbił w nią drobne, mocne zęby, żałując w głębi duszy, że nie może zrobić tego samego z nosem lub uchem smętnego Senizonny.

— Komedianti? — upewnił się uprzejmie czerwony na twarzy osiłek, który siedział przy sąsiednim stole i pociągał piwo z ogromnego kufła.

— No? — burknął ponuro Ksant.

— Jestem Helde — przedstawiła się wszystkim czerwona twarz, nie zwracając uwagi na starszego syna Leonsa. — Prowadzę tutejszą trupę. Dawno w Tarancji?

— Dopiero przyjechaliśmy — obwieścił dobrodusznie Ulino, który napętnił wreszcie przepastny brzuch. — A tobie co do tego, brodawko na dupie Nergala?

— Pewnie chce, żebyśmy się stąd wynieśli — zamruczał Mado.

— Niech sam się wynosi — splunął Senizonna, poruszając nozdrzami. — Popapraniec!

— Osiół — dodał cicho poczerwieniały Igrat i zakrztusił się pod zdumionym spojrzeniem Leonsa.

— Samiście popaprańce i osły — odparował spokojnie Helde, ani trochę nie obrażony. — Już z trzecią trupą gadam... Czego to ja nie usłyszałem! Mitra świadkiem, żem wam rad. Kocham Tarancję i im więcej błaznów będzie na Mitradesie, tym lepiej. Słyszeliście o Pallantydzie? To kapitan Czerwonych Smoków, gwardzistów naszego króla. Był u mnie przedwczoraj, porozmawialiśmy sobie...

Leonso z uwagą słuchał czerwonoliczego osiłka, radując się w duchu z możliwości krótkotrwałego nawet schronienia się pod skrzydła tutejszego i, jak się zdaje, dość pewnego człowieka.

— Umówiliśmy się z nim tak: jak tylko król zakończy mowę do obywateli sławnej Aquilonii, komedianti z wszystkich trup podniosą do góry łuki i wypuszczą w niebo strzały z kolorowymi wstążkami. Powinno być bardzo pięknie.

— O strzałach wiemy i bez ciebie — warknął Micher. — Zawsze tak jest w czasie wielkich świąt... Powiedz lepiej, jakie miejsce dostaniemy na placu?

— Nie gorsze od innych.

— A jeśli ja nie umiem strzelać z łuku? — zapytał Kuk. — To co?

— Strzela pięciu, nie więcej. A i nie taka to znów sztuka — naciągnąć i wypuścić.

— No, kto będzie strzelać? — Leonso popatrzył kolejno na wszystkich, ale jakoś nie

znalazł ochotników. — Agrej, wiem, że ty umiesz!

Agrej wzruszył ramionami i skinął głową.

— Agrej pierwszy. Kto jeszcze? Senizonna?

— Mooogę — przeciągnął smętny młodzieniec. — I naciągnę, i wypuszczę...

— Tfu! — splunął gniewnie Leonso i zwrócił się do rudzielca. — A ty, Mado?

— Zgoda — odpowiedział ten krótko.

— Micher?

— Nie umiem i nie chcę.

— Lakuk?

— O, nie... Proszę cię, Leonso, tylko nie ja.

— Hugo, Ulino, Zazała?

Grubasy potrząsnęli zgodnie głowami na znak protestu.

— Ksant?

— Dlaczego nie miałbym sobie postrzelać?

— Jenkin?

— Nie.

— Igrat? Wątpliwe... Dobrze, ja będę piąty — powiedział Leonso zirytowany. —

Senizonna, Mado, Agrej, Ksant i ja — jeszcze raz wymienił ich przed Heldem, ukazując palcem każdego strzelca. — W porządku?

— A mnie co do tego? — zdziwił się czerwonolicy. — Tylko zapisz wszystkich, jeśli potrafisz. Pallantyd kazał dać listę.

— Dobrze.

— No co, pójdziemy teraz pogadać? — Helde mrugnął na Leonsa i pociągnął go za rękaw.

— Po co? — spytał podejrzliwie Leonso, podnosząc się jednak z ławki.

— Nie bój się, nie zjem cię — zaśmiał się osiłek, wstał i nie oglądając się, ruszył niespiesznie ku wyjściu, mając pewność, że przywódca trupy idzie za nim.

Na ulicy, gdzie latarnicy spieszyli już zapalić latarnie, było zupełnie ciemno. Tylko w świetle kaganka strażnika Leonso dostrzegł na chwilę zmienioną twarz Helde. Teraz komediant był skupiony i poważny, w jego szarych oczach pojawił się twardy błysk, ściągnięte w wąską nitkę usta sprawiły, że wszystkie mięśnie były napięte i twarz przypominała maskę. Leonso zjeżył się mimo woli, wyrzucając sobie brak spostrzegawczości. Dawniej nie pozwalał sobie na takie błędy.

— Tak więc, przyjacielu, wiem doskonale, że jeden drań z twojej trupy marzy o tym, by skierować strzałę nie w niebo, lecz w pierś naszego króla. Zdaje mi się nawet, że wiem który to.

— Co ty pleciesz? — Leonso odskoczył napięty. — Moi komedianci to proste chłopaki.

Co im do waszego króla? Przecież nawet na oczy go nie widzieli!

— Wiem, co mówię!

— Łżesz, psie!

— Posłuchaj, durniu... A, co z tobą gadać! Pamiętaj tylko, że jeśli strzała tego drania wbije się w pierś naszego króla, powieszę cię razem z nim! Przekonałem cię teraz?

— Nie! — powiedział twardo Leonso, odwrócił się i ruszył z powrotem.

Kim jest w istocie ten Helde? Dziwne słowa poraziły Leonsa do głębi duszy. Nawet przez moment nie wątpił, że czerwonolicy mówił prawdę. Przysiadłszy za drzwiami karczmy, wsparł głowę na rękę i zaczął rozmyślać. Rozpatrywał w myślach wszystkich swoich ludzi, ale w żaden sposób nie mógł wskazać tego, który miał być zabójcą. Nie! Wszystkim zdarza się popełniać głupstwa, bywają śmieszni, źli, a nawet podli, ale żeby... Cała dusza Leonsa buntowała się przeciw obwinianiu kogokolwiek o planowanie morderstwa. Rozumiał, że ludzie giną na polu bitwy — takie bywają koleje losu — ale żeby ktoś uzurpował sobie boskie prawo do rozporządzania cudzym życiem — tego zupełnie nie mógł pojąć.

— Leonso... Gdzie jesteś? Leonso...

Znajomy głos... Leonso podniósł głowę, starając się dostrzec człowieka w ciemności.

Ciche, ostrożne kroki zbliżyły się, potem oddaliły się znowu...

— Leonso... — rozległ się szept tuż obok niego. — Gdzie jesteś?

Poznał wreszcie ten głos. Westchnął z ulgą i skinął głową do niewidocznego w ciemności człowieka.

— Tutaj — odpowiedział zachrypniętym głosem. — Chodź, pomóż mi wstać...

Nie poczuł ciosu, tylko w jego piersi podniosła się gorąca, paląca fala... Potem usta napełniły się słoną ciecżą i w oczach rozbłysły jasne, czerwone ogniki... Ze zdziwieniem wyszeptał imię zabójcy wyschniętymi w jednej chwili wargami i nagle poczuł, że coś w jego

wnętrzu rozrywa się... Przechylił się, zamykając oczy, i zwałił na brudne klepisko, prosto w pozostawioną przez psa kałużę... Z nieba spadła jasna, srebrna gwiazda. Leonso zadrżał lekko, jakby usłyszał w ciszy jej dzwoniący lot, i umarł.

Etej ledwie mógł się doczekać, kiedy suchy, z rzadką koźlą blond bródką zakończy zadawanie swych cholernych pytań. Patrzył na komediantów z nie ukrywaną pogardą i strzelca męczyło szalone pragnienie, by skierować ostrze swego wiernego noża w jego chudą szyję. Być może nawet nie potrafiłby się powstrzymać, gdyby nie to, że jego kindżał pozostał w piersi Leonsa. Leonso... Szkoda, że trzeba było wyprawić go na Szare Równiny... Niejedną drogę razem przemierzili. Ale to bydlę z czerwonym pyskiem na pewno powiedziało mu coś, co mogło zniweczyć wspaniały plan jego zemsty, a sam strzelec znalazłby się w rękach kata. Etej natychmiast zrozumiał, że Helde nie tylko prowadzi tutejszą trupę, ale jest także — i gotów był przysiąc na brwi Erlika — donosicielem, a więc sługą brudnego barbarzyńcy. Już tylko przez to zasługiwał na śmierć!

Zaśmiał się cicho na wspomnienie bełkotu i charczenia czerwoniczego, kiedy jego kindżał szybko i płynnie przeciął mu gardło. Natychmiast cały zalał się krwią, a na rękach i odzieży strzelca nie było nawet jednej plamki! Sztuczki tej nauczył się od Pantedry, zuagirskiego przygłupka, który uwielbiał widok krwi, lecz nie nosił jej na swoim ubraniu.

Nagle pod Eteję ugięły się kolana. Strzelec uśmiechnął się krzywo drżącymi wargami, ścisnął palcami łydki i zaczął je masować z całej siły, w nadziei, że kurcz ustąpi. I tym razem udało się. Najwyraźniej dwa zabójstwa z rzędu dodały mu jednak siłę, tak jak bywało dawniej. Oparł się o leżący na dnie wozu stos brudnej słomy, oblizał dokładnie wargi twardym językiem i odnotowując z zadowoleniem, że podobne kurczowi drgawki również przechodzą, westchnął głęboko. Trzeba spać. O świcie całe bractwo ma stawić się w izbie blondą, gdzie ten suchy szczur znowu będzie zadawał im swe cholerne pytania, a ponurzy strażnicy będą czekać tylko na odpowiedni moment, żeby wałnąć buciorem w tyłek podłego błazna.

Lecz i to można ścierpieć, jeśli uda się zemsta i Cymmerianin ze strzałą w piersi odejdzie wreszcie na Szare Równiny... Zadrżał na myśl o tym wspaniałym obrazie. Mitrades, wszędzie tłumy — cuchnące świnię, żeby ich Nergal pożarł — krzyki, śmiech, pieśni... I oto strzelcy z komedianckich trup unoszą ku niebu łuki... przywiązane do strzał kolorowe wstążki trzepoczą, łaskoczą twarz... Tłum zamiera w oczekiwaniu na widowisko i... „O Mitro! O wielki i jasny... i Erliku, i Erliku! — dodał natychmiast Etej. Czyżby nie dane mi było doświadczyć takiego uniesienia?” Przygryzł boleśnie wargi, czując spływające z oczu łzy, i zaszlochał, nie mogąc się powstrzymać.

— Nie trzeba...

Miękka ręka przesunęła się nagle pieszczotliwie po jego mokrym od łez policzku. Welina! Śmieszna dziewczyna... Myślała, że opłakuje Leonsa!

— Nie trzeba, słyszysz? Nie wrócisz go już. Taka była wola Mitry... Chociaż... Sama zagryzłabym tego, kto to zrobił!

— Pewnie jakiś włóczęga — odezwał się Etej słabym głosem, rozradowany w duchu do szaleństwa. — Tylu ich tutaj... Chcą się pożywić na Mitradesie...

— Tak jak my...

— Tak jak my — potwierdził obojętnie.

Welina wyciągnęła długą słomkę i wsunęła ją do ust. W zadumie przekreśliła nią tak, że celowała w samo ucho strzelca.

— A jeśli to ktoś z nas? — odezwała się cicho po chwili milczenia.

— Coś ty? — poderwał się Etej. — Komu to potrzebne? Leonso był surowym, ale sprawiedliwym gospodarzem. Wszyscy go kochali... Nie, Welina. Dranie z nas, to wiem, ale morderców wśród nas nie ma!

Ostatnie słowa wymówił tak twardo, z takim przekonaniem, że przez chwilę poczuł dumę z siebie i swych współtowarzyszy, jednak przy kolejnym oddechu pojął komizm sytuacji i omal się nie roześmiał. Zakrył mocno usta dłonią i popatrzył z ukosa na młodą kobietę. Pionowa smużka światła z ulicznej latarni, przenikająca rozcięcie w płótnie wozu, mętnie oświetlała jej prostą, miłą twarz, na której Etej odczytał odbicie swego przelotnego uczucia: w czarnych oczach dziewczyny błyszcząły szczerze łzy, brwi były lekko uniesione, a czerwone usta zacięte. Tłumiąc śmiech, powiodł ręką po jej biodrze, które pieścili kolejno wszyscy mężczyźni z trupy. Znowu zapragnął się zabawić ich kosztem i chociaż mogło to stać się jego zgubą, nie wytrzymał.

— Welina, nie pamiętasz, kto wychodził z karczmy zaraz za Leonso?

— Kiedy wywołał go ten... Helde?

— Właśnie.

— Wszyscy razem wyszliśmy, prawie od razu.

— A kto pierwszy?

— Nie pamiętam... Zdaje się... Zdaje się, że ty. A dlaczego pytasz? Masz wątpliwości co do...

— Nie, nie, po prostu pomyślałem... Może ktoś z nas widział zabójcę? Musiał być gdzieś niedaleko...

— A ty nie widziałeś?

— Gdybym go zobaczył...

Zamilkli znowu i każde myślało o swoim. Tak, rzeczywiście tak było. Gdy tylko strzelec zdążył odejść od ciała Leonsa, wytoczyło się na ulicę całe bractwo. Mało co go nie nakryli. W każdym razie Igrat na pewno dostrzegł dziwny wyraz jego twarzy. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę i Etej zobaczył siebie w źrenicach leniwego chłopca. Błąkający się na wargach półuśmiech, dziki blask w oczach... Był zbyt podniecony. Najwyraźniej choroba osłabiła jego nerwy. Dawniej nic takiego nie mogło mu się przydarzyć... Ale Igrat to tępak, wyraźnie niczego nie rozumiał. Potknął się o nogę Leonsa, pochylił się nad nim i nagle rozdarł się tak przenikliwie, że Etej omal nie stracił przytomności. Przeklęty głupiec... Na kiego czorta przyczepił się do nich? Żyłby sobie dalej w tej swojej dziurze... Tfu!

Strzelec zapomniał się i tak sownie splunął w słomę, że Welina drgnęła i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Niestety, nie widziałem go — wyjaśnił Etej. — Gardło bym przegryzł!

— Ja też. Wciąż jednak nie rozumiem, po co ktoś miał zabijać Leonsa i Heldego.

Pieniądzy im nie zabrali... A przecież dopiero co się poznali!

— Skąd masz taką pewność? Znasz Leonsa dwa lata. A co robił przedtem? Gdzie był? Z kim? Nie, Welina, cała ta historia owiana jest mgłą tajemnicy. Możesz mi wierzyć, że gdy wszystko się wyjaśni, będziesz bardzo zdziwiona...

Niepotrzebnie to powiedział. Welina otworzyła szeroko oczy i odsunęła się nieco.

— Co ty? Nie rozumiem...

— Głupstwo! — zreflektował się strzelec. — Wiesz, Welina, plotę czasami, co ślina na język przyniesie. Proszę, nie patrz tak na mnie. Przysuń się lepiej...

Wyciągnął ręce i przyciągnął dziewczynę do siebie. Nie sprzeciwiała się. Jej prosta dusza, przez ułamek sekundy dręczona wątpliwością, natychmiast przyjęła tłumaczenie mężczyzny. Welina przyłgnęła głową do jego ramienia i tak zastygła.

„Wybacz mi, Belit. Ta kobieta także potrzebuje pieszczoty... Tak jak ja... Lecz gdy całuje moje powieki, wyobrażam sobie, że to ty — przepiękna, jakby stworzona przez samego Mitrę w błogosławionych chwilach natchnionej pracy — pochyliłaś nade mną głowę i szepczesz mi proste słowa miłości, które zna rzemieślnik i król; chłop, i nobil; uczciwy i oszust; pocziwiec, i chciwiec...”

— Dobrze mi z tobą, Welino — odezwał się, gładząc jej ramiona.

— Mnie też — wyszeptała dziewczyna.

I w tej krótkiej i wiecznej chwili, kiedy ich gorące, wilgotne ciała stopiły się w jedno, dziwny gość pojawił się za plecami Weliny i stanął przed oczami strzelca. Odsunął ostrożnie z jego twarzy pachnącą słomą włosy kobiety i spojrzął w białe, puste oczodoły. Zobaczył w nich noc. Tę samą noc, o której marzył. Serce strzelca zabiło radośnie i wyszeptał: „tylko potem, po tamtym... proszę...”. Zjawia skinęła głową — a może tak mu się tylko wydało — i zniknęła. Etej wyczuł ledwie dostrzegalny ruch powietrza. Podniósł nad sobą Welinę, spojrzął zadowolony na jej zarumienioną, miłą twarz i przyjmując uśmiech kochanki, wziął ją ponownie...

— Czy ktoś z was wychodził z karczmy zaraz za Leonsem i Heldem?

— Nikt, panie... — odpowiedzieli nierówno komedianci.

Tu, w izbie blonda, czuli się nader niezręcznie. Zgodnie z przewidywaniami Etej a przy drzwiach stali ponurzy strażnicy, którzy zdążyli już poczęstować kopniakami Michera i Lakuka oraz uszczypląc w tylną część ciała Welinę. Sam blond wyglądał jeszcze poważniej od wczorajszego. Miał bogatą odzież, na palcach wspaniałe pierścienie, a koźla bródka sterczała wyzywająco, tworząc przedłużenie smukłego, ostrego nosa.

— Nie będę tracić dla was swego drogiego czasu, bękarty! Otwierajcie brudne gęby i opowiadajcie wszystko, jak było, inaczej wszystkich każę powiesić!

— O czym mamy opowiadać, panie? — wystąpił naprzód poblady i jakby nieco wyszczuplony grubas Ulino, który przyjął na siebie tymczasowo obowiązki starszego. — Jesteśmy gotowi. Lecz klnę się na Mitrę, nikt z nas nie byłby zdolny do czegoś takiego.

Kochaliśmy Leonsa...

— Wystarczy! — zazgrzytał blond. — Ty mów — wskazał palcem Senizonnę. — Kto wyszedł pierwszy?

— Nie pamiętam, panie... — odparł drżącym głosem piękny ponurak. — Nie widziałem...

— Ty! — Palec urzędnika przesunął się nieco w lewo i wskazał Jenkinsa.

— Nie widziałem — uniósł mokre oczy młodszy syn Leonsa.

— Ty! — porażająco zasyczał blond, wskazując Mado.

Rudzielec zjeżył się. Rzucił ukradkiem zaszczone spojrzenie na współbraci i zobaczył, że miotają nimi takie same uczucia, co nim.

— Nie mogę odpowiedzieć, panie... — wyszeptał.

— Cooo? — uniósł się blond. — Ja ci pokażę, ty łajno zdechłej kobyły! Mów, kto wyszedł pierwszy?

— Leonso...

— Po Leonsie! — Blond najwyraźniej zaczynał tracić cierpliwość.

— Helde... Chociaż nie, panie, najpierw wyszedł Helde...

— Każę dać ci teraz setkę różeg, a potem rzucić do klatki lwów... Jak ci się to podoba?

Mado zaciął się. Zmarszczył nos i ponownie obejrzał się na przyjaciół, którzy za jego plecami przestępowali z nogi na nogę. „Powiedz mu choć cokolwiek” — zaszeptał błagalnie mokry z przerażenia Senizonna.

— Potem wyszedłem ja — powiedział Mado.

Teraz zatkało blond, który wpatrzył się ze zdumieniem w rudzielca.

— Ty?

— Ja — potwierdził Mado.

— Nie słuchaj go, panie — odezwał się przejęty Micher. — On szedł za mną, a ja za grubym. Tylko nie pamiętam za którym...

— Prawda — kiwnął głową Agrej. — Mado szedł za Micherem, a ten za czymś cielskiem.

Ale przed cielskiem, panie, wyszło jeszcze jakichś dwóch.

— Kto? — wysyczał urzędnik.

— Gdybym to wiedział, panie — odparł pokornie Agrej. — Ale ja mogłem widzieć tylko ich plecy i powiem ci, panie, nigdy przedtem takich nie widziałem.

— A co w nich było szczególnego? — spytał spokojniejszym nieco tonem urzędnik.

— No nie — wzruszył ramionami chłopak. — Plecy jak plecy... Ale nie nasze, przysięgam na Mitrę.

— Kto jeszcze powie mi coś o tych plecach.

— Ja, panie — wyszeptała Welina.

— No?

— Jedne były szerokachne i znajdowały się wysoko nad podłogą...

— Więc człowiek był wysokiego wzrostu — podsumował po głębokiej rozwadze urzędnik.

— Tak — skinęła głową dziewczyna i kontynuowała. — A drugie plecy były wąziutkie jak u naszego Mado i były nisko nad podłogą.

— Ten był maleńkiego wzrostu — rzekł przytomnie blond. — Dalej, kobieto.

— To wszystko — spieszyła się. — Więcej niczego nie widziałam.

— Tfu!

Urzędnik odchylił się na oparcie fotela, kładąc jedną rękę na spodniach, a drugą gładząc bródkę. Już przedtem wiedział, że z tego draństwa nic nie wycisnie. Tylko smród w izbie zostanie. Ma się rozumieć, że nie zabili ani Heldego — szkoda go, był doskonałym informatorem — ani tego drugiego, jak mu tam... Włóczęgów najechało na Mitrades całe mnóstwo, nie będzie spokoju ani dniem, ani nocą... Gdyby to od niego zależało, zamknąłby wrota i nie wpuszczał nikogo. A swoim wymierzałby różgi dwa razy w ciągu księżyca, żeby znali swoje miejsce, pomioty Nergala, bycze ogony, łajno sobacze... Urzędnik westchnął ciężko, w głębi duszy bardzo dumny ze swej szczególnej misji, i popatrzył dobrotliwie na stojących przed nim ponuro komediantów.

— No, co stoicie, durnie? — odezwał się ojcowskim tonem. — Wynocha.

VIII

Nocne niebo rozjaśniało się szybko. Bładły i nikły gwiazdy, łagodne różowe światło na horyzoncie obiecywało szybkie pojawienie się oka dobrego Mitry, a wraz z nim rozbudzenie wszelkiego istnienia i początek życia, albowiem dzień jest życiem, które zamiera nocą. Conan opuścił dom Mgars i wciągnął chłodne, lecz zaczynające już ogrzewać się

powietrze. Na ulicy nie było nikogo, tylko w czarnych cieniach domów skradał się sponiewierany jednouchy kot, nieufnie zezując na boki okrągłym, zielonym okiem. Człowiek psyknął i kot zamarł na chwilę, po czym rzucił się do ucieczki i skrył się w wąskim zaułku, skąd wkrótce rozległo się przerażające miauczenie. To także było życie.

Król owinał się szeroką kurtką i ruszył dalej. To miasto jeszcze wczoraj po same piwnice przeniknięte było strachem, nienawiścią i rozpaczą. Niemal słyszał wydobywające się z okien i szczelin, sączące się ze ścian lamenty osieroconych, jęki rannych, a przede wszystkim straszliwe klątwy, jakie oszukani i zniewoleni ludzie rzucali na swych ciemieżców. Napadli ich ziemię, upojeni radością, bezmyślnie i bezlitośnie niszcząc wszystko, co im było drogie i bliskie... I choć doskonale wiedział, że zrodzony przez królestwo Nergala koszmar nie będzie trwać zbyt długo, serce jego wypełniały te same uczucia i takie same przekleństwa mamrotał przez zęby, gdy przemierzał teraz puste ulice Khauranu.

Shemici pojawili się nieoczekiwanie. Conan uskoczył w cień pod wysokim murem i czekał, aż podejda bliżej. Było ich pięciu. Potężnie popiwszy w jednym z licznych khaurańskich szynków, podskakiwali niczym osły, dźwięcząc przy tym zbrojami, i płaczącymi się językami wyrzaskiwali pieśń w swym starym języku, znieważając miasto i jego mieszkańców. Byli wysocy, mocni, wyglądali na wiejskich chłopaków, którzy przez towarzyszącą młodości głupotę zaciągnęli się do najemnego wojska. Ich pracę stanowiła walka, a zapłatę drobna miedziana moneta — do złotej bowiem mało kto dożywał...

Conan zdjął rękę z rękojeści miecza. Czy on — nie kapitan gwardii królowej Taramis, lecz król wielkiej Aquilonii — ma teraz powód i prawo pozbawić życia tych chłopców? Uśmiechnął się do swych rozsądnych myśli i wrzucił ramionami. W tej samej chwili coś niemal już zapomnianego drgnęło mu w duszy, przez ciało przebiegły mrówki i Conan oblał się potem. Przypomniawszy sobie... Nie napadaj jako pierwszy, nie zabijaj bez przyczyny, nie podnoś ręki na tego, kto prosi o zmiłowanie... Tak, pamiętał. Dar Mitry, tak dawno i bezpowrotnie stracony... Czy ubolewał nad tym? Nie. Lecz od tamtej pory słowa mentora stale przychodziły mu do głowy, zmuszając surową naturę barbarzyńcy do przeżywania świętego, choć bardzo krótkiego wzruszenia. Teraz też na moment zapało mu dech w piersiach, lecz po chwili uśmiechnął się znowu, odrzucając od siebie bezużyteczne myśli, które tylko odciągają od rzeczywistości. Odczekał, aż Shemici skryją się za rogiem, i poszedł dalej. Czuł się niepotrzebny w mieście, które dziesięć lat temu było jego przystanią. Stanął przed świątynią Mitry. Żywego ducha, mimo że w dali, za domami, ukazał się już brzeg tarczy słońca. Lecz dziś życie Khauranu wyglądało inaczej. Ludzie bali się opuszczać swoje siedziby, a zmęczeni rzezią i burzliwą nocą Shemici chrapali w koszarach, nie widząc potrzeby, by wcześniej wstawać. Miasto wszak należało do nich.

Nagle królowi wydało się, że za ścianą świątyni dostrzegł jakieś poruszenie. Ponownie kładąc rękę na mieczu, rzucił się za wysoki ganek i zamarł w bezruchu.

— Znalazłem cię wreszcie... — wymamrotał zgryźliwie meir Cemido, kierując się w stronę ganku. Jego jasny, długi chałat włócił się po ziemi pokrytej kurzem, krokodyle oblicze wyciągnęło się jeszcze bardziej, a maleńkie błyszczące oczka miotaly się na boki niczym śliskie rybki. Wreszcie staryemu udało się uspokoić, spojrzął na Conana i skrzywił się niedwuznacznie.

— Panie mój...

— Gdzieś ty był, rzepie z ogona Nergala! — warknął groźnie król, w głębi duszy ucieszony z pojawienia się starego, co oznaczało szybki powrót do domu.

— Powiedz lepiej, dokąd ciebie zaniósł... — odgryzł się bez szacunku meir. — To ty nawarzyłeś tego piwa. Niechby sobie Khaurańscy zdali oręż, co tobie do tego? Poza tym pozostawiłeś mnie na placu samego w środku rozwścieczonego tłumu! Omal mnie nie rozdeptali! Musiałem natychmiast wracać do terażniejszości, a potem znowu cofnąć się po ciebie. Narobiłeś mi kłopotów, panie, oj, narobiłeś...

— Dość biadolenia — przerwał mu król. — Postąpiłem tak, jak chciałem. Twoją sprawą jest sprowadzić mnie z powrotem. Rozumiesz, stary pniaku?

— Rozumiem — zgodził się pokornie meir Cemido i westchnąwszy, wskazał Conanowi swą rękę.

— Nie, poczekaj... — Cymmerianin obejrzał się na błyszczący w promieniach wschodzącego słońca dach domku Mgars. — Mam tu wobec kogoś dług...

— Oj! — zajęczał stary. — Tylko nie to, proszę cię, panie. Zrozum, że nie wolno bezkarnie pozostawać zbyt długo w przeszłości. To nie las, gdzie można łązić, ile się chce, i nie pałac, w którym mieszkasz. To przeszłość!

— A co będzie, jeśli się zatrzymam? — spytał Conan.

— Wtedy zostaniesz na zawsze! I to nie jako młody człowiek, lecz taki, jaki jesteś teraz. I

jeszcze raz przeżyjesz swe życie bez możliwości zmiany nawet jednego oddechu! Tego chcesz? A twoje rany? Widzę, że się zasklepiły. A więc otworzą się na nowo, a ty zajmiesz swe miejsce na krzyżu pod miastem. Czy tego chcesz?

Meir Cemido był wzburzony. Jego rozbiegane oczy błyszczały gniewnie i widać było, że cienkie wargi ledwie wstrzymują przekleństwa pod adresem lekkomyślnego króla.

Zirytowany Conan trzasnął pięścią w dłoń. Pojmował oczywiście, że stary ma rację i należy bezzwłocznie wracać. Inaczej przyjdzie mu zostać w Khauranie i zaczynać wszystko od nowa. A na to nie miał ochoty. Lecz jeśli powróci do Tarancji... W jaki sposób dowie się, kto zabił Mgars!

— Jak się dowiem...

— Nie trzeba ci tego wiedzieć... — wymamrotał Sługa Przeszłości, pocierając czubek nosa. — Daj szybko rękę, władco.

Nie było innego wyjścia. Conan spojrzął na starego wzrokiem zdolnym zabić całą armię, po czym podał mu rękę, którą ten natychmiast pochwycił, szmerząc pod nosem zaklęcia składające się z wykrzykników i długich, niezrozumiałych słów. Wystarczyło kilka chwil i królowi zakręciło się w głowie jak po pijaństwie, jego ciało osłabło i pociemniało mu w oczach. Wciągnął głęboko powietrze i nim je wypuścił, zapadł w ciemność.

— Pozwól, że spytam o zdrowie, mój przyjacielu — jakby przez sen Conan usłyszał głos maga, jak zawsze spokojny, nieco ironiczny, choć tym razem czuło się w nim wyraźnie nutę trwogi.

Król chciał już odpowiedzieć, ale nagle wydało mu się to zupełnie nieistotne i zmilczał, nie kwapiąc się nawet do otwarcia oczu. Cisza stawała się coraz cięższa. Meir Cemido niespokojnie zakręcił w fotelu swym chudym zadkiem i rozkaszał się pod przenikliwym spojrzeniem Peljasa. Zaraz potem sam mag zaczął stukać palcami po stole, co oznaczało u niego najwyższy stopień niezadowolenia.

— Nie chciałbym cię niepotrzebnie obrażać, Cemido, ale wydaje mi się, że przesadziłeś. Czy król jest chory? Źle się czuje? A może stracił przytomność?

— Sam nie rozumiem — mruknął stary. — To raczej ja powinienem stracić przytomność. Jest taki wielki i ciężki, a wisiał na mnie całe dwa i pół mgnienia. Zadyszałem się zupełnie. Znowu zapanowała cisza. Obaj goście utkwili nieporuszony wzrok w królu, jakby pragnęli w ten sposób przywrócić mu przytomność, i ten nie wytrzymał.

— Czego się gapicie? — burknął rozdrażniony, otwierając oczy. — Lepiej powiedzcie mi, czy to był sen, czy nie.

— Nie, panie — z szacunkiem odpowiedział Cemido. Tutaj, w pałacu, znowu przemienił się w pokornego, choć może nie najlepiej wychowanego niewolnika, co było w pełni zrozumiałe. Był tu gościem, nie gospodarzem.

— Nie wiem dlaczego — zaczął powoli Conan — lecz klnę się na Croma, że ręce mnie śwędzą, aby was obu wyrzucić. Może zachorowałem, Peljasie?

— Słyszałeś, jak ja...? Czemu się nie odzywałeś, przyjacielu? — rzekł mag z wyrzutem.

— Byłem mocno zaniepokojony...

— Znikajcie obaj — machnął ręką król. Poczuł nagle straszliwe zmęczenie, podobne chyba jedynie zmęczeniu skazańca: powieki miał ciężkie, a mięśnie zdawały się być powietrzem. I chociaż to uczucie wkrótce minęło, nie chciało mu się odgrywać roli uprzejmego gospodarza i zwracać gości. Obserwował, jak wstają i wymieniają ukradkowe spojrzenia, po czym — jak wydawało się Conanowi — z pewną ironią kłaniają się nisko i znikają cicho za ciężką kotarą, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Wówczas poczuł dopiero jedynie ulgę, tym silniejszą, że w ślad za gośćmi posłał nader barwne przekleństwa.

Wreszcie król pozostał sam. Był rozdrażniony i na razie nie mógł zrozumieć dlaczego, choć powodów w istocie było aż nadto. Po pierwsze, ciągle jeszcze nie mógł nacieszyć się podarunkiem z Koryntii — gniadym trzylatkiem ze wspaniałą grzywą i smukłymi, mocnymi nogami. Po wtóre — Mgars... Kto ją zabił? I dlaczego Conan, którego nigdy nie zawodził jego na wpół zwierzęcy instykt barbarzyńcy, niczego nie słyszał? Po trzecie — dopiero teraz przypomniał sobie o tym — ów błazen z trupy, który ma zamiar pozbawić go życia, i to jeszcze podczas Mitradesu! No, z tym ścierwem zapewne nie tak trudno będzie sobie poradzić. Ten syjący się pniak Cemido przyrzekł pomoc, Peljas też tu jest i również do czegoś się przyda... Ale jak wyjaśnić tajemnicę śmierci Mgars?

Spojrzał w zadumie na swoją komnatę. Co może zrobić w Khauranie sprzed dziesięciu lat, siedząc tutaj? Nic. A może wysłać tam meira? Ale czy to coś da? Król zdecydowanie nie miał ochoty w jakikolwiek sposób się z nim wiązać, zwłaszcza że do zabójstwa doszło przecież jeszcze wtedy, w tamte lata... Przyjdzie chyba pogodzić się z tym, że tej tajemnicy nikt nigdy

nie rozwikła... Conan umiał przyznać się do przegranej, toteż wzruszył tylko ramionami i wezwał sługę, postanawiając wypić za Mgars dzban starego khaurńskiego wina z piwnic, w których leżały jeszcze zapasy poprzednich władców Aquilonii.

W takich okolicznościach zastał go Pallantyd. Nastrój króla poprawił się już po pierwszym łyku tak, że kapitan Czarnych Smoków ujrzał swego pana z lekkim uśmiechem i z blaskiem w oczach.

— Nie marudź, stary psie. Siadaj szybciej, bo klnę się na Croma, że nawet kropla dla ciebie nie zostanie.

Pallantyd nie zastanawiał się długo. Na zapraszający gest króla zasiadł szybko w fotelu, chwycił w dwa szerokie, kościste palce cienką u podstawy nóżkę pucharu i nalawszy sobie po brzegi białego wina o ledwie wyczuwalnym subtelnym aromacie, opróżnił go dwoma łykami. Oczy mu błysnęły, zasiadł wygodniej i popatrzył na Conana wyczekująco, po czym z westchnieniem przeniósł spojrzenie na puchar — pusty jak jego grobowiec. Podobnie westchnąwszy, król rozlał ostatki wina i z żalem powąchał dzban. Podnieśli puchary i wypili uroczyście w milczeniu.

— No, Pallantyd — przerwał milczenie Conan. — Opowiadaj, co tu się działo, kiedy mnie nie było.

— A kiedy ciebie nie było, panie? — kapitan Czarnych Smoków ściągnął brwi ze zdziwieniem.

Conan speszył się nieco. Spędził całą dobę w Khauranie, a tu nawet słońce nie zaszło. Więc jednak meir Cemido nie oszukał go... Cóż, w takim razie można mu powierzyć odnalezienie osoby owego przygłupka — komedianta...

— Jak idą przygotowania do Mitradesu?

— Ależ wszystko już gotowe, panie — wstrząsnął głową Pallantyd. — Od dawna gotowe. Tylko...

— No?

— Nie mogę zapomnieć twoich słów o złoczyńcy.

— Zapomnij.

— Nie, panie. Posłałem jednego wiernego człowieka, by odwiedził przyjezdne trupy i zapisał wszystkich strzelców... No, tych, którzy będą wypuszczać strzały z kolorowymi wstążkami po twojej mowie. Wszystkich błaznów uzbierało się ponad półsetki i oddam własną wątrobę psom, jeśli damy radę znaleźć między nimi tego właściwego... A strzelców jest tylko dwudziestu! Ich i łatwiej śledzić, i... Krótko mówiąc, jestem przekonany, że ten, którego szukamy, na pewno znajdzie się wśród strzelców. Nie zgadzasz się, panie?

— Rób jak chcesz, stary wygo — powiedział w zadumie Conan. Prawie nie słyszał tego, o czym mówił Pallantyd. Nieoczekiwanie przyszła mu do głowy dziwna myśl. Kto jeszcze mógł zabić Mgars oprócz... Machinalnie uniósł do ust pusty puchar. Nie, to niemożliwe... A jeśli jednak?

Serce zabiło mu mocniej z trwogi. Jak to się stało, że już wtedy tego nie zrozumiał?

Przecież to takie proste... Jego brak zaufania do takich łajdaków zawsze okazywał się uzasadniony, a tam...

Oстрыm gestem odprawił zaskoczonego kapitana Czarnych Smoków. Miał prawie pewność, że wszystko tak właśnie było. Dzika wściekłość ogłuszyła go na chwilę, w oczach mu pociemniało, zacisnął pięści. Teraz wszystko rozumiał. I tylko jednego nie mógł pojąć: dlaczego?

Nie miał jednak zamiaru sam odpowiadać na to pytanie. Wstał i wyszedł z komnaty. Na pierwszy rzut oka spokojny, lecz to tylko pozory... Skamieniała twarz pana kazała sługom odskoczyć pod ściany, a gwardzista ochrony, który już otworzył usta, by powitać władcę, zastygł w osłupieniu. Król był wściekły.

IX

Strzelec włókł się w towarzystwie kompanów z trupy do wozów, które za miedziaka zostawili pod opieką chłopaka z karczmy. Nie patrząc na siebie, przemierzali w ciężkim milczeniu kolejne ulice. Nie zwracali już uwagi na piękne miejskie domy i świątynie. Dopiero teraz, po przesłuchaniu u blondy, uwierzyli naprawdę w śmierć Leonsa, dopiero teraz uświadomili sobie nieodwracalność straty i poznali jej prawdziwe znaczenie. Sprzeciwiając się ze wszystkich sił dyktatowi potrzeb i upływowi czasu, pragnęli na zawsze pozostać dziećmi. Leonso pozwalał im na tę błahostkę, biorąc na siebie obowiązek rozwiązywania wszelkich problemów w rodzinnym kręgu. Lecz kiedy go zabrakło, wszyscy zrozumieli, że przyjdzie im dorosnąć. Trudno wymyślić głębsze zajęcie, zwłaszcza że dorastanie w takim,

bynajmniej niemłodym, wieku oznacza zazwyczaj również szybkie starzenie się. Etej doświadczał podobnych uczuć i były one absolutnie szczerze i nie zafalszowane. Żał mu było Leonsa, może nawet dużo bardziej aniżeli jego współtowarzyszom, gdyż — choć w tym momencie wydawał się o tym zapomnieć — to przecież on go zabił. Odrzucał całkowicie jakąkolwiek skruchę, jednak sam fakt bezpośredniego udziału w zgubie człowieka wzmagał niepokój i zamęt w duszy komedianta. Ubiegłej nocy, gdy Welina zasnęła na jego ramieniu, wspominając zbrodnię, cieszył się własną zręcznością i sukcesem, po czym ze spokojnym sumieniem zwał całą winę na Erlika, który bezmyślnie poddawał swych adeptów wszelkiego rodzaju doświadczeniom oraz zmuszał ich do zadawania strat, i pogrążył się w śnie. Dziś wszystko wyglądało inaczej. Po wyjściu z izby urzędnika nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapłakał po Leonsie czystymi, szczerymi łzami. Na myśl, że nigdy więcej nie usłyszy jego głosu i nie zobaczy uśmiechu, że jego miejsce w wozie będzie teraz puste lub zostanie zajęte przez kogoś innego, odczuwał w duszy ogromny ciężar, będący w istocie tym samym kamieniem, który prędzej czy później miał pociągnąć go na dno.

Rozpamiętywał przeszłość, zwracał się ku wysokim niebiosom, by znaleźć tam potwierdzenie słuszności swych postępów, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wysokie niebiosa zupełnie zapomniały o istnieniu tak ohydnej kreatury jak strzelec. Wszak czas dawno już ominął go, pozostawiając w przeszłości wraz ze wszystkimi mu podobnymi. A od terażniejszości nie oczekiwał niczego — ona była mu obca.

Gdyby chociaż dręczyło go sumienie, bez wątpienia byłby w lepszej sytuacji. Miałby przynajmniej jakieś wyjaśnienie, to zawsze przynosi ulgę. Gdy nie zna się powodów własnej męki, cierpienia są o wiele gorsze. Lecz bez sumienia męki stworzone przez mroczną istotę Seta były nie do zniesienia.

Ledwie dowlóknął się do wozu. Odtrącił jednego z grubasów, wdrapał się na górę, po czym zakopał się jak zwykle w słomę i zadowolony, że wszyscy komedianci byli w podobnych, ponurych nastrojach, zapadł w sen, który jest bratem śmierci.

Pojawiła się przed nim, jakże często widziana w snach na jawie, Belit, lecz zdawała się odmieniona. Królowa Czarnego Wybrzeża kołysała się na rei swego statku, powieszona na własnym naszyjniku, którego kamienie jarzyły się w mroku na jej smagłej szyi niczym krople krwi. Wtedy strzelcowi nie udało się zobaczyć śmierci Belit i dopiero teraz została dana mu ta możliwość. Oblał go zimny pot na widok przepięknej, martwej twarzy. Tak długo kołysała się przed nim, tak wyraziste były jej rysy... W zmętniałych oczach kobiety widział swe odbicie, lecz było ono zatarte, jakby Szare Równiny majaczyły już w jego niedalekiej przyszłości.

Podciągnął się, chcąc zamknąć powieki Belit, lecz pod palcami poczuł tylko śliską maź, która sparzyła mu skórę. Cofnął rękę i otworzył usta w instynktownej chęci krzyku, lecz ściał go strach. Ani jeden dźwięk nie wyrwał się z jego gardła, a odrętwiałe ciało szarpnęło się niczym w pętli, jak zawsze przed skurczami. Lecz to działo się naprawdę, a nie tylko we śnie.

Ponieważ jednak nie mógł się przebudzić, nie miał żadnej możliwości, by uniknąć cierpienia. Ten ból czuł doskonale nawet we śnie. Wijąc się, Etej złamał wszystkie swe zakazy, rzucając na niewinnego Erlika straszne przekleństwa i przyrzekając Nergalowi oddać się ze wszystkimi swymi wnętrznościami, byle tylko pomógł mu przetrzymać dziką mękę. Czas pokazał, że Nergalowi nie był potrzebny ani Etej, ani jego wnętrzności. Ból nie przeszedł, nawet nie zelżał. Twarz Belit z dziwnym, triumfującym wyrazem majaczyła gdzieś w dali, zaćmiona przez cierpienie Eteja. W dali, za królową Czarnego Wybrzeża, była pustka, a w niej rozlegał się przytłumiony huk gromu... Marząc o śmierci, strzelec ostatnim wysiłkiem otworzył usta i wczepił się zębami w dolną wargę, niemal ją odgryzając. Usta natychmiast napełniły się krwią, która ciekła po brodzie i szyi, i wreszcie się obudził.

Drżącymi rękami wyciągnął z kołnierza szpilkę, którą wpiął tam ubiegłego wieczoru, i wbił ją w prawą nogę. Skurcze zaczęły powoli przechodzić, na koniec wpijając się w ciało okrutnymi szponami. Nie czekając, aż całkiem ustąpią, Etej wyciągnął szpilkę i wbił ją głęboko w lewą łydkę. W tym czasie rozmasowywał sobie ramiona i boki, bluzgając przekleństwa i płacząc... Wreszcie wszystko ustąpiło. Szlochając, wycierał rękawami łzy i smarki, po czym zwał się w słomę, nie bardzo rozpoznając, czy to sen, czy jawa. Zmęczonym ciężkim dniem komedianci spali twardym snem i nie słyszeli dźwięków, jakie towarzyszyły cierpieniom ich pobratymca. Spojrzał na nich obojętnie, bez złości i rozdrażnienia — jak schwytyany przed wieloma laty zwierzę zwykł patrzeć na swego gospodarza — i potwornie zmęczony znowu, niemal w jednej chwili, zasnął.

Teraz miał przed sobą Gareta. Zmasakrowany przez jakieś monstrum, leżał w długich, gęstych szuwarach nad bagnami i Etej w żaden sposób nie mógł zobaczyć jego twarzy. Skryta głęboko w zaroślach, była najprawdopodobniej poszarpana przez zwierza lub ptaki, lecz

strzelec i tak go rozpoznał. Nie po odzieży — pozostałe strzępki nie mogły pomóc w identyfikacji — i nie po figurze, ta bowiem już nie istniała — pozostały tylko bezkształtne kawałki ciała pokryte zaschlą krwią. Etej po prostu wiedział, że w sitowiu leżał Gareth, a nie ktoś inny. Poczuł nieodpartą chęć, by stanąć obok niego, jakby spodziewając się znaleźć tam ukojenie. Jego serce zadrżało i cicho zapłakał. Lecz i tym razem wysokie niebiosa nie użaliły się nad maleńkim, skurczonym stworzeniem, leżącym w brudnej słomie. Droga do ciała martwego Gareta była dla niego zamknięta tak samo, jak zawsze była dla niego niedostępna dusza Belit. O, doskonale pamiętał, jak wesoło gwarzyła królowa Czarnego Wybrzeża z czarnymi piratami, bezmózgimi, cuchnącymi zwierzętami, i jak patrzyła gdzieś przez niego samego, tak jak patrzy się w morską toń, usiłując zobaczyć coś na dnie. Tak, nie znała go, a jego wygląd nie wywoływał w pięknej Belit nawet cienia zainteresowania. Zobaczył ogromne, kudłate cielsko, dobierające się do ciała Gareta, i natychmiast zapomniał o Belit. Grizzly! Olbrzymi niedźwiedź-ludożerca, nie gardzący również padliną... Przyszła mu do głowy nieoczekiwana myśl i zadrżał. Teraz potwór zacznie gryźć i szarpać ciało Gareta, a on będzie na to patrzył! Nie, nie chce tego! Takiej tortury nie wytrzymają jego wystarczająco stargane nerwy. Lecz wysokie niebiosa — teraz był pewien, że to właśnie one wspólnie z okrutnym Erlikiem wymyśliły dla niego tak ciężkie próby — zmusiły go, by patrzył i słuchał. Nie mógł nawet zamknąć oczu, gdyż był to sen, a wszak śpiący nie ma władzy nad swymi snami. Patrzył, sparaliżowany przerażeniem, czując w głębi ssącą, drżącą pustkę. I wiedział już, jak wszystko to się nazywa.

W szynku Igrat przypomniał komedianom, że powinni jednak wybrać na Mitrades pięciu strzelców. Na te słowa wszyscy ponuro podnieśli oczy na Michera, i ten, żując ospale soczysty kęs wołowiny, kiwnął głową, godząc się zastąpić zabitego Leonsa. W niewielkiej salce było cicho. Czwórka żołnierzy w kącie oraz dwóch rzemieślników, którzy zajęli stół pod niewielkim oknem, podejrzliwie spoglądali na komedianów. Nie zapomnieli przy tym wlewać w siebie prosto z butli wina niewiadomego pochodzenia i trudnego do określenia koloru i ta okoliczność rozpraszała nieco ich czujność i nastrajała bardziej dobronodusznie. Kiedy okazało się, że stoły jednych i drugich zastawione są tylko pustymi naczyniami, zainteresowanie komedianami zanikło zupełnie. Jedynie smętnie migające, ledwie rozświetlające pomieszczenia kaganki rzucały żółtawe refleksy na markotne fizjonomie gości.

Mocny sen nie przyniósł nikomu ulgi. Pogorszył tylko i bez tego kiepskie nastroje błaznów. Ich głowy były puste, powieki spuchnięte i czerwone, a w głębinach źrenic snuły się pijane myśli, choć nikt jeszcze łyka nie wypił. Szybko zresztą naprawili tę sytuację, zamawiając, jeśli nie morze, to z pewnością jezioro piwa.

Micher wypił od razu pół kubka i natychmiast poczuł się lepiej. Także pozostali, czując chmielny przedsmak zbawczego zapomnienia, nabrali animuszu. Lecz na rozmowę, tak samo jak na śmiech i żarty, nie mieli ochoty. Wszyscy odczuwali do pozostałych taki wstręt, że samo tylko spojrzenie na mordę kompana wystarczało, by wywołać wściekłość. Toteż za stołem komedianów królowało uroczyste, acz nader ponure milczenie.

Karczma zapełniała się powoli. Zawsze tak było, gdy zapadał zmrok — zupełnie jakby ludzie usiłowali skrócić czas, jaki pozostawał do nocy, pijackim odurzeniem i wesołą, bezmyślną gadaniną lub politycznymi sporami. Jakie intrygi przeciw Nemedii knuje Aquilonia i co powiedzieli swemu katu buntownicy zamknięci w Żelaznej Wieży, jaki podarunek przysłała królowi bogata Koryntia i co się stało ostatniego księżyca w Gunderlandii... Dzisiaj jednak temat był bardziej interesujący, zwłaszcza że bezpośredni uczestnicy nocnych wydarzeń znajdowali się na miejscu, w karczmie. Gości wciąż przybywało. Podobnie jak siedzący tu od samego początku żołnierze i rzemieślnicy, wszyscy patrzyli na komedianów podejrzliwie. Popędzając snującą się leniwie obsługę, ludzie szukali oczami znajomych, po czym przysiadali się i zaczęli rozmowę na obojętne tematy. Komedianci niczego nie dostrzegali. Dzbany ich wysychały, oczy stawały się szkliste, a coraz lżejsze serca unosiły się do powały, gdzie wirowały, uwolnione niemal zupełnie od odpowiedzialności za śmierć współtowarzysza. Oto już na tłustych policzkach grubasów zagrały rumieńce, a na ustach Weliny pojawił się nieśmiały uśmiech. Zgodnie ze swym zwyczajem Mado warknął coś pod nosem, Senizonna nadał się czymś obrażony, Agrej zacmokał, Micher wlepił oczy w podrygującą na cienkim łańcuszku kaganeck, a Kuk z Lakukiem zaczęli na siebie posykiwać... Z każdym łykiem piwa życie wracało w wyczerpane ciała komedianów i dobry Igrat bardzo się temu radował. Wpatrywał się z miłością w dobrze znane mu twarze, modlił się o zmiłowanie dobrego Mitry dla trefnisiów i z trudem powstrzymywał się od chęci, by zdrowo zapłakać...

Niestety, Mitra był bardzo zajęty i nie zwrócił żadnej uwagi na prośby Igrata. Set jednak nie zasypiał gruszek w popiele. Później dopiero Igrat doszedł do wniosku, że to on właśnie — bo któż by inny — musiał napęlić dusze gości karczmy gniewem, zaćmić ich rozumy i uzbroić w puste butle. Co chwila ktoś wstawał ze swego miejsca i z ponurym spojrzeniem i brwiami ściągniętymi niemal do samego nosa podchodził do stołu komediantów. Wkrótce stół był otoczony podwójnym pierścieniem zasępionych mężczyzn, którzy tak ciężko dyszeli, że w końcu Mado zwrócił na nich uwagę.

— Czego wam trzeba, czarcie pomiotło? — wykrzyknął zapalczywie falsetem, rozwalając się.

Komedianci zaniepokoiли się. W ich koczowniczym życiu nieraz zdarzały się podobne zawieruchy i zwyczajami — niestety — najczęściej bywali nie oni. Czasami sprawa kończyła się tylko siniakami i zadrapaniami, czasami jednak bywało gorzej. W Zambouli na przykład, w jakiejś tawernie Zazalle złamali nos, a Ulino miał przecięty brzuch (dzięki Mitrze tak obrósł tłuszczem, że ostrze nie naruszyło wnętrzości); w sultanapurskim szynku Senizonnie złamali nogę, Leonsowi obojczyk, a Jenkinowi niemal odgryzli ucho; w obskurnej karczynie w Numalii omal nie zabili Mado... Krótko mówiąc, komedianci zupełnie nie mieli chęci zadawać się z tutejszymi zabijakami, zwłaszcza przed Mitradesem, na którym zamierzali pokazać się z jak najlepszej strony. Dlatego Ulino, jako najrozsądniejszy, walnął Mado w ramię.

— Cicho bądź, Mado — poradził.

Lecz było już za późno.

— Capy nieczyste! — wydarł się nagle łysy, cherlawy chłopak o bladozielonej, wyciągniętej i spłaszczzonej twarzy.

— Dranie! — podchwycił konus wyraźnie khitajskiego pochodzenia. — Mordercy!

— Pluskwy śmierdzące! Ścierwa!

— Dawać ich tutaj!

— Powiesić!

Cherlawym zatrzęsło i splunął, co najwyraźniej miało oznaczać początek działań bojowych. Sapiący kurdupel usiłował ugryźć w plecy Ulino, na co Senizonna, który siedział obok grubasa i tęsknie mruzczał pod nosem kolejną bzdurę, tak dźgnął go łokciem w podbródek, że ten z piskiem odleciał w tłum za sobą. W odpowiedzi czyjaś pięść trafiła Senizonnę prosto w jego piękne oko i w tej samej chwili wyjący cherlak rzucił się na Lakuka i wczepił się w jego włosy.

Rozjuszeni komedianci poderwali się z miejsc, chwytając ze stołu różne rzeczy, wiedzieli bowiem z doświadczenia, że w bójce wszystko się przyda. Wymachujący dzbanem po piwie Jenkin trafił jednego w nos, drugiego w brew, trzeciego w ucho; obok niego w milczeniu miażdżył zabijaków Agrej, który tak zręcznie unikał ciosów i tak sprawnie rozdzielał własne, że wkrótce jego słomiane włosy miały się w samym środku bijatyki. Kuk wraz z Lakukiem, który z trudem odczepił się od cherlaka, bronili się taboretami — i nawet z powodzeniem, bowiem trzech czy czterech przeciwników walało się już na brudnej, zaplutej podłodze, skamląc i rozmazując własną krew.

Grubasy dławiły przeciwnika masą, a obok nich walczyli Senizonna i Ksant. Zdawało się, że piękny ponurak znalazł się w swoim żywiole — z promiennym uśmiechem obrywał we wszystkie części ciała i głowy i równie zadowolony rozdzielał razy na prawo i lewo. Pierwszą jego ofiarą stał się cherlawy, który leżał teraz bez zmysłów i z rozbitą głową na sąsiednim stole. Upojony zwycięstwem Senizonna złożył jeszcze trzech ludzi i teraz wraz z Ksantem przebiegał się do Agreja, którego dusił jakiś dziko wyjący oberwaniec.

Igrat nie umiał się bić, dlatego wspólnie z Weliną odgryzał się, drapał i kopał, co również dało wyniki — trzech napadających na nich rzemieślników odstało z przekleństwami, macając poorane twarze czerwonymi od krwi palcami.

Plujący w rozjuszeniu Micher usiłował przebić sobie drogę do Mado, którego zupełnie nie było widać za szerokimi plecami tubylców. Odrywając od siebie jakieś ręce, rycząc i walcząc zaciekle, z przerażeniem obserwował błyskające w powietrzu pięści, które musiały spadać na głowę rudzielca. Lecz zwinny Mado z żelaznymi pięściami trzymał się jeszcze. Otoczony ze wszystkich stron, kręcił się jak wiewiórka; rude włosy miał zlepione krwią, oboje oczu podbite. Wyszczerezony złośliwie rzucał się na przeciwników, celując w zęby lub w pachwiny, a sam niemal nie czuł otrzymywanych ciosów. Wreszcie Micher znalazł się obok niego i w zamieszaniu bijatyki omal nie dostał w ucho od przyjaciela.

Gospodarz stał w drzwiach, gotowy w każdej chwili ulotnić się, i krzyczał. Połamane stoły i taborety, rozbite i rozdeptane naczynia — patrzył na ten pogrom i serce mu się krajało.

Wyciągał ręce do awanturników i wzywał ich do opamiętania i rozejścia się. Żądał, by

zapłacili mu za straty, lecz jego słaby głos tonął w ogólnym zamieszaniu, a gdy wyrzucony czyjaś silną ręką kufel przeleciał przez całą salę i omal nie trafił go w czoło, nieszczęsny gospodarz zmuszony był ratować się ucieczką, co też z żalonym jękiem i płaczem uczynił. Bijatyka kończyła się. Oberwani, potłuczeni, posiniaczeni i pokrwawieni komedianci ledwie trzymali się na nogach. Przewaga była jednak po ich stronie, gdyż tak czy inaczej wciąż stali, podczas gdy większość przeciwników leżała. Szum cichł, ryki i krzyki zastąpiły jęki i wycia pokonanych. Gdzieniegdzie dały się słyszeć uderzenia i łoskot padających ciał. Lżej ranni starali się opuścić chyłkiem pomieszczenie. Wreszcie przed błądnymi nie było ani już jednego tubylca poza tymi, którzy leżąc na podłodze, wypełniali powietrze przerywanym wyciem i starali się nie patrzeć na zwycięzców.

— Wynosimy się! — rozkazał ochryple Ulino, chwytając prawą ręką za kołnierz oszalałego od walki Senizonnę, a lewą Mado, który ucierpiał więcej od innych. Twarz miał zalaną krwią, a z rozerwanej koszuli wyglądało chude, gęsto usiane purpurowymi plamami ciała.

Szybko i w milczeniu komedianci opuścili niegościny szynk i zanurzyli się w świeżą mgłę ulicy. Szli powoli, z rozkoszą wdychając czyste, nocne powietrze. Nie rozmawiali. Gdy w świetle lampy dostrzegli kilka postaci odzianych w mundury królewskiej gwardii, rzucili się przez najbliższą przecnicę do swoich wozów, gdzie znaleźli wreszcie spokój i sen.

X

Co i jak było w dalekiej przeszłości — czy powinno to poruszać Conana teraz, we współczesnym świecie? Każdego ranka nad wielką Aquilonią, perłą Zachodu, wstawało słońce — oko jasnego boga Mitry — i każdego wieczoru kryło się za horyzontem. Niebiosa nie spadały, góry się nie waliły, ziemia pod nogami nie zapadała się. Ludzie żyli, błogosławiąc czy też przeklinając swego władcę, ale żyli. Czegóż mógł chcieć więcej, poza wiecznym pokojem, który pozwoliłby mu rozkoszować się władzą, bogactwem i sławą? Tym, do czego dążył całe życie... Lecz już od dawna wiedział, że droga do realizacji marzenia jest znacznie ważniejsza od jego spełnienia...

Zeskoczył z ostatniego stopnia, z całej siły kopnął drzwi nogą w wysokim skórzanym butcie okutym noskiem i wyciągając miecz z pochwy, wszedł do komnaty. Okna wychodzące na wspaniały królewski ogród były zasłonięte ciężkimi kotarami w ciemnofioletowym, niemal czarnym kolorze tak, że nawet odrobina światła nie wnikała do wnętrza. Na stojącym pośrodku okrągłym stole wznosił się ogromny, przezroczysty kryształ o lekkim zielonym zabarwieniu; przyćmione ogniki błyskały i natychmiast gasły w chłodnym łonie kamienia niczym zamurowane świetliki, wyrrywające się na wolność.

W głębi komnaty, we wspaniałym fotelu pokrytym cienkim kilimem kuliła się maleńka postać. W ciemności trudno było rozpoznać nie tylko rysy, ale i płęć owej istoty, chociaż Conan doskonale wiedział, kto błyska na niego dwoma maleńkimi żółtymi krążkami. Podszedł, bez słowa przystawił czubek miecza do miejsca, gdzie powinna znajdować się owłosiona szyja, i pchnął leciutko. Krótki szloch obwieścił, że został zrozumiany. Król osłabł nieco nacisk miecza, by jeniec mógł mówić, i zrobił groźną minę.

— No, cuchnący jaszczurze — ryknął — otwieraj natychmiast pysk i opowiadaj mi wszystko!

— Jakie „wszystko”, panie? — wyskrzypiał w odpowiedzi meir Cemido, wciskając się w fotel, jak najdalej od ostrej klingi.

— Dlaczego ją zabiłeś?

— Kogo? Tę brudną dziewczynę?

— Mgars była sto razy czystsza od ciebie, ruino!

— Nie śmiem ci przeczyć, panie mój.

— Jeśli będziesz kręcić, to klnę się na Croma, że odetnę ci najpierw nos, potem ucho — podoba mi się twój kolczyk, krzywa mordko... A potem rozstaniesz się z głową! Chociaż to niewielka strata... No!

— Ona mogła nam przeszkodzić, panie. Utknąłeś u niej i straciłeś poczucie czasu! Jak zabrałbym cię z powrotem?

— I zabiłeś ją!

— Pomyśl tylko, władco, co innego mogłem zrobić! Takiego lwa jak ty — schlebiał mu meir — żadną siłą nie wyrwie się z rąk kobiety. Dlatego wkradłem się do jej domu, wsypałem do dzbana z winem pewien cudowny środek — wszak spałeś jak kamień, panie? — i gdy wasze powieki zamknęły się, podszedłem... I to wszystko.

— Zabiłeś ją!

— Tak — przytaknął Sługa Przeszłości i popatrzył na Conana przymilnie. — A co innego miałem zrobić?

— Nie powtarzaj się!

— Ty sam się powtarzasz, panie — burknął stary i żółte krążki jego oczu rozbiegły się.

— Słuchaj mnie uważnie, stęchłe wymię. — Conan zamilkł na chwilę, patrząc zamyślony na meira. — Nie będę cię sam sądził. Jest wielki Mitra, jesteś ty i jest jasna, niewinna dusza zamordowanej po cichu przez ciebie Mgars... Gdybyś popełnił zbrodnię w moim czasie i w moim państwie, powiesiłbym cię głową do dołu, lecz przedtem oddał w ręce oprawcy w Żelaznej Wieży... Teraz jednak niech Dawca Życia i Obrońca Równowagi zdecyduje o twoim losie. Zrozumiałeś, brudna kreaturo?

— Zrozumiałem — pokornie odpowiedział Sługa Przeszłości. Wyglądało na to, że Conan wybrał właściwy sposób rozmowy z meirem. Na wieść o sądzie Mitry stary wyraźnie się stropił. Nie spodziewał się po barbarzyńcy takiej bystrości, toteż spojrzął na niego zupełnie inaczej niż przedtem. Ogromna postać aquilońskiego władcy wznosiła się przed nim jak wysoka góra nad równinami. Jego nieprawdopodobna siła nigdy wcześniej nie przerażała Sługi Przeszłości, lecz to, co zobaczył nagle w niebieskich oczach Conana, poraziło go do głębi jego istnienia. To była myśl! Barbarzyńca, od lat przedstawiany w legendach jako wielki wojownik, przybrał teraz przed nim zupełnie inną postać. Chyba w tej właśnie chwili stary zrozumiał, że król jest naprawdę mądry. Do tego momentu widział w nim tylko siłę, surowość i nieokrzesanie. Miał, oczywiście, wiernie sługi — co w rzeczywistości rzadko się spotyka — samodzielnie rządził potężnym państwem, czego trudno było oczekiwać po przybyłym znikąd Cymmerianinie. Zazwyczaj prostak, który jakimś cudem zasiadł na tronie, otacza się szlachetnymi i wytrawnymi w rządzeniu krajem panami i oni na równi z nim stają się władcami. A jednak nie spodziewał się po tym barbarzyńcy myśli, do tego jeszcze tak głębokiej. Starzec westchnął i pokłonił się królowi, nie wstając z krzesła, ostrze bowiem wciąż dotykało jego szyi.

— Wygonisz mnie, panie? — spytał cicho.

— Tak — skinął głową Conan, zabierając miecz. Przetarł ostrze połą kurtki, jakby obawiając się zarazy, i wsunął broń do pochwy.

— Poczekaj. Daj mi pół dnia, a ukazę ci złoczyńcę. A może o nim zapomniałeś? — meir podniósł ręce ze zdziwieniem, dostrzegając na twarzy króla niedowierzanie.

— Nie, nie zapomniałem. Ale nie jesteś mi potrzebny, stary kruku. Zabieraj swoje rupiecie i wynoś się z Tarancji jak najszybciej.

— On cię zabije!

— A to już nie twoje zmartwienie.

— Panie mój, pozwól...

— Nie jestem twoim panem! I spiesz się, bo do rana chcę o tobie zapomnieć.

Z tymi słowami Conan pchnął ramieniem drzwi i wyszedł z komnaty, pozostawiając osłupiałego meira w ciemności.

— To wszystko — zakończył król swe krótkie opowiadanie. Peljas patrzył w milczeniu w ścianę naprzeciwko, postukując w podłogę obcasem. Jego serce rozumiało Conana, jednak rozum nie mógł zrozumieć, że człowiek, którego następnego dnia ma przebić strzała, nie chce poznać imienia swego zabójcy i uratować sobie w ten sposób życie. Czy to duma? Nonsens. Nie ma przecież innego sposobu poznania prawdy. Można tylko wstrzymać obchody lub nie wpuścić na plac komediantów... Lecz Conan za nic nie zgodzi się na zapłacenie takiej ceny. Wtedy już na pewno odezwie się jego duma...

Mag westchnął i spojrzął na króla. Cóż, przyjdzie mu dołożyć wszelkich starań i zmusić go, by nie wyganiał meira Cemido, zanim ten nie odłoni im prawdy.

— Posłuchaj, przyjacielu... Byłeś dziś w mieście?

— Nie zdążyłem — pokręcił głową Conan. — A co takiego?

— Ludzie z niecierpliwością oczekują Mitradesu. Wszyscy się śmieją, są radośni... Czy to prawda, że po święcie zabawy będą jeszcze trwały?

— Do następnego księżyca. Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Peljasie.

— Jak myślisz, panie, ile radości przyniesie ludziom twoja zguba? Wydaje mi się, że zepsuje nieco świąteczny nastrój mieszkańców miasta i gości.

— Czy wyglądam na durnia?

Peljas uniósł brwi.

— Nie, przyjacielu. Ale dlaczego o to pytasz? Czy znasz sposób, by poznać imię mordercy?

— Nie znam żadnego innego sposobu. Po prostu jestem przekonany, że twój przyjaciel

jednego słowa nie powie za darmo. Złoto, drogie kamienie... Zapłaciłbym mu. Lecz wszak jemu to niepotrzebne? Czego chce w takim razie? Jeśli nie wiesz, Peljasie, to ci powiem. Tego, czego nie mogę mu dać.

— Co to jest?

— Nie mam pojęcia. Ale doskonale znam takich nienasyconych drani. Półdemony, półmagowie, półludzie... Nie chcę cię obrazić, gdyż, Mitra świadkiem, niczego złego od ciebie nie doświadczyłem, lecz meir Cemido to właśnie taka obmierzła kreatura. Dlatego też niepotrzebny mu mój skarbiec. On zażąda...

— Na pewno masz rację, panie — pokiwał głową Peljas. — Myślę jednak, że warto spróbować. Niczym nie ryzykujesz.

— Nie.

— Przyjacielu mój, gdybym mógł ci pomóc... Lecz ni mojej władzy, ni mojej wiedzy nie wystarczy, by odnaleźć tego człowieka. Gdybym miał go przed oczami — tylko jego — wtedy powiedziałbym: „Tak, ten błazen jest niebezpieczny”... Lecz wybrać z pięciu trup jedną, a z tej jednego zabójcę... Nie potrafię...

— Nie proszę cię o to, Peljasie. Zostawmy sprawy, tak jak są. Niech o moim losie zdecyduje Mitra.

Mag popatrzył na króla ze zdumieniem. Dotychczas nie zauważał w nim takiej pokory.

Niespożyta, dumna natura barbarzyńcy dążyła szacunkiem jedynie bogów, poza tym zawsze i we wszystkim Conan liczył tylko na siebie. Co z nim się teraz stało?

Król chrząknął, jakby odczytał myśli i nieme pytanie Peljasa.

— Kiedyś, bardzo dawno temu, sądził mnie Mitra — zaczął mówić po chwili milczenia. —

Naruszyłem zakaz i zabiłem człowieka, który prosił o zmiłowanie... Jednego człowieka! Wiele czasu przeszło, nim odkupiłem swój grzech. Teraz jednak, gdy przekroczyłem już czterdziestkę... Myślałem o tym, Peljasie. Moje ręce przelały tyle krwi, że można by w niej zatopić Tarancję! Czy zabijałem niewinnych i proszących o zmiłowanie — nie pamiętam. Ale to możliwe. Może więc strzała owego mordercy jest wymierzona w moją pierś wołą Mitry?

— Zdziwiasz mnie, panie... Nie przypuszczałem, że ty...

— Że ja myślę? Na Croma, nie mylisz się. Zazwyczaj nie zajmuję się tym, ale... Nie znam odpowiedzi. Wszystko zapewne kryje się w przeszłości...

— Pozwól więc, panie, bym wypytał meira Cemido. W twojej obecności, ma się rozumieć.

— Peljasie, jesteś niezwykle natrętny.

— Tak, przyjacielu. Pozwalasz więc?

— Nie chcę widzieć tej kreatury.

— Możesz się odwrócić, panie — uśmiechnął się mag.

Uderzył w gong i natychmiast pojawił się wyszkolony przez dawnych gospodarzy sługa z dwoma pucharami i dzbanem wina na tacy. Szybko napełnił naczynia i oddalił się z pokornym ukłonem.

Conan nie zdążył nalać sobie powtórnie, gdy w drzwiach pojawił się triumfujący meir Cemido. Nie miał najmniejszych wątpliwości, po co król wraz ze swym sługą zaprosił go tutaj. Imię zabójcy! On już je znał. Nie tylko przezwisko, którym nagrodzili to ścierwo Zuagirczycy, lecz także prawdziwe imię — to, które dostał przy narodzinach i które nosił do tej pory. Aż szkoda, że przyjdzie odkryć prawdę! Z jaką radością obserwowałby, jak zatruta strzała wbija się w pierś barbarzyńcy... Nie pomogłaby mu nawet kolczuga — strzelec zbyt dobrze zna swą profesję... Jak zręcznie uporał się z dwoma błaznami, swoim i tutejszym. Wszystko zaledwie w kilka sekund. Takie mistrzostwo jest wiele warte. Jednakże cel Sługi Przeszłości jest znacznie ważniejszy niżli śmierć nędznego Cymmerianina i przyjdzie mu jednak wymienić imię strzelca...

Meir nie miał nawet zamiaru skrywać swego triumfu. Oczka starego błyskały zwycięsko, z kącika uniesionych niemal do samego nosa ust wyciekała cienka strużka żółtawej śliny. W rękach trzymał ten sam kamień, który Conan widział w jego komnacie. Oświetlony kryształ wyglądał inaczej: mienił się tęczo, wybuchając jaskrawo coraz to innym kolorem, lecz zachowywał przy tym dawny zielonkawy odcień. Conan spojrzął z pogardą na ów magiczny przedmiot, meira zaś w ogóle nie zaszczycił swym spojrzeniem. Peljas wstał jednak na powitanie Sługi Przeszłości, na co ten nawet nie zareagował. Opadł na stojące obok fotela króla krzesło, zmuszając go do tego, by się odsunął.

— No? Wymienić jego imię? — zaskrzytał wesoło, o ile taki krokodyl mógł być w ogóle wesół.

— Tak — Peljas pochylił się do przodu.

— No cóż... Zwią go... Byłbym całkiem zapomniat! Nie uzgodniliśmy ceny!

— Ile chcesz? — spytał surowo mag, bębniąc palcami w oparcie fotela.

- Nie pieniądze, nie pieniądze.
— Złoto? Drogie kamienie? Tarancką biżuterię?
— E tam!
— Czego więc sobie życzysz?
— Życia! Myślę, że tak będzie sprawiedliwie. Życie za życie.
Peljas rzucił na króla zdziwione spojrzenie. Conan wiedział, że stary zażąda olbrzymiej zapłaty!
— Czyjego życia, psie?
— Władca ma takiego nieznacznego człowieczka... Zdaje się, że wołają na niego Pallantyd.
— Co! — ryknął Conan, podskakując. — Na strzępy cię rozerwę, pomocię Nergala! Dotychczas milczał, przeklinając w duszy i meira, i Peljasa za jego natręctwo, lecz tak nieprawdopodobnej bezczelności nie mógł znieść i musiał się wtrącić do rozmowy.
— Podła kreaturo! Pętlę na szyję dostaniesz, nie Pallantyda!
— A na co ci on się zda, panie? — spytał niezmaconym tonem stary. — Takich jak on znajdzie się w twoim kraju co najmniej stu!
— A tobie on na co? — warknął ponuro Peljas, który zrozumiał, że do układu nie dojdzie.
— Przez niego przeniknę w największą głębię przeszłości! Tam, gdzie drogi są dla mnie zamknięte! Sprawdziłem wszystko w magicznym kryształ. Odpowiada mi albo on, albo... ty, panie. Ciebie jednak nawet nie śmiem o to prosić.
— Co może zrobić dla ciebie Pallantyd? — pytał dalej mag.
— Żywy — nic.
— Więc postanowiłeś pozbawić go życia?
— Tak — przytaknął swobodnie meir. — Inaczej się nie da.
Conan, którego dusiła wprost wściekłość, nie wytrzymał. Wyciągnął miecz i nie chcąc niczego więcej wyjaśniać, z rozmachem opuścił go na głowę Sługi Przeszłości. Ten zapiszczał i usiłując się bronić, zasłonił się magicznym kryształem. Klinga dźwięcznie wbiła się w kamień. Jego błyskające szczątki posypały się na dywan i natychmiast zgasły. Przez komnatę przeszedł ciemny, pełen piasku wiatr, owiewając ludzi śmiertelnym chłodem. Meir pozieleniał; wyciągając ręce do Conana, usiłował coś powiedzieć, lecz ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego krzywych ust. Stojący obok króla Peljas ze zdumieniem patrzył, jak znika i rozplywa się w powietrzu dziwaczna figura Sługi Przeszłości. To samo stało się z kawałkami magicznego kryształu: niczym krople wody wsiąkały w dywan, nie zostawiając po sobie nawet śladu. Po chwili wszystko było skończone. W komnacie stał tylko Conan z opuszczonym mieczem i mag.
— Zabiłeś go, panie mój... — wymamrotał Peljas, patrząc na miejsce, gdzie dopiero co stał meir Cemido.
— Ja?
— I dobrze zrobiłeś, panie.

XI

Strzelec obudził się o świcie. Jakiś czas leżał nieruchomo, bojąc się nawet odetchnąć, gdyż z każdym oddechem pierś przenikał mu ostry ból. Wreszcie uniósł się nieco i popatrzył na śpiących współbraci. W półmroku twarze komedianów były szarozółte jak u zmarłych. Jeśli nawet awantura w karczmie niekorzystnie odbiła się na ich zdrowiu, z pewnością nie zakłóciła ich snu — jak zawsze był mocny i spokojny, czego Etej od dawna już im zazdrościł. Sam spał źle — cienie przeszłości nie chciały odejść i dręczyły go przez całą noc, Towarzyszyły mu, kiedy zasypiał i kiedy się budził. Potem przychodził ból. Jak teraz... Spróbował wstać, ale udęczone ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Do tego pod kolanami odkrył ogromne pęcherze. Przekłuł je szpilką, przeklinając i omal nie wyjąc z bólu. Dzięki Mitrze Belit, Garet i białooka, którzy dotychczas stale go odwiedzali, przypadli w nieznanach głębinach jego pamięci, rozplynęli się i przemienili w pył. Wyzwolony Etej poczuł szczerą ulgę. Kurcze jednak odchodziły tylko po to, by znowu powrócić. Traktował je już niemal jak żywą istotę, męczyły go bowiem z wyraźną lubością — tak Pantedr pastwił się nad swą ofiarą, nim z nią skończył.
Jak daleko odeszły czasy, gdy był młody, piękny i bez troski! Jego ciało, wolne wówczas od podłych chorób, pełne bujnej siły przyciągało niemało ślicznotek — pulchnych i smukłych, młodych i starszych... Wtedy patrzył na nie ze śmiechem. A teraz? Siła została, wygląd prawie się nie zmienił, tylko baczniejsze oko dostrzegłoby sieć cienkich zmarszczek, pokrywających gładką niegdyś twarz... Lecz w środku... Nie, nawet nie był chory — był

raczej martwy. Co jeszcze trzymało go na nogach? Co pomagało utrzymywać na wargach głupawy uśmiezek, dzięki któremu mógł ukrywać się wśród komedianów? I nikt, nikt się nie domyślił... niczego...

Atak jak zawsze nieoczekiwanie wykręcił jego ciało. Lecz i teraz, nie wycierając lejących strużką po policzkach łez, uśmiechał się. Przyszedł wreszcie ten dzień, gdy dopełni się zemsta, a wszystko inne w porównaniu z tym to głupstwo. I zwiijając się na brudnej słomie od bólu w kościach i mięśniach, wbijając szpilkę w rozpalone od męki ciało, wstrząsany spazmami w piersi, dławiąc się rzygowinami — uśmiechał się. Jego oczy widziały tylko jeden obraz: strzała z zatrutym ostrzem przelatuje ze świstem przez plac i z cichym kłapnięciem, którego nie dosłyszeli nikt poza zabójcą i ofiarą, wbija się w potężną szyję... Tak, postanowił mierzyć właśnie w szyję. Barbarzyńca może oblec się w mocną kolczugę, wsadzić na siebie kamizelę i wtedy pozostanie przy życiu. A na to nie wolno pozwolić! Dlatego w szyję. Byle tylko nie zapomnieć powlec strzały trucizną. Tutaj, pod deską wozu, dawno już czeka schowana przez Eteja mała flaszeczka ze śmiertelną ciecżą. Barbarzyńca ma szczęście — umrze natychmiast. Strzelec sam widział, jak szybko ulatuje dusza człowieka na Szare Równiny, gdy jad przeniknie przez pory jego skóry. No cóż, a niechby nawet i tak. Teraz pozostaje tylko poczekać, aż wozy udadzą się na plac, a tam wydostanie w zamieszaniu swoją flaszeczkę... A na razie — spać. A raczej zamknąć oczy i czekać przebudzenia współtowarzyszy. Ma czas. Niewiele, ale ma.

Na czystym błękitnie nieba nie było ani jednej chmurki. Powoli, majestatycznie wznosiła się jasnożółta tarcza słońca, oświetlając i ogrzewając ziemię żywymi promieniami. Z południa dął lekki wiaterek, tak ciepły i delikatny, jakby to sam Mitra wysłał go na wielkie aquilońskie święto.

Ulice szumiały. Na plac ludzie ciągnęli z najdalszych zakątków Tarancji. Ogromne pole za południowym murem miasta otaczali już gwardziści. Rzędy straganów na jego skraju zapełniały się handlarzami, których przepuszczano za okazaniem specjalnych miedzianych plakietek — ich towary miały być dokładnie sprawdzone przed rozpoczęciem uroczystości. Wozy komedianów stały jeszcze na uboczu, a oni sami łazili, sennie poziewując, i tylko co i raz biegali do strumienia, by ulżyć swym cierpieniom po nieumiarkowanym piciu poprzedniego wieczora.

Etej odczekał, kiedy jego kamraci wynieśli się z wozu na świeże powietrze, wyciągnął stertę strzał, do których Welina przywiązała już różnokolorowe wstążki, przejrzał je starannie i wreszcie, kierując się jakimiś tylko sobie znanymi wskazówkami, wyjął jedną z nich. Jego ciałem wstrząsał dreszcz, lecz ręka była pewna jak zawsze. Cmoknął i z aprobatą przesunął delikatnie palcem po gładkiej powierzchni strzały. Potem, nie spiesząc się, wsunął w szczelinę między deskami koniuszek szabli, którą w czasie przedstawień połykali to Kuk, to Lakuk, i wymacał tam fiolkę. Płaskie, przezroczyste naczynie, nie większe od kłykcia jego wielkiego palca, było pełne ciemnobrązowego płynu. Trzymając je jak najdalej od siebie, z największą ostrożnością wyciągnął paznokciem ściśle skręconą przetłuszczoną szmatkę, która służyła za korek. Uderzył go natychmiast przykry zapach i strzelec, urągając sobie za brak pamięci, a Nergalowi za perfidię, odrzucił korek i zatkał nos. Teraz trzeba natrzeć trucizną czubek strzały, lecz jak to zrobić? Nie mógł postawić fiolki na podłodze, gdyż była wygięta i można ją było tylko położyć. Lecz jak zrobić to bez korka?

Etej jęknął. Miał jeszcze czas, ale nie tak znów wiele. Zdecydował się i odjąwszy rękę od twarzy, chwycił przygotowaną wcześniej długą, cienką drzazgę. Kapnął na nią truciznę i nadal trzymając flaszeczkę jak najdalej od siebie, przyciągnął nogą strzałę. Wstrzymując oddech, ostrożnie, bardzo powoli podniósł drzazgę i zaczął smarować ostrze.

...Zdało się, że trwa to całą wieczność. Całe ciało Eteja stało się mokre, jakby znalazł się pod deszczem. Pot zalewał mu oczy, od zapachu trucizny paliło go piersiach, jakby połknął pochodnię. Mrużył oczy i spluwał gorzką śliną, nie zapominając przy tym trajkotać pod nosem przekleństw, co — o dziwo — pomagało... Wreszcie skończył. Zamknął starannie fiolkę i odłożył ją na miejsce, wepchnął drzazgę głęboko między ściankę a podłogę wozu, wytarł dłonie w słomę i wziął w ręce strzałę...

— A co ty tu robisz?

Zadrzał. Z jego głowy wyleciały nagle wszystkie myśli: stała się pusta i lekka. Na moment zrobiło mu się nawet przyjemnie. Uśmiechnął się i bardzo powoli zaczął się odwracać.

Wiele lat temu niedaleko Kuthchemesu strzelec wpadł w łapy Czarnego Jeźdźca — bandyty, który koczował na wielkim karym koniu na terytorium Turami. Wyższy niemal o połowę od przeciętnego człowieka potwór w czarnym płaszczu, cały pokryty gęstą sierścią, z

wystającymi nad szeroką górną wargą kłami, ledwie go dotykając, niemal pieszczotliwie powiódł po jego piersi grubymi, żółtymi szponami. Niemy, zezowaty, z na pół odrąbanym uchem — był straszny. O jego okrutnym, podłym charakterze powstawały legendy. Przechodzące przez Turan karawany najmowały zazwyczaj podwójną a nawet potrójną ochronę, bojąc się natknąć na to straszdyło. Lecz przed Czarnym Jeźdźcem uratować mogła jedynie łaska Mitry. Ten twór samego Seta napadał na nieszczęśników z siłą równą całemu wojsku i rąbał ich głowy i ciała, po czym zeskakiwał z konia i z lubością dobijał rannych, nie gardząc zjadaniem padliny.

Etej jednak miał szczęście. Kiedy potwór znalazł go w maleńkiej pieczarze nieopodal Kuthchemesu, był w doskonałym nastroju — postanowił więc, że zabawi się nim, zanim go zabije. Podrzucił strzelca do góry i chrząkając, patrzył, jak ten macha w powietrzu rękami i nogami; zakopywał go w piasku i odkopywał, gdy ofiara zaczynała się dusić; przystawiał mu do gardła ostry, krzywy nóż i robił równoległe nacięcia... Do dziś strzelcowi pozostały na szyi krótkie, cienkie szramy...

Przy każdym oddechu Etej czekał, kiedy wreszcie poczwarze znudzi się zabawa. Nawet nie próbował uciekać — złoczyńca przebił mu prawą nogę tak, że strzelec mógł tylko pełzać. Lecz dopóki był z Czarnym Jeźdźcem, nie miał nawet takiej możliwości, ten bowiem zawsze jeździł wierzchem i oczywiście woził człowieka ze sobą przerzuconego przez siodło bądź — jeśli miał chęć zabawić się nieco — trzymając go za kołnierz.

Najwyraźniej coś w Eteju spodobało się potworowi. Nawet gdy zgłodniał, nie ruszył go, lecz schwytał u podnóża góry parkę zakochanych i posilił się nimi. Co więcej, zaproponował strzelcowi kęs dziewczyny, a gdy ten odmówił, był wielce zdumiony i zirytowany. Etej zdążył już nabrać odwagi i zaproponował poczwarze, by schwytała dla niego kuropatwę. Potwór uczynił to bezzwłocznie i nawet pomógł człowiekowi pozbierać suche gałązki na ogień.

Wtedy właśnie Etej uznał, że dość ma towarzystwa Czarnego Jeźdźca. Począł, gdy ten uśnie, wyciągnął z kieszeni kurtki fiolkę z trucizną i nie żałując, wlał śmiertelny płyn w nozdrze potwora.

Nie pamiętał już, jak udało mu się dopełznąć do najbliższej ludzkiej siedziby, kto przyhołubił go w maleńkim, wilgotnym domku i jak nazywał się uzdrowiciel, który leczył jego nogę... Pamiętał tylko jedno: właśnie wtedy, po rozprawie z Czarnym Jeźdźcem, zrozumiał, jak łatwo i przyjemnie jest tak zabijać. Właśnie tak. Potem czynił to nieraz — chyłkiem i jawnie — lecz zawsze w układzie jeden na jednego. To właśnie dawało mu prawdziwe zadowolenie — jeden na jednego. Bój nie daje takiej satysfakcji z własnego rozumu i siły. W spoconym, cuchnącym, wyjąłym kłębowisku nie ma też żadnego piękna. O ile piękniej i przyjemniej przebić nie gromadę nieznanego tałałajstwa, lecz jednego człowieka, który patrzy ci prosto w twarz, nie oczekując śmierci. A nawet, jeśli oczekuje! Zobaczyć w jego oczach siebie i — strach... O, Erliku... Jak to podnieca...

Dziwne tylko, że po zabójstwie Leonsa i Heldego nie odczuwał zwykłej w takich chwilach rozkoszy. Zapewne choroba osłabiła nie tylko jego ciało, ale przytępiła też emocje, a to niedobrze... Takimi właśnie uczuciami żył... Może jednak dzisiaj, kiedy na Szare Równiny odejdzie przekłety barbarzyńca, znowu ich doświadczy? Tak, na pewno. Takiego pięknego zabójstwa nigdy jeszcze nie udało mu się popełnić! Mitrades... Plac pełen narodu — widzów... Żołnierze, komediani, handlarze... W niebo lecą strzały, turkocząc kolorowymi wstążkami. Jak lecą! I tylko jedna skierowana nie w niebo. Jego. Ta nasączona trucizną. Wbija się dokładnie pod grdyką Cymmerianina jęk tłumu i...

Przed strzelcem stał Igrat. Jego wargi rozciągnęły się, odwzajemniając uśmiech.

— Co robiłeś? — powtórzył pytanie z zaciekawieniem.

— Strzały sprawdzałem — odparł niedbale Etej. — Jedna okazała się złamana.

— Nie ma zapasowej?

— Nie, tylko pięć... Słuchaj, Igrat, może ty naprawisz?

— Jak? Nie potrafię...

— Spróbuj.

Nie spuszczał oczu z Igrata, cały czas z tym samym uśmiechem Etej zaczął się do niego zbliżać. Leniwy chłop coś jednak najwyraźniej wyczuł, bo cofnął się nieco. W jego oczach strzelec zobaczył — nie, jeszcze nie strach — bojaźń. Kierując się w stronę wyjścia z wozu, Igrat potrząsał głową. Wyglądało na to, że dotarło do niego, kto zabił Leonsa i czerwoniczego Heldego...

— Co ty, boisz się mnie? — spytał łagodnie Etej. Igrat skinął głową, potem znowu nią potrząsnął, nie przestając się cofać. Już trafił nogą na skraj wozu, ręka namacała brzeg

tkaniny...

— Nie bój się — rzekł strzelec. — Po co?

Z tymi słowami rzucił się ostro do przodu i ukuł mocno Igrata w szczękę zatrutym ostrzem. Cofnąwszy się o krok, patrzył obojętnie, jak twarz chłopca purpurowieje, a potem sinieje. Patrzył, jak mętnieją i wychodzą z orbit jego oczy, jak w napadzie drgawek ręce zmierzają do kołnierza... Dziwne, lecz i teraz nie doświadczył rozkoszy. Zadowolenie? Być może, ale minimalne. I to wszystko! Podstawił nogę pod padające ciało Igrata, schwycił je i odciągnął w głąb wozu, tam, gdzie nie dochodziło światło. Narzucił na nie słomę, na wierzch zwałił kupę szmat, które nagromadziły się w wozie przez lata włóczędzy, i nie zapominając oznaczyć i położyć na miejsce zatrutej strzały, wyszedł z uśmiechem na ulicę.

Gwardziści podchodzili już do komediantów. Nachmurzeni surowo, obejrzeni ich podejrzliwie, skrzywili się — najwyraźniej ponury wygląd i brudna, porwana odzież nie odpowiadały ich wyobrażeniom o tym, jak powinni wyglądać trefnisie — i zaproponowali, by prowadzący trupy pokazali im łuczników.

Etej stał z boku i patrzył na piękne mundury gwardzistów. Kiedyś on też nosił podobny, tylko żółto — zielony, z czarną przepaską... Cała najemna armia Nemedii była tak właśnie odziana. Niektórzy spryciarze — Etej do nich nie należał — obszywali przepaskę złotem, a na piersi wieszali żelazne amulety przedstawiające kota, tygrysa lub odyńca, te bowiem zwierzęta czcili żołnierze. Głupota! Strzelec zawsze uważał, że to głupota, tak samo zresztą, jak noszenie wszelkiego rodzaju brząkadłek. I dlaczego kot, od którego rzekomo zależała zręczność? Etej nie miał amuletów, a zawsze sływał ze swej zręczności. Tygrys też nie doda odwagi, a odynieć siły, jeśli żołnierz tchórzliwy i cherlawy... Strzelec chrząknął tylko pogardliwie na wspomnienie, jak Aquilończycy gromili zawieszane żelastwem nemedijskie wojska... Chwała Mitrze, gdy pod koniec księżycy z ich tysiąca została ledwie setka, on był już daleko, w Karpachskich Górach...

Gdy tak stał z boku i patrzył na gwardzistów, wszyscy strzelcy ustawili się w szeregu. Ulino walnął go w ramię i gniewnie kazał się ruszać i dołączyć do nich. Etej niechętnie wypełnił polecenie. Oczywiście, nie bał się, że ktoś wskaże go palcem i krzyknie: „To on! On zabił Leonsa i Igrata! On zamierza wypuścić strzałę w wielkiego króla Conana!”. Magów nie było widać, a to znaczy, że Eteja także nikt nie może przyłapać. Na niczym. Zresztą na razie barbarzyńcy nie zabijają... Stanąwszy obok swoich, opuścił oczy — tak samo jak wszyscy — i splótł dłonie z tyłu. Jak łatwo jednak być w życiu komediantem! Nawet on, którego choroba tak przeżarła i pozbawiła krwi, bez wysiłku przybrał odpowiednią minę i zastygł, czując, jak podskakuje w piersi wstrzymywany śmiech... Oczywiście, gwardziści musieli zadowolić się jedynie obejrzeniem ponurych fizjonomii błaznów. A co sobie wyobrażali? Że po oczach poznają, czy ktoś nie zamyśla jakiejś podłości? Śmieszne. Kolejny raz zdumiała Eteja człowiecza tępota. Gwardziści obejrzeni wszystkich strzelców, kwaśno skinęli opiekunom trup i odeszli. I to wszystko? Śmieszne.

Etej poczuł się nawet lekko urażony. Gdyby było choć trochę ryzyka, o ile ciekawiej rozwijałyby się wydarzenia. Serce waliłoby mocno, ciężko, ręce by drżały i musiałyby mocno wziąć się w garść, żeby nikt niczego nie zauważył... A teraz? Ulino każe wracać i zaczynać przedstawienie. Nuda!

Wozy wyjechały na plac. Do przedstawienia, którego początek obwieści król, jest jeszcze trochę czasu. Lecz ludzie zapełnili już wielką przestrzeń pod południowym murem Tarancji i komedianci musieli wziąć się do swojej roboty. Etej westchnął, przyczepiając sobie kolorowe szmatki, po czym stanął na rękach i tak przeszedł się po słomie, zawadzając noskami butów o dach wozu. Jego głowa znów była pusta i lekka. Skoczył na nogi i zaśmiał się.

XII

Ognista kula, nagrzewając powietrze, unosiła się nad Tarancją. Jasne światło zalało cały plac. Oślepiająco błyszcząco ostro zakończone święte hełmy żołnierzy, a na purpurowych szatach kapłanów Mitry połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy drobne rubiny i brylanty. Bosonodzy nosiciele wody zręcznie wymijali spacerujących po placu ludzi, wykrzykując wesole wierszyki, za miedziaka gotowi byli napoić czystą, chłodną wodą choćby samego Nergala. Winiarze zachowywali się ze znacznie większą godnością. Każdy stał spokojnie na swoim miejscu i patrzył w niebo ze znudzeniem — spragnieni sami ich odnajdywali. Poza rzemieślnikami, chłopami i wszelkimi innymi drobnymi klientami co jakiś czas podpyływała do nich i gruba ryba w rodzaju nieprawdopodobnie wystrojonego kupca czy wielmoży. Płacili ukradkiem, ukradkiem pili, a potem, rozglądając się i wciskając głowę w ramiona, odchodzili.

Skąd wzięła się w nich ta skromność, tego winiarze nie rozumieli, a i nie pragnęli wcale zrozumieć. Może po prostu biedacy nie nawykli do chodzenia? Wszak na Mitradesie zabroniono postugiwania się wszelkimi środkami transportu poza własnymi nogami. Dla koni, pojazdów i palankinów wjazd na plac zamknięto już wczesnym rankiem, a za złamanie zakazu groziły niezmiernie wysokie kary.

Amatorzy rozrywek zebrali się wokół rozmieszczonych w półkregu na środku pola trup komedianckich. W jednej grupie wznosiła się piramida z czterech błaznów, z których każdy trzymał w rękach kilka jaskrawożółtych pomarańczy i żonglował nimi, od czasu do czasu rzucając je w najgęstszy tłum. W drugiej maleńki, wyglądający na Vendhianina, odziany w niewyobrażalną ilość czerwonych, białych, niebieskich i czarnych szmat śniady człowieczek wciskał do wysokiej skrzynki tęgą, do połowy obnażoną dziewczicę, która mierzyła go z dołu do góry ogromnymi, rybimi oczami i z wyraźną niechęcią wchodziła do ciemnicy.

Wykrzykując coś w rodzaju zaklęć, magik trząsał rękami, burczał i wyginał się, po czym otwierał drzwiczki i zadziwiona publika zaczynała wrzeszczeć z zachwytu — zamiast dziewczicy ze skrzyni wyskakiwał jednonogi staruszek z kusą, białą bródką. Przy wtórze bębenków krył się za zasłoną, a magik mrugał do tłumu, obiecując pokazać coś jeszcze bardziej interesującego, lecz za oddzielną opłatą.

W trzeciej trupie rozgrzewali się akrobaci. Rozpostarli wprost na ziemi zszarzałe od pyłu i czasu, ozdobione kolorowymi gwiazdami płótno i demonstrowali widzom swą sztukę, owiewając ich przy tym mocną wonią potu.

Na wozie czwartej trupy trzy grubasy zajmowały się połykaniem różnych przedmiotów — od kindżałów i mieczy do skórzanych pasów — z wdzięcznością przyjmując smakowitsze dary: kawałki chleba i mięsa, słodkie owoce i korzenie, a nawet całego pieczonego koguta, którego przyniosła im tłusta, rumiana handlarka.

Piąta trupa pokazywała scenki z życia kupców. Widzowie zaśmiewali się do łez, patrząc, jak wychudzony wieśniak wali kijem pechowego, okrągłutkiego kupczyka, zabiera mu trzos z pieniędzmi, po czym kieruje się do szynku z wyraźnym zamiarem przepicia swojej zdobyczy. Między rzędami straganów szumiały tłumy, choć w dowolny inny dzień ludzie na każdym zwykłym bazarze mogli kupić dokładnie to samo, tylko taniej. Gwardziści w parach lub trójkami chodzili po placu, pilnując porządku. Lecz ludzie po prostu łazili, weselili się, i tylko od czasu do czasu jakiś rozwścieczony człek ciągnął do gwardzistów złodzieja, którego przyłapał w swojej bądź w cudzej kieszeni.

Jednak mimo jasnej pogody, doskonałego nastroju i wesołego gwaru głowy Aqilończyków i gości co i raz odwracały się w stronę pomostu, na który lada chwila powinien wejść król i trzykrotnie uderzyć w miedziany gong, ogłaszając oficjalne otwarcie Mitradesu. Wtoczą wtedy na plac beczułki z darmowym piwem, urodziwe dziewczyny rozpoczną rozdawanie świeżych bułeczek, a za jakiś czas władca wygłosi krótkie przemówienie i w niebo polecą strzały z kolorowymi wstążkami — zwiastunki pokoju i urodzaju. Słońce zbliżyło się już do zenitu, gdy wreszcie po polu rozniosła się wieść, że władca wyszedł z pałacu.

— Kapitanie, jeszcze jedno zabójstwo... W tej samej trupie...

Pallantyd drgnął. Z założonymi do tyłu rękami stał obok pomostu, w którego deski wbijano ostatnie gwoździe, i czekał na pojawienie się Conana. Za plecami jego gwardzistów roił się różnorodny lud, co i raz wybuchający pojedynczymi odgłosami i śmiechem. Na niebie falowały płynęły oblicza Mitry, namalowane na cienkich, przywiązanych do sznurów płótnach.

Chłodne, jasnobłękitne oczy kapitana Czarnych Smoków zbieleły. Nie oczekiwał podobnej wiadomości i, choć była kolejnym potwierdzeniem jego domysłów, poczuł wściekłość.

Zdenerwowany gwardzista przestępował z nogi na nogę, patrząc na niego pytająco. Co jednak Pallantyd miał zrobić? Conan, którego przez cały ranek przekonywał, by nie przychodził na plac lub pozwolił zamknąć całą trupę do ciemnicy, milczał z uporem. Nawet nie zgodził się wdziać pod kamizelę kolczugi, jakby gra ze śmiercią wydawała mu się niezbędnym warunkiem życia...

— Co robić, kapitanie?

— Kto zginął?

— Ten człowiek, u którego zatrzymali się w Poitanie... Zebraliśmy wszystkich strzelców niby dla sprawdzenia i w tym czasie obejrzelśmy wozy. W jednym z nich pod słomą trup...

— To on... Klnę się na Mitrę, że on.

— Kto?

— Ten, który zarząnął Heldego i swojego...

— Tak, kapitanie.

— No cóż, Limus. Jeśli nasz król sam nie chce się o siebie zatroszczyć, zrobimy to za niego. — Pallantyd zniżył głos. — Weź pięciu swoich chłopców, tylko bez szumu, i zamień strzelców... Tylko nie zapomnij ubrać ich w te same szmaty.

— Rozumiem, kapitanie. — Poweselały gwardzista z zachwytem patrzył na Pallantyda. — A co zrobić z komediantami?

— Niech siedzą na razie w wozie... Pod nadzorem.

Kapitan Czarnych Smoków westchnął nieznacznie. Poczuł, jak po raz pierwszy od kilku dni opuszcza go napięcie. Lecz dopiero wtedy, kiedy błyszcząca pomarańczowa tarcza — oko jasnego Mitry — skryje się za horyzontem, ludzie rozejdą się do domów, a otoczony gwardzistami król uda się do pałacu, będzie mógł odetchnąć z prawdziwą ulgą. Później, w nocy, sam przeprowadzi śledztwo i wytrzęsie z tych przeklętych trefnisiów wszystko...

— O czym tak myślisz, stary psie?

Pallantyd odwrócił się gwałtownie. Przy pomocy stał uśmiechnięty Conan. Trzymał za uzdę gniadego trzylatka, dar z Koryntii, i był w doskonałym humorze, o czym powiedziały kapitanowi wesołe ogniki w niebieskich jak fale morskie oczach. Obok niego gramolił się ze srokatej klaczy blade i ponury Peljas, odziany w srebrzystoszarą, długą chlamidę, z okazji święta ozdobioną złotym łańcuchem z owalnym onyksem wielkości przepiórczego jaja. Pallantyd przygotował dla niego pełne pogardy spojrzenie — mag nie zasłużył na inne, jako że nie stało mu sił, by odnaleźć zabójcę — i Peljas, nie patrząc nawet w jego stronę, szepnął coś królowi. Conan skinął głową i zaczął wchodzić na pomost, gestem nakazując kapitanowi, by szedł za nim.

Tłum powitał Conana, wyjąc w zachwycie. Komedianci przerwali występy, uradowani perspektywą krótkiego odpoczynku, handlarze urwali spory z kupującymi, a gwardziści ustawili się w szeregi, gotowi na pierwszy znak kapitana rozpocząć przemarsz.

Król ujął prawą ręką miedziany młoteczek i niedbale, bezceremonialnie uderzył w cienki, miedziany talerz. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Tłum zawył, rzucając w górę kurtki, pasy, pantofle i torby. Gwardia ruszyła przed pomostem, wybijając krok. Z południa, wschodu, północy i zachodu placu ruszyły wózki, na których stały beczki z piwem, i natychmiast w zbitej ludzkiej masie zrobiły się przejścia. Święto rozpoczęło się.

Smętnie obserwujący z pomostu powszechnie wesele Peljas odwrócił się do Conana.

— Nadal obstajesz przy swym postanowieniu, panie?

— Nadal. — Król wzruszył ramionami, po czym wychylił się, by wziąć z rąk winiarza ogromny puchar z aromatycznym winem.

— A jednak proszę cię, przyjacielu, byś nie odmówił jednej skromnej prośbie...

Mag poczuł się zmęczony natychmiastową przemianą nastroju Conana. Król splunął z rozdrażnieniem i otworzył usta, zamierzając powiedzieć Peljasowi wszystko, co myśli o nim i jego czarnoksiężskiej sztuce, lecz wstrzymał się i zamilkł. Chrząknął tylko i ponownie odwrócił się do placu, mamrocząc cicho pod nosem wszelkie możliwe przekleństwa.

Peljas popatrzył ponuro na Pallantyda, który gwizdząc cicho, patrzył obojętnie w dal. Mag pokiwał głową. Ot i masz wiernego sługę! Słońce nie zdąży odejść za horyzont, jak zabiją jego władcę, a on sobie podryguje i gwizdże głupią aquilońską piosenkę... Peljas ciężko przeżywał swe niepowodzenie. Przynęcił Conanowi, że odnajdzie w trupie złoczyńcę, ale mu się nie udało. Niejedną noc spędził na bezpłodnych wysiłkach: przerył się przez kilkadziesiąt dawnych papirusów i zwojów, wypróbował kilka zaklęć, wzywających na chwilę potrzebny obraz nieznanego jeszcze człowieka, próbował nawet wniknąć do umysłu zabójcy. Wszystko na darmo. Jakby ten człowiek zamknięty był ze wszystkich stron czyimiś potężnymi czarami i choć w istocie okazało się to nieprawdą (Peljas sprawdził: złoczyńca był samodzielny, nie korzystał z pomocy czy ochrony z zewnątrz), jego imię i wygląd pozostały dla maga tajemnicą. Dlatego też jego nastrój był teraz bardziej niż nędzny. Patrzył, lecz nie widział, słuchał, lecz nie słyszał, a najbardziej dręczyło go to, że Conan jednym nawet słowem nie wspomniał o nie spełnionej obietnicy.

Tymczasem wesołość na placu sięgała zenitu. Darmowe piwo zrobiło swoje i teraz nie zwykły szum, lecz jeden wielki wrzask wypełniał powietrze. Darli się wszyscy: komedianci, którzy od samego początku starali się odebrać sobie nawzajem publiczność, teraz wszczęli kłótnię, która mogła przekształcić się w niezłą awanturę; handlarze — ci powinni mieć wszak donośne głosy — ochrypli, w ekstazie pożądlivości podwyższając wciąż ceny; miastowi i goście wrzeszczeli bez żadnego powodu, nie zapominając przy tym napełnić brzuchów gorącymi bułkami, a bułki podać potem mocnym, aromatycznym piwem. Wszystko szło wspaniale i wszyscy świetnie się bawili. Lub prawie wszyscy...

Gwardziści podeszli do trupy zdecydowanym krokiem, kazali strzelcom zdjąć czerwone kurtki i krótkie niebieskie spodnie, po czym zrzuciwszy mundury, wdziali cudzą odzież,

krzywiąc się z obrzydzenia. Etej poczuł, że wzbiera w nim gniew. Pociemniało mu w oczach z wściekłości. Nawet nie przyszło mu do głowy, że plan jego zemsty może zostać zniweczony ot tak, w ostatniej chwili. Zaskomlął żałośnie, lecz odepchnięto go po prostu na bok niczym parszywego psa. Gwardziści w ogóle z nikim nie rozmawiali. Zdumieni i przestraszeni komedianci z przerażeniem patrzyli, jak wynosili z wozu martwego Igrata. Przykryli jego sinoszare ciało z rozwartymi ustami i skurczonymi palcami śmierdzącą końską derką i odciągnęli za plac, po czym kopniakami zapędzili strzelców do wozu. Poza Etejem nikt nie rozumiał, co się dzieje. Tylko Welina rzuciła na niego dziwne, niedowierzające spojrzenie, ale jego już to nie obchodziło. Siedział na brudnej słomie z milczącymi, oszołomionymi łucznikami i myślał tylko o jednym — co robić. Czasu pozostało bardzo niewiele, wkrótce na placu pojawi się barbarzyńca i rozpocznie święto, a wtedy...

Jego myśli pracowały tak gorączkowo, że zapomniał nawet, co zrobił z zatrutą strzałą. Nagle wzdygnął się na myśl o niej. Wdrapując się na wóz, zdążył schwycić ją niepostrzeżenie i omotawszy w walające się na podłodze czyjeś spodnie, wsunął za pazuchę. Teraz ów fortel wydał mu się szaleństwem — każdy mógł to przecież zobaczyć. I trucizna przy samym żołądku... Nie, o tym wolał nie myśleć.

Gwardzista stojący na straży u wejścia do wozu kilkakrotnie już zaglądał do nich i podejrzliwie wpatrywał się w twarze komediantów. Etej musiał zachowywać taki sam wygląd jak jego współbracia. Nie przychodziło mu to łatwo. Całym jego wnętrzem wstrząsały spazmy, a w głowie miał jakby rój pszczoł, które brzęczały i żądliły jego mózg, usiłując wydostać się na wolność. O, z jaką rozkoszą wypuściłby je, lecz teraz sam był jeńcem...

Złapał się na tym, że jego myśl przybrała dziwny charakter... Pszczoły? Co za bzdura! Jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, wszystko może się skończyć. I zemsta, i jego życie. Tylko wtedy już bezpowrotnie. Na razie jednak uważał, że nadzieja jeszcze istnieje.

Próbował się skupić, lecz poczerwieniał jedynie niczym mak na polach Stygii. Gwardzista, który wsunął głowę do wozu, spojrzał na niego uważnie. Strzelec odpowiedział krzywym uśmieszkiem i wzruszył ramionami.

— Wypuść mnie stąd, przyjacielu — wystękał, chwytając się za siedzenie. — Inaczej zepsuję powietrze.

— Psuj — odrzekł krótko tamten i zniknął za zasłoną wozu.

— Wytrzymaj! — nakazali chórem komedianci.

Etej zaklął, wcisnął głowę w ramiona i zamilkł. Siedział nastroszony, ze wszystkich sił próbując nie odróżnić się od współtowarzyszy. W jego wnętrzu wszystko się trzęsło. Zdawało mu się, że czuje w żołądku jakieś okrutne ostrze, przekręcające się powoli w gorących, mokrych kiszkach. W panice postanowił działać inaczej i z zimną krwią. Podzielił w myśli swoje ciało na sto sześćdziesiąt sześć (dla równego rachunku zaokrąglił liczbę do stu siedemdziesięciu) części i poczynając od stóp, zaczął się odprężyć. Sztuczki tej nauczył go swego czasu sam Garet. Aby osiągnąć powodzenie i zapanować nad ciałem, wystarczyło mieć tylko przytomną głowę — i to właśnie było kiedyś dla Eteja najtrudniejszym warunkiem — a wtedy wszystko szybko się udawało.

Kiedy doszedł do kolan, w jego żołądku coś chlupnęło, cicho i zupełnie bezboleśnie, lecz w ślad za tym wściekły ból przepalił wnętrzności i skręcił go całkowicie. Z wytrzeszczonymi oczami upadł w słomę wprost pod nogi komediantów. Wił się i jęczał tak strasznie, że współbracia, którzy w pierwszej chwili odskoczyli od niego w panice, zakrzyczeli, przyzywając gwardzistę i pozostałych na pomoc.

Strzelec nie krzyczał, gdyż ból odebrał mu oddech. Słyszał jednak wszystko, co się działo, i w rozpalonym, udręczonym mózgu pojawiła się dzika myśl — uciekać. I znowu, skurczony na podłodze i ryczący od przeszywającego bólu, poczuł na swoich wargach uśmiech...

Jęczący i płaczący komedianci ciągnęli go po szorstkiej, brudnej podłodze, młody różowiotki gwardzista w zakłopotaniu oglądał się na plac, gdzie z pewnością był jego kapitan, a wyszczerzony Etej patrzył niewidzącymi oczami w górę — na Mitrę, Erlika, wysokie niebiosy, które skazały go na tak okrutny i haniebny koniec, pozwalając przybliżyć się tylko do celu, lecz nie dając mu go osiągnąć...

Magik opadał z sił. Pokazał już nienasyconej publice wszystkie swoje sztuczki, a ona wciąż domagała się następnych. Twarze przed wozem zwały się w jedną ogromną czerwoną paszczę ryczącą zgodnie wszelkie nieprzyzwoitości i przekleństwa. Kompani usiłowali go zmienić, lecz — choć komediantów na placu nie brakowało — magik z Vendhii okazał się być niezastąpiony, tak więc musiał stałe wychodzić do tych baranów i oszukiwać ich, co nie było szczególnie trudne, lecz męczyło już swą jednostajnością.

A naprawdę potrafił tworzyć cuda. Oto na jego dłoni rozbłyskało maleńkie ognisko, na

które drugą ręką zaczynał rzucać drobnutkie szczapki, rozpalając płomień. Albo wyciągał z ust złotą statuetkę Isztar z ogromnym brzuchem, jakie robią w Shemie, a ona nagle, ku świętemu przerażeniu i zachwytowi publiki, nosowym głosem błagała ich: „Dajcie pieniądze! Monet! Dużo! Dajcie!”. Widzowie ryczeli niczym stado słońi, lecz pieniędzy nie dawali i posmutniała najwyraźniej Isztar nie mówiła więcej ani słowa. A oto Vendhianin ciska w niebo swój długi wełniany pas, który mieni się przez chwilę w świetle słońca wszystkimi barwami tęczy, po czym spada w ręce kuglarza jako błyszczący zimną skórą i wysuwający język wąż, który wijąc się, patrzy na niego złośliwymi oczkami.

Od czasu do czasu magik zeskakiwał z wozu, by chwycić przygotowany dla niego kubek z wodą — raz było w nim piwo — opróżniał go szybko i ponownie wchodził na górę, przeklinając w duchu swego ojca, który nauczył go tak intratnego rzemiosła, i siebie samego za to, że dziesięć lat temu zorganizował w Turanie trupę. Nie lepiej było zająć się czymś innym? Lecz dawno już przywykł do tego, że jego sztuka wywołuje niezmiennie w prostym narodzie takie zainteresowanie. Najważniejsze, żeby płacili! A ponieważ płacili potulnie, gotów był pokazywać im wszystkie sztuczki, jakie znał. Ale, ma się rozumieć, nie przez cały dzień!

Tym razem sprawy wyglądały dość kiepsko: pieniędzy publika już nie dawała, a widowiska żądała, groźnie potrząsając pustymi glinianymi kubkami. Vendhianin rozumiał, że jeśli pozwoli sobie na próżniactwo, pociski te polecą prosto w jego głowę, toteż ubliżał cicho widzom z całym ich potomstwem, nie zapominając przy tym uśmiechać się czarująco, i po kolejnym machnięciu chusteczką zaczynał następną sztuczkę.

Gonił już jednak resztką sił. Oblewając się potem i czując, jak w oczach dwoi mu się i troi, z niecierpliwością czekał, aż król raczy wreszcie wygłosić powitalną mowę. W tym czasie mógłby odpocząć, a potem, puściwszy w niebo strzałę, korzystając z zamieszania, wynieść się stąd.

— Chadź Matcharała — jękając się, wymówił jego imię akrobata Jango. Przez sześć lat ten tuman nie nauczył się szybko i dokładnie wymawiać jego imienia.

Vendhianin zeskoczył z wozu, chwytając z rąk Jango kubek z wodą. Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, zastąpiony grymasem złości. Wypił wodę, burcząc i zgrzytając zębami, i z całego serca życząc publiczności, by natychmiast trafiła do królestwa Nergala. Już miał wdrapać się na górę, gdy akrobata wstrzymał go.

— Chadź Matka... Matra... charała... — wymamrotał Jango, ze strachem patrząc na gospodarza, którego ponury i wybuchowy charakter nie na żarty napawał go lękiem. — Tam przyszedł... komediant... Cudzy...

— Jaki znów cudzy komediant? — Vendhianin uniósł maleńkie pięści do nosa znacznie wyższego i silniejszego od siebie akrobata. — Co ty pleciesz, idioto?

— On powiedział... Jemu powiedzieli... Strzelać...

— Gdzie strzelać? — Magik odwrócił się do ryczącej publiki i posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

— W niebo.

— Po co?

— Tak trzeba... Panie, on... Z drugiej trupy. Mówi, że gwardziści króla przystali go do nas. Żeby zastąpił tego, kto źle strzela. Pomyślałem... Wy przecież źle strzelacie?

— Źle — ożywił się Chadź Matcharała. Jeśli obcy stanie w rzędzie łuczników zamiast niego, będzie mógł wyślizgnąć się z placu niepostrzeżenie. — Dawaj go tu! Szybko! Jango zagwizdał. Znudzony Vendhianin patrzył, jak zza wozu wychodzi tęgi komediant, odziany w nieprawdopodobne szmaty. Był tak żaloszny, że Chadź Matcharała już chciał go przegonić, lecz w tej samej chwili szum wokół ucichł nieoczekiwanie i z pomostu rozległ się silny, lekko zachrypnięty głos aquilońskiego króla.

XIII

— Aquilończycy!

Na pierwsze dźwięki silnego, nieco zachrypniętego głosu Conana, który rozległ się na placu i powrócił echem ze wszystkich jego końców, naród zamilkł. Wszystkie głowy zwróciły się ku pomostowi, na którym stała olbrzymia postać króla. W szopie czarnych włosów władcy Aquilonii mieniła się cienka, złota obręcz, jego potężną pierś okrywała ciemnoniebieska, aksamitna kamizela, nogi spowijały wykonane z tego samego materiału spodnie, wpuszczone w wysokie buty; na szerokim, skórzanym pasie, w wysadzanej drogimi kamieniami pochwie widniał kindżał z bułatu — ostatni podarunek hrabiego Trocero z Puantenu.

Obok Conana stali Peljas i kapitan Czarnych Smoków. Blady ze zdenerwowania mag

rzucał oczami po placu jakby w nadziei, że w ostatniej chwili uda mu się jednak zobaczyć i powstrzymać złoczyńcę. Uspokojony swoim sprytem Pallantyd był przekonany, że zabójca siedzi w swym wozie i królowi nic się nie stanie. Lecz co i raz rzucał na Peljasa pogardliwe spojrzenia, choć ten nawet nie myślał patrzeć w jego stronę. Zajęci własnymi myślami, obaj nie słyszeli, co mówi władca. A mówił zupełnie co innego, niż mogliby oczekiwać oni i lud na placu.

— ...Wiem, że to nie koniec wojen i buntów. Nieraz jeszcze wolą bogów na Aquilonię spadnie nieszczęście, w świecie bowiem powinna panować Równowaga, a dobro przeplatać się ze złem. Lecz klnę się na Croma — zło też nie bywa wieczne! Dopóki są odważne serca, przytomne głowy i mocne ręce, Set i Nergal nie zostaną władcami świata! I chcę, Aquilończycy, abyście pamiętali, że Mitrades to święto początku, a nie końca...

— Co on plecie? — ze zdziwieniem potrząsnął głową Vendhianin i patrząc z nienawiścią na strzelca, zwrócił się szeptem do Jango. — A co, może jeszcze ubrać go powinniśmy?

— Ubierzemy — odpowiedział akrobata i niepostrzeżenie mrugnął na Eteja. — Łachów pełno, zaraz znajdę coś odpowiedniego...

Dał nura gdzieś na dno wozu i szybko pojawił się z powrotem, dzierżąc w długich, muskularnych rękach ogromny toboł.

— Chodź no tu, przyjacielu. — Wytrząsnąwszy z tobołu całą kupę różnych szmat, Jango zaczął przykładać do Eteja pokryte kurzem i nadjedzone przez mole kurtki i spodnie.

Wreszcie dobrał odpowiedni kolorem i wymiarami strój, cisnął strzelcowi i wysłał go za wóz, by się przebrał.

Vendhianin odprowadzał go gniewnym spojrzeniem, nadal wsłuchując się w słowa króla. Sam już nie wiedział, dlaczego jest teraz niezadowolony. Pieniądzy w czasie Mitradesu zebrał więcej niż podczas całego ubiegłego księżycy tak, że za kilka dni będzie mógł urzeczywistnić dawne marzenie — udać się z całą trupą do Vendhii i, jeśli się uda, zostać tam. W Vendhii takich magików jak on jest tylu co w polu kłosów...

Król kończył swą mowę. Czas było wystawiać za wóz łuczników, a samemu wtopić się niepostrzeżenie w tłum, który rozdziawił usta, chłonąc każde słowo wodza, i skryć się po cichu. Jakie szczęście, że ten tam się pojawił... Stanie zamiast niego w szeregu strzelców.

— Jango! Jango, psi synu! — wyszeptał magik, potrząsając pięściami.

Akrobata podbiegł i wpatrzył się z oddaniem w oczy pana.

— Niech chłopcy leć na wóz. Zaraz będzie gong, a po nim trzeba natychmiast strzelać.

— Wiem. Odchodzisz?

— Tak. Znajdziecie mnie w karczmie Złote Bierwiono.

— Kiedy?

— Nie przed zmrokiem. Poskaczcie trochę, może co jeszcze kapnie...

Ostatnie słowa mówił, ginąc w tłumie. Jango popatrzył za nim, splunął, tłumiąc chęć, by dogonić Vendhianina i dać mu kopniaka, po czym szybko poszedł za wóz. Tam łucznicy rechotali cicho, strasząc się nawzajem strzałami i kopiąc. Akrobata obejrzał uważnie wszystkich, zwłaszcza nowego, który weselił się bardziej od innych, i dał znak, by weszli na wóz. Chwycił swój hak, sprawdził, czy dobrze trzymają się różnokolorowe wstążki, i za innymi wskoczył na górę.

— Pracujcie w imię życia, wojujcie w imię życia, a wtedy Mitra was nie opuści!

Tymi słowami król zakończył swą mowę. Zastygł na chwilę i nie ruszając się z miejsca, choć powinien postąpić krok do tyłu, machnął ręką. Poblady nagle jak jesienne niebo Pallantyd chwycił młoteczek i ostro uderzył w gong. Peljas odwrócił się.

Na wozach pięciu trup łucznicy unieśli łuki i strzały, trzepocząc w powietrzu długimi, szerokimi, różnokolorowymi wstążkami, uleciały w niebiosa, by przypomnieć jasnemu Mitrze o Aquilonii, która zwie się perłą Zachodu i pragnie pokoju oraz pomyślności...

Tłum zakrzyczał. Tysiące oczu obserwowało lot strzał, które minęły powiewające nad placem oblicza Mitry i zginęły w niebieskich przestworzach. I tylko akrobata Jango z turańskiej trupy nie patrzył do góry. Klęcząc na jednym kolanie, pochyłał się nad człowiekiem, którego przysłali gwardziści, i ze zdumieniem wpatrywał się w jego twarz.

Gdy tylko rozległ się gong, rady wraz z pozostałymi uniół swój hak, lecz w tej samej chwili zaszło chał krótko i nie wypuszczając strzały, runął na drewnianą podłogę wozu. Oczy komedianta wywróciły się do góry, ukazując białka, w kącikach ust ukazały się pęcherzyki piany, a ręce i nogi drżały lekko i jakoś nierówno.

Jango poniósł głowę i obejrzał się zakłopotany. Ze wszystkich stron biegli do nich gwardziści i oni również nie wiedzieli, co się dzieje. Za nimi niezdarnie spieszył jakichś tłuszcioch w błazeńskich łachach — płacząc i krzycząc coś, roztrącał ludzi, a za jego szerokie

plecy natychmiast wciskała się smagła kobieta i kilku mężczyzn.

Gwardziści odtrącili Jango i otoczyli ciało rudego. Leżało nieruchomo. Obwiedzione rżymymi rżęsami jasnoniebieskie oczy patrzyły martwo w niebo, a między rozchylonymi, zsiniałymi wargami widać było równe, drobne zęby.

— Mado... — wyszeptał grubas, opuszczając się na kolana obok ciała rudego. — Dlaczego...

Uniósł ciało i na chwilę przycisnął do siebie. Potem zakrzyczał i cisnął je pod nogi gwardzistom, po czym przykrył twarz pulchną ręką i podniósł się ciężko.

— Ulino, co on zrobił? — spytał płowowłosy piękniś.

W całkowitym milczeniu komedianci patrzyli na maleńkie, wychudzone, pokryte pobladłymi siniakami po niedawnej bitce ciało Mada. Jego usta zastygły na zawsze, wykrzywione czy to w grymasie śmierci, czy wstrętnym uśmiechem. Zaciśnięte palce prawej ręki mocno trzymały strzałę, którą ostrożnie, starając się nie dotknąć ostrza, wyciągał teraz młody gwardzista z różowymi policzkami.

— Za mną, psy... — wymamrotał ochryple grubas, nie odpowiadając na pytanie, ciężko przewalając się przez brzег wozu.

Komedianci, opuszczając oczy jakby w obawie, by nie zobaczyć po raz ostatni ciała współbrata, zeskakiwali kolejno na ziemię. Rosły gwardzista popatrzył za nimi, wzruszając ramionami, strącił nogą błazna, potem zeskoczył sam i, schwyciwszy trupa za rude włosy, powłókł go przez tłum rozstępujący się przed nimi w przerażeniu.

Jango, który niczego nie rozumiał, westchnął głęboko. Trzeba podjąć przedstawienie, choć teraz raczej nic nie da się zarobić...

— Widziałeś go, panie? — spytał Conana wzburzony Peljas.

— Widziałem...

— Poznałeś?

— Nie. Przysięgłbym na brodę Croma, że nigdy go nie spotkałem. Ale jeśli chciał wyprawić mnie na Szare Równiny... Nie wiem, Peljasie... Nie pamiętam go...

W ulubionych pokojach króla panował półmrok. Tylko w jednej lampce jarzył się niewielki ogieniek, niemal nie oświetlający komnaty. Cisza, tak przyjemna po monotonnym, ani na chwilę nie milkącym gwarze Mitradesu, uspokajała i kołysała. Pallantyd zasiadł obok króla. Demonstracyjnie odwrócony od maga, wziął ze stołu kubek, napełniony czerwonym winem ophirskim.

— Myślę, panie, że on cię nie znał — odezwał się cicho. — Po prostu podobało mu się zabijanie...

— Ale dlaczego ja?

— Jesteś królem!

— Mało to królów... Peljas ma rację. Najprawdopodobniej kiedyś zaszedłem mu drogę i czekał odpowiedniego momentu, by się zemścić.

— Bydlę — warknął kapitan. — Znalazł sobie odpowiedni moment — Mitrades!

Zamilkli, delektując się smakiem i aromatem starego wina. Lecz to nie ono stanowiło przyczynę milczenia siedzących za stołem mężczyzn... Conan wciąż wspominał głosy i twarze z przeszłości, a najczęściej, z jakiegoś nieznanego mu powodu, królową Czarnego Wybrzeża, ciemnooką Belit, oraz surowego Gareta, który kiedyś zdjął go z krzyża... Innych też widział, lecz niewyraźnie, jak przez mgłę... Tych natomiast tak jasno, jakby siedzieli tu z nim jak Pallantyd i Peljas.

Kapitan Czarnych Smoków, którego serce wciąż jeszcze łomotało w piersi po otrzymaniu wiadomości, że zabójca uciekł, a król cudem tylko pozostał przy życiu, sam omal nie umarł. Do tej pory przeklinał własną głupotę. Niewiele brakowało, a przez nią Conan by zginął. Sam powinien był pójść do tej trupy! Oczu by nie spuścił z tych drani! I niechby sobie rudzielec zdechł nawet na jego oczach — zostałyby wtedy pilnować jego kości...

Peljas patrzył w zadumie na swe wypielęgnowane ręce, jakby w nadziei, że w nich właśnie znajdzie wyjaśnienie. Co to za komediant... Mado, zdaje się. Skąd pochodził? Co go chroniło przed sztuką magiczną? Nigdy chyba nie znajdzie odpowiedzi na te pytania... Teraz jednak wiedział z absolutną pewnością, że gdzieś tam daleko, w nieznanych światach, istnieje siła nieporównywalna z żadną magią. Od dawna zresztą był pewien jej istnienia, tylko nie miał okazji się o tym przekonać... Jakie to dziwne, że on — mag, dopiero teraz, a przy tym w tak skomplikowany sposób, odkrywa dla siebie tę prostą prawdę. A dla barbarzyńcy, który przez całe swe życie nawet trzech słów nie przeczytał, zawsze był to pewnik. Nie na darmo zdał się na sąd Mitry, gdy przeglądał całą swą przeszłość i najwyraźniej coś w niej odkrył... Peljas cieszył się, naprawdę cieszył się z tego, że Conan pozostał przy życiu. Z jakiegoś powodu

Donnell Tim - Conan I Widmo Przeszłości

podobał mu się ten potężny, błękitnooki olbrzym, wzywający stale imienia Croma i nawet na królewskim tronie nie rezygnujący ze swych dawnych, niezbyt miłych przyzwyczajzeń. Bić się, przeklinać, pić... O Mitro, i za cóż kochasz Conana — barbarzyńcę? Słońce za oknem zniżało się już ku horyzontowi, zalewając komnatę przesianym przez jasnoczerwoną zasłonę purpurowym światłem. Zmrużywszy oczy, mag długo wpatrywał się w znikającą tarczę, aż w oczach zaczęły mu migotać czerwone iskierki. Obrócił spojrzenie na Conana i uśmiechnął się.

— ... Mitra kocha cię, mój przyjacielu — powiedział. — Klnę się na Croma.

NIEWOLNICY OTCHŁANI

I

Gdy wędrowny filozof z dalekiego Argosu trafił do miasta złodziei Arendżunu, tak w notatkach z podróży opisał swoje wrażenia:

Biedacy z tego miasta darzą wielkim szacunkiem boga Anu. Jego świątynia bardzo często wypełniona jest ludźmi nawet wówczas, gdy nie odbywają się w niej nabożeństwa.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że w odróżnieniu od innych miejsc, gdzie ludzie dla uczczenia bóstwa zbierają się w wielkich wspaniale zdobionych świątyniach, tutaj wprost przeciwnie — wolą nieduży, niczym nie wyróżniający się przybytek, który mieści się w najbiedniejszej dzielnicy miasta.

Druga natomiast, nieporównanie bogatsza i piękniejsza świątynia tego boga, zbudowana w dogodnym miejscu na wzgórzu, w pobliżu pałacu królewskiego, niemal zawsze świeci pustkami.

Ta popularna wśród prostego ludu świątynia jest dwupiętrowym domem, zbudowanym z masywnych kamiennych bloków. Z boku wygląda jakby ustawiono na sobie trzy sześciany: największy u podstawy, a na górze najmniejszy. Połączone są ze sobą schodami, które z ziemi prowadzą na platformę na samej górze. Schodami tymi w świąteczne dni wchodzi odpowiadający nabożeństwu kapłani.

Dach każdego z poziomów tworzy taras, na którym mieszczą się ogródki. W nich hodowane są osobliwe, poświęcone bogu rośliny. Na ostatnie piętro mają wstęp tylko wyświęceni kapłani. Mówią, że stoi tam ołtarz, z którego zawsze unosi się w niebo wonny dym, oraz łożo, na którym od czasu do czasu śpi sam bóg.

Na najniższym poziomie znajduje się olbrzymia, otwarta dla wszystkich sala. W niej mieści się ogromny, wykuty w zamierzchłych czasach posąg boga, obok zaś cele mieszkających przy świątyni kapłanów. Dawno temu nabożeństwa odbywało tu kilkudziesięciu ludzi, teraz pozostał tylko jeden, któremu pomaga kilku niewolników.

Sławny filozof–podróżnik wkrótce podjął na nowo swą podróż i opuścił Arendżun, zachowując o tym mieście nie najprzyjemniejsze wspomnienia. Przyczyna była prosta — w czasie swego niedługiego w nim pobytu został pięciokrotnie ograbiony i liczba monet, które wziął ze sobą w dalekie kraje, zmniejszyła się znacznie. Z tego też powodu nie zrozumiał dziwnego przywiązania mieszkańców Arendżunu do niewielkiej, niczym nie wyróżniającej się świątyni boga Anu. Być może, gdyby pomieszkał w tym „mieście złodziei” nieco dłużej i lepiej poznał życie jego mieszkańców, nie wypowiadałby się z takim podziwem o ich religijnych uczuciach. Wszak każde dziecko w Arendżunie wiedziało, że kapłan owej świątyni zajmuje się paserstwem, a jego „goście” to mieszkańcy osławionego Labiryntu — złodzieje, rabusie i oszuści, sprzedający swą dzienną bądź nocną zdobycz.

W tej świątyni właśnie sprzedany został zrabowany Argossyjczykowi w biały dzień, na pełnej ludzi ulicy, pierścień z jego osobistą pieczęcią. Kiedy jasnowłosy rabus z naznaczoną bliznami twarzą eleganckim ruchem przystawił mu do gardła kindżał i zaproponował uprzejmie, by przybysz zrezygnował z pieniędzy i kosztowności, podróżnik uznał, że lepiej będzie nie robić szumu i rozstać się z rzeczami. Zdziwiła go nawet nie tyle bezczelność tego rabunku, co coś innego. Gdy jasnowłosy zniknął w tłumie, a podróżnik zaczął krzyczeć, że został ograbiony, oraz prosić, by zaprowadzono go do dowódcy straży, nikt z przechodniów nie zwrócił na niego uwagi. Równie nieporuszony był sam dowódca straży, do którego trafił wreszcie nasz filozof i zwrócił się o pomoc przy odzyskaniu swej własności.

— To niemożliwe — orzekł melancholijnie pechowemu podróżnikowi, gdy ten opisał mu wygląd nieznanego rabusia.

— Czyżbyście nawet nie domyślali się, kto to może być? — wyraził życziwe

zainteresowanie gość.

— Wprost przeciwnie, doskonale go znamy — wyjaśnił dowódca straży — i właśnie dlatego mówię, że nie da się niczego odzyskać.

— Czyżby był to ktoś z wyższych sfer? — spytał zaskoczony podróżnik. — Jeśli tak, proszę, byście podali mi choćby imię owego wielmoży. Sam należę do znanej argosskiej rodziny. Poproszę, by oddał mi pierścień. Znajdziemy wspólny język. Szlachetny człowiek zrozumie, nie będzie mógł mi odmówić...

W odpowiedzi usłyszał tylko gromki śmiech strażników.

— Jeszcze nikt nie miał tak wysokiego mniemania o pochodzeniu Benita — rzekł dowódca, z trudem przebijając się przez śmiech. — To włóczęga, dawny najemnik, który zdezerterował z jakiejś armii i tu osiadł. Jeden z najbardziej znanych rabusiów Arendżunu.

— Skoro go znacie, dlaczego nie schwytaacie go? — zakrzyczał Argossyjczyk, który przestał już cokolwiek z tego rozumieć. — Złapcie go, jestem gotów dać każdą nagrodę!

— Ale to właśnie jest niemożliwe — rzekł ponuro dowódca straży.

W czasie, gdy nasz podróżnik rozmawiał z funkcjonariuszem, poszukiwany przez nich Benito bez pośpiechu doszedł do świątyni boga Anu i drogocenny pierścień drugi już raz tego dnia zmienił właściciela.

II

Wczesnym rankiem, w niezwykajny dla mieszkańców Labiryntu czas, dwaj ludzie weszli do jednej ze stosunkowo czystych tawern i skryli się w pomieszczeniu w głębi, które właściciel proponował tylko swym najbardziej szacownym gościom.

Mały niewolnik przyniósł dzban drogiego, ciężkiego wina, postawił na wyszorowanym do białości stole dwa miedziane kubki i oddalił się bezszelestnie, zamykając za sobą starannie drzwi.

Przybyli stanowili dziwną parę. Byli mniej więcej jednego wzrostu, ale różnili się wszystkimi pozostałymi cechami. Ciało obdarzonego świecąca twarzą grubasa kołysało się ciężko przy każdym ruchu, ruchy drobnego i szczupłego były oszczędne i wyważone. Widać było przy tym, że to ten drugi czuje się tu gospodarzem.

Drobny człowieczek, którego wszyscy zwali Gilzachem, był jednym z najlepszym najemnych zabójców w Arendżunie. Wielu beztrojskich ludzi zwodziła jego powierzchowność. Zdawało się, że ukręcenie głowy kurczakowi przekracza jego siły, a co dopiero zabicie człowieka.

Lecz taka niefrasobliwość niejednego kosztowała życie. Gilzach był szybki niczym wąż i bezwzględny jak szczur. Wielu ludzi rozstało się z życiem, nie dostrzegając nawet wyskakującego błyskawicznie zza węgła cienia i gwałtownego ciosu sztyletu. Nawet teraz, siedząc w swobodnej pozie, nie wypuszczał go z rąk i zdawało się, że nóż fruwa między jego palcami, żyjąc swym własnym życiem. Przewisko Gilzach nadał mu jeden z klientów — otyły shemicki kupiec. W języku shemickim nazywano tak piaskową łasicę — maleńkie zwierzątko, które doskonale radziło sobie na pustyni z wielkimi jadowitymi węzami.

Pierwszego człowieka zabił jako dziesięcioletni chłopiec. Ojciec Gilzacha należał do jednej z najstarszych rodzin zamoryjskich, której korzenie sięgały czasów królestwa Zemry. Z czasem ród zubożał, lecz nie utracił poczucia dumy. Gdy pewien szlachcic z Arendżunu, którego niezbyt długi rodowód wskazywał na hyboryjskie pochodzenie — z niewielką domieszką zamoryjskiej krwi — zaproponował jego ojcu, by wstąpił do niego na służbę w charakterze zarządcy i prowadził jego sprawy handlowe, ten uznał to za obelgę i na oczach syna wyrzucił wielmożę ze swego szacownego, choć podupadłego domu.

Szlachcic nie zapomniał obrazy i wkrótce na wracającego późnym wieczorem do domu ojca Gilzacha napadło kilku nieznanych mężczyzn w liberjach. Podając się za sługi obrażonego, ludzie ci stłukli go dębowymi kijami i połamali mu wszystkie kości.

Jeden z ostatnich przedstawicieli starej arystokracji zdołał jedynie doczołgać się do domu, by umrzeć na rękach syna. Na drugi dzień pojawili się strażnicy, którzy obwieścili, że mają dowody zdrady zmarłego, w związku z czym król konfiskuje cały jego majątek.

Dziesięcioletni Gilzach wraz z matką znalazł się na ulicy. Nieszczęśnicy zamieszkali w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Arendżunu, bezpośrednio przy Labiryncie.

Jednak już wtedy Gilzach umiał obserwować i wyciągać wnioski z tego, co widział.

Pamiętał konflikt ojca z wpływowym wielmożą, a także wygląd złoczyńców, którzy go zabili. Wniosek, kto jest winien wszystkich nieszczęść jego rodziny, był dla niego oczywisty i chłopiec skazał niegodziwca na śmierć.

Nie musiał długo czekać na sposobność rozprawienia się z krzywdzicielem. Z kontaktów

ulicznych ze swymi rówieśnikami dowiedział się, że domy bogatych dzielnic połączone są siecią podziemnej kanalizacji, i wraz z innymi chłopcami zajął się badaniem tej krytej części miasta. Nie przeszkadzał mu zapach nieczystości. Gdy odnalazł wreszcie wejście do interesującego go domu, zaczął wprowadzać w życie plan, który zrodził się w jego głowie. Zatrzymał na ulicy małego niewolnika i zabrał mu odzież. Związawszy ją w tłumok, by nie przemokła w kanalizacyjnych katakumbach, ruszył w podziemia z ojcowskim sztyletem i wkrótce dotarł do domu swego krzywdziciela. Wylot, przez który wylewały się wody ścieków, był zbyt mały nie tylko dla dorosłego, lecz także dla dziecka, jednakże wyróżniający się wśród swych rówieśników niewielkim wzrostem i drobną budową Gilzach bez trudu dostał się do domu.

Znalezienie wyjścia z piwnicy nie przedstawiało dla niego żadnej trudności. Przebrał się w odzież niewolnika i po ukryciu w fałdach sztyletu ruszył korytarzami. Gdy doszedł do sypialni wielmoży, który odpoczywał jeszcze po wczorajszym pałacowym balu, bez żadnych przeszkód wszedł do środka i wbił sztylet w serce śpiącego. Później wierzyć mu się wprost nie chciało, że ten szalony plan się powiodł. Wszystko mógł stanąć mu na przeszkodzie — mogła zatrzymać go służba, wielmoża mógł być w sypialni nie sam... Widocznie jednak opiekuńcze duchy starego rodu pomogły dziesięcioletniemu zabójcy. Wyszedł spokojnie z sypialni, zszedł do piwnicy i opuścił dom tą samą drogą, którą się do niego dostał. Zabity miał na dworze wielu nieprzyjaciół, toteż zabójcy szukano niezbyt gorliwie. A nawet gdyby szukano go z większym zapałem — kto podejrzewałby dziesięcioletniego chłopca z zabiedzoną, niewinną twarzą?

Z przygody tej Gilzach wyniósł dwie nauki. Zrozumiał, że zabójstwo człowieka jest łatwe i przyjemne oraz że należy je starannie zaplanować, obmyślając wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Po kilku latach zaczął zabijać na zamówienie.

Myląca powierzchowność i doskonałe władanie sztyletem zapewniły Gilzachowi powodzenie w początkach kariery najemnego zabójcy. Dalej rozwijała się w równym tempie. Gilzach wykorzystywał umiejętność maskowania się oraz sztukę strzelania do swych ofiar zatrutymi strzałami z łuku lub przez rurkę. Doskonale znał się na truciznach i potrafił sporządzić taką miksturę, żeby człowiek poczuł jej śmiertelne działanie dopiero po długim czasie od pojawienia się nieznacznej ranki, na którą początkowo nie zwracał nawet uwagi. Siedzący naprzeciw Gilzacha tęgi Vendhianin wiedział doskonale, do czego zdolny jest cheralawy człowieczek, gdy trzeba wyprawić kogoś na tamten świat. Zdawał też sobie sprawę z czego innego — tylko Gilzach potrafił poradzić sobie z jego zleceniem. Dlatego też postanowił, że nie będzie się targować i każdą cenę zapłaci za jego usługi.

W porównaniu z Gilzached większość zabójców z Labiryntu to prymitywni rzemieślnicy, którzy zdawali się na siłę swych rąk i umiejętność posługiwania się wszelkim orężem. Lecz Czengar Bchutt wiedział, że takie umiejętności nie wystarczą, by poradzić sobie z człowiekiem, którego w swych myślach skazał na śmierć.

Gilzach miał jeszcze jedną wyższość nad innymi. Człowiek zlecający mu robotę mógł mieć pewność nie tylko tego, że osobnik, którego chce się pozbyć, zakończy szybko swój ziemski żywot, ale i tego, że Gilzach przyniesie mu jego rzeczy.

Gilzach nie interesował się dobytkiem ofiar — w każdym razie nie na tyle, by zaniedbać przez niego swą sławę. Nigdy nie ograł żadnego zabitego, jeśli nie poprosił o to zleceniodawca. Podniecał go sam proces. Rozkoszował się opracowywaniem planu roboty i przygotowaniami do jego wypełnienia. Upojenie przynosił mu moment, gdy wszystkie przygotowania spełniały się i skazany przez Gilzacha człowiek ginął.

Jak poeta rozkoszuje się napisanym wierszem czy mag odkrytym zaklęciem, tak Gilzach upajał się przetwarzaniem w czyn swego planu. Było to jego powołanie, jego życie. Czengar Bchutt zaczął rozmowę nie wprost — tak jak przyjęte było w Południowej Vendhii. Zapytał o zdrowie rozmówcy, wyraził nadzieję, że w jego domu dobrze się dzieje, podarował mu vendhyjski kindżał z dziwacznie wygiętym ostrzem.

Gilzach czekał nieporuszenie z przymkniętymi oczami, aż jego gość przejdzie do rzeczy, z rzadka tylko kiwając głową i dodając Vendhianinowi odwagi krótkimi replikami. Tylko otrzymany kindżał zwrócił na krótką chwilę jego uwagę. Wreszcie krasomówstwo Vendhianina wyczerpało się i przystąpił do sprawy, dla której długo zabiegał o spotkanie z „królem najemnych zabójców” Arendżunu.

— Jestem zmuszony szukać pomocy — zaczął miękkiem głosem — i proszę cię o nią w imię przyjaźni naszych ojców, uświęconej ich krwią i utrwalonej czarną wodą Zarkheby. Z tymi słowami Vendhianin wyciągnął do Gilzacha pokryty misternym rzeźbieniem pierścień.

W młodości ojciec Gilzacha wiele czasu spędził na podróżach po zadziwiających krajach na południe od Styksu. W ojczyźnie groziła mu śmierć za zabójstwo w pojedynku członka rodziny królewskiej. Pragnąc zemsty, król wysłał za nim pogoń, która ścigała Zamoryjczyka po wszystkich krajach Hyperborei, i nie pozostało mu nic innego, jak tylko ukryć się w niedostępnych dżunglach Czarnych Królestw. Idący w ślad za nim wysłannicy króla znikali kolejno tajemniczym sposobem.

Ludzie króla ścigali go przez dżungle niczym psy gończe i pewnego razu wypuszczona z łuku strzała zraniła go w biodro. Ociekający krwią, zdołał wydostać się na brzeg Zarkheby, gdzie zabrał go przejeżdżający przypadkowo Vendhianin, który poszukiwał w dżungli prastarej tajemnej wiedzy. Używając magicznej siły, wysłał prześladowców na fałszywy trop, w stronę ruin tajemniczego starego miasta, skąd nikt nie wracał. Vendhianin wyleczył rannego i przez jakiś czas wspólnie podróżowali. Niejednokrotnie tam, gdzie magia była bezsilna, pomagał miecz Zamoryjczyka. Przy rozstaniu krwią przypieczętowali swą przyjaźń i wymienili podarunki. Vendhianin dał Zamoryjczykowi bogato zdobiony pas, a Zamoryjczyk zdjął z palca pierścień z wyobrażeniem węża — opiekuna jego rodu.

Teraz Gilzach trzymał ten pierścień w ręce. Pamiętał opowieści ojca o człowieku, który mu pomógł, i honor rodzinny nakazał mu oddać dług.

— Słowa ojca są zawsze święte dla syna — skłonił uprzejmie głowę Gilzach. — Opowiedz mi, jaka chmura przesłania twoje słońce, a postaram się ją przegnać. Na cześć Nergala, zjednoczymy nasze troski, aby się od nich uwolnić.

Było to rytualne zaklęcie zamoryjskiej arystokracji i ten, kto je wypowiedział, nie mógł odmówić prośbie. Vendhianin najwyraźniej wiedział o tym, bo w dalszych jego słowach brzmiała większa pewność.

— Muszę się pozbyć jednego człowieka.

Gilzach popatrzył na niego lekko przymrużonymi oczami.

— Kogo? Gdzie? — spytał.

— Conana z Cymmerii,

Gilzach ukrył swe zdziwienie, oczekując w milczeniu dalszego ciągu.

— Dzisiejszej nocy lub o świcie Conan będzie wracał do miasta od strony cmentarza biedoty. Będzie miał przy sobie pewną cenną rzecz. Jest mi ona potrzebna. Ważne jest też dla mnie, aby barbarzyńca nie mógł nikomu opowiedzieć o tej rzeczy oraz o mnie. Trzeba jeszcze, by krew barbarzyńcy została wylana na owe drogocennieści. Na ile oceniasz jego głowę?

— Niełatwe będzie zabicie Conana — rzekł Gilzach i przymknął oczy, rozmyślając.

Jego rozmówca spróbował się wtrącić, by poprzeć swą propozycję wielką sumą, lecz Gilzach przerwał mu w pół słowa jednym krótkim gestem. Wreszcie otworzył oczy.

— Muszę poznać wszystkie szczegóły — odezwał się. — W tej chwili niczego nie mogę powiedzieć. Ej, ty, przynieś tabliczki i stylus — rzucił do małego niewolnika, który pojawił się i skrył w otworze drzwiowym na pierwsze słowa Gilzacha. Zdawało się, że chłopiec nie słyszał nawet ostatnich słów.

Rozmówca Gilzacha rzucił nieufne spojrzenie w jego stronę.

— Jesteś pewien, że można przy nim mówić? — spytał niepewnie.

— Można — odpowiedział krótko maleńki człowieczek. — Nie ma języka.

Po chwili omawiali już szczegóły sprawy i Gilzach robił niespieszne notatki na glinianych tabliczkach. Po jakimś czasie zgodził się na proponowaną robotę. W jego piwnych oczach zamigotały ogniki i mężczyzna sprężył się jak tygrys przed skokiem. Na początku rozmowy był ospały jak amator pyłku czarnego lotosu, teraz sprawiał wrażenie, jakby bogowie na nowo tchnęli w niego życie.

Rozmówca ponownie poruszył temat ceny, natknął się jednak na ciężkie, nieruchome spojrzenie. Gilzach — przedstawiciel starego rodu — uważał omawianie takich kwestii za rzecz poniżej jego godności, czasami też, w zależności od swego nastroju, uważał to za osobistą obrazę.

— Nie sprzedaję honoru swego rodu — rzekł powoli. — Długi ojców to sprawa czci ich dzieci. Pomogę ci w imię przyjaźni naszych ojców. Nie obrażaj mnie, proponując pieniądze.

III

Jak zawsze pod wieczór, gdy zmierzch zakrywał już twarze tych, którzy nie chcieli być rozpoznani, świątynia boga Anu pełna była ludzi. Odziane w najrozmaitszą odzież, poczynając od łachmanów, a kończąc na szytych złotem kaftanach, które należały kiedyś do zamożnych obywateli miasta, podejrzane indywidua kryły się na chwilę za posągami boga, po

czym dziarskim krokiem opuszczały świątynię, czując w kieszeniach i sakiewkach przyjemne pobrażkiwanie złota. A po wyjściu ze świątyni udawały się do tawern, by przepuścić zdobyte pieniądze.

Wielu gości obróciło się mimo woli w stronę wejścia, gdy do świątyni wszedł człowiek, który w krótkim czasie stał się jedną ze znakomitości Labiryntu. Powierzchność Conana nie wskazywała na to, że jest doskonałym złodziejem; jego wygląd sugerował raczej zawodowego, najemnego żołnierza.

Mocna, atletyczna budowa nie przeszkadzała mu poruszać się bezszelestnie jak kot. Jego ruchy były przy tym lekkie niczym wiatr i przywodziły na myśl wytworne gesty tancerza, choć ten, kto nieopatrznie wspomniałby o tym w rozmowie, podjąłby ryzyko, że Cymmerianin stanie się jego przysięgłym wrogiem. Conan nie rozumiał i nie darzył zbyt wielką sympatią mężczyzn, którzy, jego zdaniem, bezcelowo marnowali życie na zabawianie innych.

Zdawało się, że wysoki wzrost i szerokie ramiona Cymmerianina były bardziej przydatne na polu walki aniżeli na wąskiej uliczce Arendżunu, w tłumie zuchwałych przestępców. W podobny sposób do barwnego tłumu nie przystawała jego odzież: Conan zawsze nosił tylko prostą, sięgającą kolan tunikę oraz solidne, skórzane sandały. Wielu mieszkańców Arendżunu uznałoby za hańbę pojawienie się na ulicy w takiej odzieży, niegodnej ich pozycji i uważanej niemal za strój niewolnika. Conanowi jednak obojętna była opinia wysztafirowanych elegantów.

Mimo że wygląd barbarzyńcy nie pasował do otoczenia, jego złodziejskie i rozbójnicze dokonania kazały traktować go z szacunkiem nawet najzacieklejszym zbirom.

Mimo swej młodości dokonywał czynów, na które nie uważali się najbardziej doświadczeni Zamoryjczycy, uważający się za najlepszych złodziei świata. Wraz z Nemedyczykiem Taurusem, którego nazywano „królem złodziei”, dostał się do wywołującej trwogę wśród wielu pokoleń Zamoryjczyków Wieży Słonia, przy czym nie tylko się do niej dostał, ale też zdołał ująć stamtąd cały, zanim przy działaniu nieznanymi czarów wieża rozsypała się w proch. Taurus miał mniej szczęścia — zginął w ruinach budowli. Conan bezczelnie ograbił też kilku bogatych kupców Arendżunu, których skarbów strzegło wielu strażników. Mówiono, że dla żartu, w sobie tylko znany sposób skradł ogromny szmaragd z korony króla Zamory. Opowiadano też o jego wojennym rzemiośle — ponoć w pojedynkę rozgromił oddział strażników, pastwiących się nad bezdomną staruchą, która oblała niechcący mlekiem ich dowódcę. Wielu z nich okaleczenia zmusiły do zrezygnowania ze służby. Jednakże nikt nie był w stanie wyliczyć wszystkich jego złodziejskich i rozbójniczych dokonań, Cymmerianin bowiem nie lubił częściej gadaniny i chępliwości. Najdokładniej mógł opowiedzieć o wszystkim kapłan, który skupował od Conana zdobycze, lecz on także ze zrozumiałych powodów trzymał język za zębami.

Teraz Conan nie spieszył się. Dopiero co walczył z dwoma strażnikami znacznego turańskiego kupca, którzy uznali, że jednym palcem poradzą sobie z niegodziwcem, mającym czelność w biały dzień zerwać z ich gospodarza pas wraz z sakiewką, w której właściciel przywiózł na sprzedaż czarną perłę z morza Vilayet. Każda perła kosztowała ludzkie życie — głębiny niełatwo oddawały swe skarby.

Przewrócony przez Cymmerianina kupiec szamotał się w fałdach odzieży, nie mając siły się podnieść, i krzyczał na swych strażników, by łapali złodzieja. Ci rzucili się w pogoń.

Jakimś cudem w wąskich uliczkach Arendżunu nie stracili śladu Conana. Biegając, wykrzykiwali w stronę jego pleców obelgi, co zmusiło barbarzyńcę, by zatrzymał się, choć mógł bez trudu zgubić ich w Labiryncie, do którego było już tak niedaleko.

Conan wbiegł na wąskie, ślepe podwórze, zatrzymał się i dobył miecza. Z chytrym uśmieszkiem czekał na prześladowców. W chwilę potem wpadli za nim dwaj Turańczycy. W ich rękach błyszcząły długie szable, którymi doskonale władali, szlifując formę w potyczkach z rozbójnikami na pustyni. Lecz na wąskim podwórku, gdzie schodziły się niemal ściany domów, szable były bezużyteczne.

Pierwszy Turańczyk wziął zamach, by zadać cios zdolny rozplatać człowieka na dwoje, i zawadził szablą o ścianę. Spowolniło to uderzenie i Conan, prześlizgnąwszy się w stronę przeciwnika, zatopił długi kindżał w jego brzuchu. Drugiemu strażnikowi udało się jednak zadać cios, ale Conana nie było już w miejscu, w które trafiła szable. Turańczyk był rzeczywiście wspaniałym wojownikiem. Przez chwilę blokował Conana, zasypując go gradem ciosów, aż Cymmerianin sam przeszedł do ataku. Turańska szable ześlizgnęła się po kindżał i nie nadawała się już do niczego, a krótki miecz Conana natychmiast rozciął ubranie Turańczyka, który teraz zaczął działać nieco ostrożniej. Jego szable nie świszczą już wokół

głowy Cymmerianina, lecz poruszała się ostrożnie, gotowa na skok barbarzyńcy. Przeciwnicy krążyli wokół siebie, wyczekując, kto pierwszy rzuci się do ataku. Zauważywszy, że za plecami Turańczyka zaczyna się wąskie przejście między domami, Conan zasypał przeciwnika gradem ciosów, z których każdy zmuszał go do cofnięcia się o pół kroku. Turańczyk spostrzegł pułapkę, gdy było już za późno. W ostatniej chwili, usiłując jej uniknąć, kocim ruchem skoczył na barbarzyńcę. Conan powitał go mocnym kopniakiem, po którym szybkim uderzeniem miecza przebił na wylot jego pierś. Rozległ się charkot, bulgotanie i martwy strażnik osunął się na szerokie, granitowe płyty podwórza. Conan rozejrzał się ostrożnie, wsunął miecz do pochwy i krokiem włóczędzy ruszył ponownie do świątyni, gdzie zamierzał korzystnie zbyć perłę.

Przeciął niespiesznie główną salę świątyni i zniknął w drzwiach ukrytych za ołtarzem, ozdobionym wyrzeźbionym w kamieniu wizerunkiem boga Anu. Minął niewielki korytarzyk prowadzący do celi kapłana i zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami. Ze środka dobiegały przyciszone głosy. Conan wyłowił imię Taurusa, wślizgnął się w niszę przy drzwiach i zamarł, nasłuchując. W ciągu swej kariery zawodowego złodzieja przyswoił sobie twardą zasadę, że czasem przypadkowa rozmowa, fragment rzuconego mimowolnie zdania może przynieść sukces, i bez wyrzutów sumienia zaczął słuchać rozmowy kapłana z nieznanym gościem, zwłaszcza że rozmowa nie dotyczyła po prostu „króla złodziei”, lecz człowieka, któremu barbarzyńca w pewnym sensie zawdzięczał życie.

— Mówisz, że nie przyniósł ci szafirów? — mówił obcy głos, wymawiający zamoryjskie słowa z dziwnym, przeciągłym akcentem.

Conan wprawdzie nie najlepiej znał język Zamory, lecz natychmiast poznał, że rozmówca kapłana jest człowiekiem pochodzącym z południowych krajów. Ludzie Pomocy — Nordhejmcyzy, Aquilończycy, Nemedycyzy — mówili zazwyczaj ostro i brzmiało to jak szczekanie; południowcy natomiast — Stygjiczycy, Vendhianie, Kushanie — przeciwnie, tak rozciągali słowa, że ich język przypominał długie, tęskne wycie szakala.

— Jeśli prawdą jest to, co o nich opowiadają, nie starczyłoby mi nawet pieniędzy, by je kupić. Co tam ja! Za te kamienie można kupić połowę Arendżunu — odpowiadał tak dobrze znany Conanowi głos kapłana.

— Taurus uważał inaczej. Gdy widziałem go ostatni raz, mówił, że ma zamiar zaproponować ci je. Czy możesz przysiąc na dwurogą tiarę Anu, że ich nie widziałeś? — nie ustępował rozmówca.

Conan wiedział, że stary kapłan, choć zajmował się paserstwem, był fanatycznym wyznawcą swego boga. Zapewne wiedział też o tym jego nieznanemu gościowi, inaczej nie zażądałby takiej przysięgi.

Kapłan wyrzekł słowa rytualnej przysięgi i nieznanemu mówił dalej.

— No cóż, w takim razie wiem, gdzie ich szukać — rzekł w zadumie. — Taurus opowiadał mi o swojej skrytce na starym cmentarzu i prosił, żebym zatroszczył się o jego starą matkę oraz kochankę, jeśli zaplanowana awantura doprowadzi go do śmierci. I rzeczywiście, to one powinny posiadać te kamienie. Lecz inni też jakoś się o nich dowiedzieli... Zresztą, to już nieistotne... Powiedz, kto może mi pomóc? Potrzebuję pewnego człowieka, który byłby w stanie poradzić sobie z tą sprawą, przy tym na tyle odważnego, by nie zwracał uwagi na puste strachy.

Kapłan wymienił imiona kilku najbardziej znanych w Labiryncie ludzi i Conan nie bez zadowolenia usłyszał wśród nich również swoje. Zrozumiał, że rozmowa zbliża się ku końcowi, bezszelestnie wślizgnął się z cienia i, starając się robić jak najwięcej hałasu, rozwarł drzwi do celi kapłana. Wyglądało na to, że gość zbiera się do wyjścia, i Conan miał nadzieję, że choćby przelotem zobaczy jego twarz.

Wszedł w samą porę. Gdy otworzył drzwi, ujrzał, jak kapłan żegna się z gościem przy wyjściu, prowadzącym na jedną z niepozornych uliczek. Conan zdążył dostrzec szeroką, smagłą twarz, o rysach zdradzających vendhyjskie pochodzenie, oraz niebywałą tuszę gościa. Aby poznać go na ulicy, nie trzeba było zapamiętywać ani jego budowy, ani rysów — wystarczyłoby bodaj raz zobaczyć jego pstrokatą odzież, która zdradzała Vendhyjczyka nawet w takim mieście jak Arendżun, gdzie mieszkali przedstawiciele niemal wszystkich narodów ery hyboryjskiej.

Conan poczekał, aż kapłan zamknie drzwi za swym gościem, po czym wyciągnął z sakiewki najświeższą zdobycz. Rzucił niedbale perłę na okrągły, rzeźbiony stolik i zwrócił się do kapłana.

— Cena jak zawsze? — rzucił.

— Prawdziwa vilayetska? — spytał z niedowierzaniem w głosie kapłan. — Cóż... Perłę mam dużo i mało który z jubilerów interesuje się nimi.

— Jak chcesz, to sprawdź — warknął Cymmerianin. — Przyjdę jutro, żeby się rozliczyć. Tylko nie próbuj mnie nabrać, bo doskonale pamiętam, jak wygląda. Na mnie już czas, muszę jeszcze dzisiaj odwiedzić jednego znajomego. Wypuść mnie.

Na ulicy obejrzał się. W krętych uliczkach Labiryntu można się było momentalnie zgubić, lecz sądząc po wszystkim, co usłyszał, tajemniczy gość kapłana nie był tu bywalcem i nie mógł orientować się w płątaninie wąskich, ukrytych przejść tworzących Labirynt.

Najprawdopodobniej szedł tą samą ulicą, którą doszedł do świątyni.

Przewidywania Conana sprawdziły się i już po chwili dostrzegł otyłą postać Vendhianina, kołyszącego się ciężko przy każdym kroku niczym gigantyczna, barwna kaczką.

Cymmerianin skrył się w cieniu i ruszył za nim bezszelestnie. Gdy Vendhianin doszedł do miejsca, w którym światło jedynej ulicznej lampy grzęzło w nieprzeniknionej mgle, Conan rzucił się do przodu.

Jego żelazne palce zamknęły się na gardle nieznanego. Jednym szarpnięciem wciągnął go do ciemnego zaułka, przycisnął do ściany i upewniwszy się, że nie jest uzbrojony, osłabił nieco chwyt. Oszołomiony grubas chwycił ustami powietrze i nieprzytomnie patrzył na wyłaniającego się z ciemności barbarzyńcę.

— Zdaje się, że miałeś jakąś sprawę do Conana Cymmerianina. Postanowiłem ułatwić ci zadanie, abys nie musiał mnie długo szukać. Wiesz, tutaj niebezpiecznie chodzić nocą po ulicach. No co, pogadamy?

Vendhianin dochodził już do siebie. Gdy się odezwał, w jego głosie nie było ani strachu, ani zdziwienia.

— Dość dziwny sposób zawierania znajomości, ale cieszę się, że nie musiałem się włóczyć po tych brudnych szynkach. Rzeczywiście, mam niewielką sprawę, i jeśli naprawdę jesteś Conanem, chciałbym z tobą pomówić.

— Co do tego możesz mieć pewność — zapewnił go barbarzyńca ponurym głosem.

— W takim razie chyba będziemy musieli odwiedzić jeden z tych przybytków, aby nie rozmawiać na stojąco w ciemnościach. To będzie długa rozmowa.

— Chodźmy — odpowiedział krótko Conan i zagłębił się w wąski, krzywy zaułek.

W uliczkach Labiryntu, jak wyraził się jeden z jego mieszkańców, sam Set natychmiast straciłby ogon. Już po kilku minutach Vendhianin nie wiedział, gdzie się znajduje i w jakim kierunku prowadzi go błękitnooki barbarzyńca.

Na jednej ze szczególnie ciemnych ulic wyskakujący z ciemności ludzie zażądali ich sakiewek, lecz odpowiedzią był miażdżący cios pięści Conana, który odrzucił pechowego przywódcę rabusiów o kilka kroków. Pozostali pojęli, że zasadzili się na zbyt potężnego dla siebie zwierzka, i pospiesznie rozplłynęli się w ciemnościach.

Wydarzenie to po raz pierwszy zrodziło w Czengarze Bchutcie wątpliwość, czy Gilzach poradzi sobie z barbarzyńcą. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Wszak Zamoryjczyk od dłuższego już czasu uważany jest za króla najemnych zabójców, a Conan to tylko młody, mający szczęście złodziej, którego odróżnia od innych jedynie zręczność i siła.

Po kilku minutach Cymmerianin i jego towarzysz podeszli do niepozornego, szarego budynku. Conan przygiął się i postukał umówionym sygnałem w piwniczne okno. Ktoś wyjrzał, błysnął ogień świeczki, po czym bezgłośnie otworzyły się drzwi. Conan i jego towarzysz zeszli kilka schodków, minęli ciemny korytarz i znaleźli się w niedużym, czystym pokoju, oświetlonym wiszącymi na ścianach oliwnymi kagankami.

— Gurrach, wina i żarcia. Mój gość jest głodny — dał polecenie barbarzyńca, rzucając ironiczne spojrzenie na rozwalonego w fotelu opastego Vendhianina. Wydawało się, że jego ciało przelewa się przez podłokietniki.

Niemal natychmiast skądś z wnętrza domu wyłonił się przeniknięty zapachem kuchni gospodarz, tęgi siwobrody Shemita, i zaczął nakrywać do stołu. Kiedy Gurrach oddalił się wreszcie, Cymmerianin zaprosił swego gościa do uczyty.

— Przede wszystkim chciałbym się przedstawić — zaczął Vendhianin, żując kęs kurczaka.

— Nazywam się Czengar Bchutt. Świętej pamięci Taurus był, że tak powiem, moim przyjacielem. Łączyły nas nie tylko interesy, ale także zwykłe ludzkie stosunki. Zdobywałem dla niego niezbędne mu rzeczy, a on ze swej strony świadczył mi pewne usługi. Kiedy potrzebny mu był pyłek czarnego lotosu, znajdowałem go, on z kolei od czasu do czasu dostarczał mi rzeczy, które dla niego nie przedstawiały żadnej wartości, a mnie były potrzebne.

— Ciekawe, co to było — mruknął półgłosem Conan, nie wymagając odpowiedzi, lecz Czengar Bchutt zareagował.

— Każdy z nas ma swoje sprawy. Ty, podobnie jak Taurus, przynosisz ulgę sakiewkom

bogaty. Ja z kolei handluję tajemnicami, które interesują tylko wąski krąg wtajemniczonych. Jeśli twoją zdobyczą stanie się parka monet, które dawno już wyszły z obiegu we wszystkich istniejących teraz państwach, na nic ci się one nie przydadzą. Nikt nie zechce ich kupić, ja natomiast mogę je sprzedać czarownikom Czarnego Kręgu, którym potrzebne są do ich czarów. Cóż, odszedłem od tematu. Usiłowałem przekonać Taurusa, by odstąpił od myśli o dostaniu się do Wieży Słonia, lecz nie udało mi się to. Poszedł i znalazł swą śmierć. Lecz nim do tego doszło, powiedział mi, że jeśli coś mu się stanie, mam się zatroszczyć o jego starą matkę i kochankę. Ujawnił mi miejsce, gdzie ukrył skarb na czarną godzinę, i powiedział, że powinienem go sprzedać i przekazać im to, co uzyskam.

— A do czego ja ci jestem potrzebny? — przerwał Conan potok wymowy opastego Vendhianina, który najwyraźniej mówić lubił nie mniej, niż jeść.

— Właśnie do tego, aby wypełnić wolę Taurusa. Rzecz w tym, że skarb jest schowany w miejscu bardzo trudno dostępnym i ja, z całkowicie zrozumiałego powodu — tu poklepał się po wydatnym brzuchu — nie będę mógł się tam dostać. Dlatego też potrzebny mi jest człowiek, który może zdobyć skarb i przekazać go mnie.

Niepojęte było, jak ten człowiek potrafił jeść i mówić jednocześnie, lecz stojące przed nim naczynia były puste.

— Nie za bardzo się spieszyłeś — zauważył Cymmerianin, nalewając sobie piwo z przyniesionego przez gospodarza pękatego dzbana.

— Były ku temu powody. Przebywałem daleko stąd i nie wiedziałem, czym zakończyła się przygoda Taurusa. Dopiero niedawno wróciłem i zacząłem szukać. Muszę cię jednak uprzedzić, że niedawno rozpoczęło się polowanie na ten skarb. Okazało się, że nie tylko ja wiem o jego istnieniu. Pewnie Taurus wygadał się komuś, choć to do niego niepodobne. Nie wiem, kto szuka tego skarbu, ale nie mam wątpliwości, że jest poszukiwany.

— I cóż to za skarb? — spytał Conan.

— Tuzin wspaniałych, najczystszych szafirów, jakie wydobywają tylko w kopalniach Uttary. Oszlifowane są w szczególny sposób, a ich cenę trudno nawet sobie wyobrazić! — wykrzyknął tłuścioch, wymachując w uniesieniu rękami.

— I gdzie się znajdują? — zapytał Conan, dopijając piwo.

Czengar Bchutt popatrzył na niego z ukosa.

— Niedaleko stąd. Zanim jednak wymienię dokładnie to miejsce, powinniśmy się ostatecznie dogadać. Proponuję ci trzecią część wartości szafirów. Pozostałe dwie trzecie rozdzielę między niepokieszone kobiety, by osłodzić gorycz ich straty.

— A dlaczego nie miałbym już teraz rozwiązać ci języka — spytał powoli Conan — i nie dzielić się z tobą? — Błękitne oczy Cymmerianina twardo patrzyły na rozmówcę.

— Jesteś pewien, że powiem prawdę? — odparł pytaniem na pytanie Czengar Bchutt, wytrzymując jego spojrzenie. — Poza tym, jeśli będziemy działać razem, dostaniesz znacznie więcej, niż gdybyś otrzymał, zabijając mnie. Niewielu ludzi zna prawdziwą wartość tych kamieni. Nawet Taurus domyślał się tylko ich znaczenia, choć to właśnie on ukradł szafiry ze skarbcza szalonego króla Meru. To kamienie ze świętej korony władcy Uttary. Dla niego mają wyjątkową cenę. Według legendy Uttara będzie istnieć tak długo, jak długo kamienie te będą jarzyć się w koronie jej władcy. Lecz kilka lat temu król Meru porwał córkę władcy Uttary i jako okupu zażądał właśnie tych szafirów. Proponowano mu nieprawdopodobne kosztowności, lecz pozostał nieugięty. I w tajemnicy przed wszystkimi władca Uttary zgodził się na wymianę. Odzyskał córkę, lecz stracił szafiry. Stare proroctwo spełniło się — państwo zaczęło się rozsypywać w oczach.

Teraz władca jest stary i chce przekazać władzę swemu synowi. Przez długie lata udawało mu zachować tajemnicę. Lecz do koronacji potrzebna jest święta korona, a nie ma w niej szafirów. Jeśli ktokolwiek dowie się o tym, władca będzie zgubiony, a razem z nim zostanie zabita cała jego rodzina. Jest zrozpaczony.

Dowiedziałem się o tym i zaproponowałem mu, że zdobędę szafiry. Teraz rozumiesz? Mogę je sprzedać za taką cenę, której nikt nigdy nie dałby za samo ich piękno. Nie zdołasz ich sprzedać bez mojej pomocy. Przynieś mi szafiry, a szczerze cię wynagrodzę. Jakie monety wolisz — aquilońskie aureusy, turańskie dirchemy? Trzy duże sakiewki dam ci natychmiast, jak tylko przyniesiesz kamienie.

— Pięć — rzucił krótko Cymmerianin.

Czengar Bchutt zgodził się z ciężkim westchnieniem. Conan znał ceny drogich kamieni i rozumiał, że w Zamorze zostanie zaledwie dziesiątą część tej sumy. Zastanawiał się chwilę, dokładnie ważąc słowa rozmówcy.

— No cóż, umowa stoi — podjął decyzję. — Więc gdzie Taurus schował kamienie?

— Na cmentarzu nędzarzy — odpowiedział Czengar Bchutt. — Uznał, że najpewniej

będzie zostawić je pod ochroną zabobonów. Musisz się tam jak najszybciej wybrać, najlepiej już teraz. Ktoś jeszcze usiłuje zawładnąć skarbem Taurusa, i bynajmniej nie dla tak szlachetnego celu jak ja. Mam nadzieję, że nie przerażają cię straszne bajki, które opowiadają o tym miejscu.

Cmentarz biedoty znajdował się na wzgórzu niedaleko od miasta, na miejscu dawnych żup solnych, które istniały tu w czasach królestwa Zemry. Niewolnicy, którzy nie mogli pozwolić sobie na godniejszy pochówek, wrzucali ciała zmarłych towarzyszy w zapadliny opuszczonych szybów. Miejsce to popularne było także wśród mieszkańców Labiryntu, zwłaszcza tych, którzy zajmowali się płatnymi zabójstwami lub po prostu mimowolnie spowodowali śmierć jakiegoś godnego mieszczanina.

Niewiele było miejsc, gdzie tak komfortowo można było pozbyć się niewygodnych zwłok, i nikt nie wiedział, ilu tych, którzy zaginęli bez wieści, miało tutaj miejsce swego ostatniego spoczynku. Było to również miejsce straceń drobnych przestępców (bardziej widowiskowym miejscem straceń znanych ludzi był plac rynkowy).

Ciała straceńców nie były chowane, lecz pozostawione na miejscu służyły jako pokarm niezliczonym ścierwikom. Poza tym cmentarz nędzarzy wykorzystywany był jako miejskie wysypisko. Ogromne hałdy gnijących odpadków wydzielały straszliwy odór, który zatruwał powietrze i sprowadzał choroby. Gdy wiatr niósł smrodliwe wyziewy w stronę miasta, wybuchały epidemie nieznanymi chorobami, przed którymi nie było ratunku.

Miejsce to miało złą sławę. Chodziły słuchy, że mieszkają tam wszelkie nieczyste siły.

Niewielu mieszkańców miasta wybrałoby się tu z własnej woli. Conan musiał oddać sprawiedliwość odwadze i rozumowi Taurusa. Nigdzie chyba skarb nie był bardziej bezpieczny.

Czengar Bchutt patrzył na Conana wyczekująco.

— Bywałem tam — rzekł krótko Cymmerianin.

Vendhianin wydobyl z fałd odzieży kawałek papirusu, na którym wyobrażony był plan cmentarza, i rozłożył go na stole.

— Zaznaczyłem szyb, w którym schowane są szafiry — odezwał się. — Dalej trzeba iść sztolnią, skręcisz w czwarty tunel z prawej i dojdiesz do końca... — Wyjaśnił Conanowi umiejscowienie skrytki i dodał na zakończenie: — Jutro wieczorem przyjdź do zajazdu Mariasa, drugi pokój na piętrze. Tam będę na ciebie czekać.

IV

Po rozstaniu z rozmówcą Conan jakiś czas siedział i powoli sączył piwo. Propozycja Vendhianina była bardzo kusząca, lecz coś w jego opowiadaniu kazało mu odnosić się do niego nieufnie. Na dźwięk imienia Taurusa Cymmerianin wspominał wydarzenia owej strasznej nocy, kiedy wraz z Nemedycykiem usiłował dostać się do złowrogiej Wieży Słonia. Wspominał także i to, jak był wstrząśnięty, gdy Taurus z pomocą pyłku czarnego lotosu rozprawił się ze strzegącymi wieży lwami. Nemedyczyk opowiadał wtedy, że wykradł przodek z karawany, która udawała się do Stygii. Wszystkie opowieści o byłym „królu złodziei” mówiły o tym, że Taurus zawsze działał w pojedynkę, bez pomocników.

Oczywiście, Taurus mógł go okłamać. Mógł też to zrobić dzisiejszy znajomy Conana. W każdym razie, zanim wybierze się po kamienie, musi dobrze wszystko przemyśleć. Dopił piwo, podniósł się zza stołu i wyszedł. Zmrok dawno już zgęstniał i przemienił się w noc. Gdzieś w górze, nad dachami domów zamykającymi wąską uliczkę, można się było domyślać pełni, lecz tu, w dole, pełna była jedynie ciemność. Na ulicy nie było ani jednej latarni, lecz Conanowi lampy nie były potrzebne. Nogi niosły go pewnie po znajomych do ostatniego kamienia zawiłościach uliczek Labiryntu.

Ulicami prześlizgiwały się rozmazane cienie pojedynczych ludzkich postaci. Od czasu do czasu z jakiegoś głuchego zaułka rozległ się dźwięk stali. Z szynków dobiegał zapach kwaśnego wina i słychać było ochrypy wielogłosowy śmiech. Któryś z przechodniów spieszących w swych ciemnych sprawkach miał już zamiar podejść do Conana, lecz w ostatniej chwili poznał Cymmerianina i pospieszył dalej. Ofiarą niespodziewanego napadu w Labiryntie mógł stać się każdy. Bezpiecznie czuli się tylko ci, którzy cieszyli się odpowiednim rozgłosem, stali mieszkańcy, gotowi przywitać każdego ciężkim ciosem miecza, lub przedstawiciele zamoryjskiej arystokracji, chodzący zawsze w towarzystwie wielu strażników.

Conan doszedł do małego domu, gdzie na pierwszym piętrze wynajmował niewielką kłitkę, w której trzymał sprzęt potrzebny do swego rzemiosła, wślizgnął się do środka, wziął

zwój sznura, przypiął do pasa krótki miecz i kindżał i niepostrzeżenie wyszedł na ulicę. Zbliżała się północ, lecz przed wyprawą na cmentarz Cymmerianin miał zamiar zajrzeć jeszcze w jedno miejsce.

W Arendżunie współżyli zgodnie nie tylko uchodźcy z większości krajów świata, lecz także przedstawiciele najróżniejszych religii. Czciicielki Derketo zorganizowały w mieście kilka „wesołych domów” i zatrudnione tam prostytutki, uważane za obdarowane miłością bogini, oddawały większą część zarobku na jej chwałę. Burdele te same były świątyniami — w każdym stał ołtarz i starzy kapłani miłości cały swój czas poświęcali służbie bogini.

Wejście do „świątyni miłości” jasno oświetlały umocowane w kutyh podstawkach pochodnie. Każda otoczona była szkłem, które nadawało światłu różne barwy. Przed wejściem rozłożyło się kilka staruch zbierających datki. Conan rzucił im, nie patrząc, kilka miedziaków i miał zamiar przejść obok, nie zwracając uwagi na zwykłe w takich razach przejawy wdzięczności. Nieoczekiwanie jedna z nędzarek schwyciła go za skraj tuniki wyschniętą, pomarszczoną ręką. Barbarzyńca odwrócił się odruchowo.

— Nie niepokój łona miasta. Nie budź śpiących. Pełny księżyc zapowiada śmierć.

Mieszkańcy podziemi pragną zemsty.

Mamrotanie staruchy przypominało bredzenie szaleńca, lecz Conan dosłyszał w nim to, co współbrzmiało z jego myślami.

— O czym mówisz, czcigodna? — zapytał, rzucając jej drobną monetę.

Starucha schwyciła go mocniej.

— Nie trwóż dusz zmarłych, nie niepokój duszy miasta — podjęła równie monotownie.

— Jakiej duszy? — spytał Cymmerianin.

— Każde miasto ma własną duszę — kontynuowała starucha. — Dusza Arendżunu spoczywa na cmentarzu niewolników. Tam, gdzie przebywają dawni władcy, nawet kamienie przechowują pamięć zaklęcia. Pod cmentarzem czarne serce miasta. Nie budź tych, którzy śpią...

Mamrotanie kobiety zaczęło się powtarzać i przeszło w zwyczajne zawodzenie.

Cymmerianin posłuchał tych głupstw, spróbował jeszcze raz zapytać o duszę miasta, lecz zrozumiał, że nie otrzyma jasnej odpowiedzi, wkroczył w drzwi „świątyni miłości”.

Wysoka, smukła Zamoryjka o oliwkowej cerze zarzuciła Cymmerianinowi ręce na szyję i przyłgnęła do niego bez skrępowania.

— Zostaniesz na noc? — wyszeptła mu prosto w ucho głosem zdolnym obudzić namiętność w eunuchu.

— Wrócę później — uśmiechnął się barbarzyńca. — Czekaj na mnie, Kamela. A teraz chciałbym zamienić parę słów z gospodynią.

Zniknął za haftowaną zasłoną, wiodącą do komnaty, w której powitała go stara kobieta w szacie kapłanki Derketo. Nie minęło wiele czasu, gdy wyszedł stamtąd i zatrzymał się w kącie sali, oglądając różnorodną klientelę. Kilku strażników zabawiło się z koryntyjskimi niewolnicami; obok nieznany rabuś z Labiryntu przyciskał do siebie piękną Stygijkę, która szeptała mu coś do ucha; jasnowłosa Brythunka dokładała wszelkich starań, by przyciągnąć kawalera, którego manieri zdradzały członka wyższych sfer. Wszystko wyglądało tak jak w każdy inny dzień. Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem całe zgromadzenie, skinął na pożegnanie Kameli i wyszedł z domu.

V

W bladym, martwym świetle nocy miejsce to wyglądało jeszcze straszniej. Jasny, okrągły księżyc rozlewał na ziemi widmowe światło. Niczym nieziemskie oblicze szalonego boga patrzył na zryte otworami szybów pustkowie, po którym płynęły kołyszące się cienie suchych, wykrzywionych niby dusze czarnoksiężników, drzew. Z czarnych dziur w ziemi unosiła się śmierdząca para i ulatywała powoli z wiatrem.

Powiadano, że kiedyś, w zamierzchłych czasach, wzgórze to upodobali sobie wygnani z dawnej Waluzji ludzie—węże, którzy zdążyli już zapomnieć tajemnice swej potężnej niegdys kultury i wrócili do sposobu istnienia właściwego ich naturze.

Zamienili wzgórze w olbrzymią węzową norę, zryli ziemię podziemnym labiryntem przejść i zatruli ją swą magią. Od tego czasu nikt z ludzi nie osiedlał się w tym miejscu, a wszystko, co tu rośło, zatrute były wyziewami z martwych węży, leżącymi w owym grobowcu, który sami dla siebie stworzyli. Jeśli jednak rzeczywiście rozkładali się gdzieś w głębinach wzgórza, dawno już byli przywaleni innymi ludzkimi zwłokami.

Mówiono także, że nocami wałęsają się tu dusze zabitych, pragnące zemsty na każdym żywym napotkanym człowieku. Zaciągają ludzi w głąb wzgórza i rzucają na nich czar

szaleństwa, zmuszając, by rwali swe ciała na części i pożerali je tak długo, aż zginą, wyrwijąc sobie serce.

Gander Benito, który po wejściu w konflikt z kapitanem straży pałacowej próbował ukryć tam jego trupa, mówił, że z szybów dobiegają odbierające rozum szluchy i mamrotania i że wydawać je może tylko jeden rodzaj istot — nie pogrzebane umrzyki, które powstały z szarych mroków tamtego świata.

„Była wówczas pełnia księżyca, zupełnie jakby żółte oblicze Nergala świeciło w niebiosach, a jak usłyszałem te szepty i mamrotania, to jakby mi mróz przeszedł po kościach — opowiadał Benito Conanowi przy kolejnej popijawie. — Mitra świadkiem, że żadnego przeciwnika się nie boję. Sam przecież wiesz, że nigdy nie unikałem żadnej bitki. Ale stamtąd uciekałem tak, jakby za mną sam Nergal z Erlikiem gonił i rozpalonym żelastwem tyłek przyżegał. I klnę się na Mitrę — bez potrzeby tam się nie wybiorę, póki jeszcze ostatki rozumu bełtają mi się w głowie. A już iść tam w pełnię księżyca to już w ogóle samobójstwo — zupełnie jakby z gołymi rękami stanąć na drodze rozwścieczonego vendhyjskiego słonia. Zejść w dół, pod ziemię — to jeszcze gorzej. Stracisz wtedy nie tylko życie, duszę i do końca czasów dręczyć ją będą demony. Chyba tylko jakiś mag mógłby pozostać zdrow i cały, gdyby wpadł w te przeklęte przez bogi jamy”.

Nieliczone gryfy, śpiąc na powykręcanych, pozbawionych liści drzewach, zdawało się, czekały na kolejną ofiarę. Czarne zapadliny szybów wydawały się wrotami do pozagrobowego świata. Zresztą w pewnym sensie tak właśnie było — w ciągu wielu lat podziemia zapełniły się zwłokami biedaków.

Nawet w tej chwili Conan kątem oka dostrzegł nędzarza, przebijającego się przez góry cuchnących nieczystości z trzymanym na plecach towarzyszem. Widać było, że zmarły odziany jest w swą najlepszą odzież — подарowane przez pana łachy, kiedyś eleganckie, haftowane dawno już wyblakłym złotem, teraz zmieniły się w brudne szmaty, które ledwie okrywały nagość wyniszczonego ciała. Niedaleko poruszała się przypominająca człowieka postać. Straszna, zgarbiona wiedźma grzebała w wybielonych przez czas ludzkich kościach, których używała do wróżenia. Conan rozejrzał się wokół i wzdrygnął z obrzydzenia. Przez chwilę wyobraźnia podsuwała mu obraz pozbawionych życia warg, wysysających szpik z ludzkich kości.

Od chwili, gdy zaczął schodzić w dół szybu, nie opuszczało go niejasne przecucie niebezpieczeństwa. Czuł niemal, jak wciąż wbijają się w niego niewidzialne spojrzenia. Dlatego, gdy dotknął dna, miał już w ręce długi, obosieczny kindżał i gotów był na odparcie każdego ataku. W szybie panowała nieprzenikniona ciemność i nawet Conan, który nocą widział nie gorzej niż w dzień, nie mógł niczego rozróżnić w otaczającym go mroku. W ciemności tej było coś nierzeczywistego, jakby to żywa istota ze wszystkich sił starała się zagrozić drogę szaleńcowi, który wtargnął do jakichś zakazanych krain. Ku zdumieniu Conana na dole nie czuć było tak dokuczliwej na górze woni. Być może stało się to za sprawą maści otrzymanej od Czengara Bchutty, którą natarł nozdrza, nim ruszył na dół. Conan zapalił lampkę. Nikłe światło ukazywało ściany z ziemi i kruszące się pod nogami kości. Chwilami w plamie światła ukazywała czyjaś wybieloną czasem czaszkę, której puste oczodoły patrzyły w nicość. Uniósłszy głowę do góry, Conan ujrzał kilka gwiazd. Zdawało się, że otaczające ciemności gaszą ich blask.

Nikt na niego nie napadał. Jednak poczucie zagrożenia nie opuszczało go, a gdy spojrzął na sztolnię, którą miał iść dalej, nasiliło się jeszcze bardziej. Przed nim była tylko czarna plama.

Droga pod lekkim kątem znikwała w głębi wzgórze. Światło nie wnikało w ciemną rozpadlinę. Nie wypuszczając kindżału z ręki, Conan zagłębił się w nią. Ogieniek z lampki co jakiś czas wydobywał z ciemności porzucane kości i pękające sklepienia.

Znalazłszy czwarty tunel z prawej, Conan opuścił główną sztolnię. Po kilku krokach był w ślepym zaułku. Odstawił lampkę i uważnie obejrzał ściany. Nigdzie nie było śladu skrytki Taurusa, lecz Conan, posługując się wskazówkami Czengara Bchutty, zaczął dokładnie obmacywać prawą ścianę. Po chwili palce jego wyczuły w pozornie jednolitej, kamiennej ścianie kilka pęknięć. Jasne było, że otwór zakryty został idealnie dopasowanym kamieniem. Conan spróbował poluzować go rękami, po czym wcisnął w szczelinę ostrze kindżału i posługując się nim jak dźwignią, zaczął wyłamywać kamień ze ściany.

Po kilku chwilach udało mu się otworzyć skrytkę. Oświetlił ją ostrożnie i dostrzegł niewielki woreczek. Wytrząsnął jego zawartość na rękę i zamarł, porażony niezwykłym blaskiem kamieni. Nawet tu, głęboko pod ziemią, w absolutnych ciemnościach można było docenić ich urzekające, jarzące się piękno.

Lecz Conan nie oddawał się długiej kontemplacji. Blask kamieni zaćmił na chwilę dojmujące poczucie zagrożenia, jednak nie znikło ono całkiem. Cymmerianin całym ciałem wyczuwał unoszące się wkoło zło. Wsypał szafiry do woreczka, ukrył go w fałdach odzieży i pochylił się po lampkę, by jak najszybciej ruszyć z powrotem. Przez stęchłe, nieruchome powietrze podziemi przeszło bezszelestne tchnienie wiatru, niby westchnienie nieznanego giganta, zamurowanego w jednej ze ścian. Ogień rozjarzył się mocniej, zamigotał i zgasł. Conan zrozumiał, że stało się to, czego się obawiał. Zaklął, wymieniając imiona wszystkich znanych mu demonów i wzywając na nich boski ogień Mitry, po czym zamilkł, przysłuchując się panującej ciszy.

Ku jego zdumieniu otaczające go ciemności zrzedły. Teraz nie była to ciemność, lecz raczej szarawy półmrok, pełen przesuwających się bezcielesnych cieni. Patrzącemu na nie Conanowi zjeżyły się włosy. To były dusze zmarłych, porzuconych w szybie bez godnego pochówku.

— Na Croma! — zaklął Cymmerianin.

Na ułamek sekundy ośupiał. Każdy naród zachowuje podania o powracających do życia nieboszczykach. W Cymmerii opowiadano, że człowiek pozbawiony godnego pochówku może powrócić z mrocznego królestwa pani Szarych Równin, by zemścić się na żyjących. Legendy okazały się mówić prawdę. Już sam wygląd owych miotających się po podziemiach zjaw wystarczył, by doprowadzić do obłędu każdego mieszczucha, który jednego dnia nie potrafił przeżyć bez zwykłych wygód. Lecz Conan był ulepiony z innej gliny. Jego współplemieńcy nie odczuwali mistycznego przerażenia wobec widm i od dawna już walczyli z powracającymi z Szarych Równin zmarłymi.

Cienie krążyły wokół, mamrocząc bezładnie pojedyncze słowa i wydając niesłyszalne dla człowieka dźwięki. A dźwięki te układały się w czarowny zew, zżerający ludzką wolę i wywołujący pragnienie, by zostać tu na zawsze i pogrążyć się w zapomnieniu. Pieśń ta doprowadzała ludzi do obłędu, i tylko niewielu znajdowało w sobie siłę, by oprzeć się jej złowieszczej sile. Lecz Cymmerianin nie należał do słabych. Musiałby spotkać coś znacznie straszliwszego, by stracić wolę walki.

Wyciągnął z pochwy krótki miecz i rzucił się naprzód, do wyjścia z szybu. Stwory miotały się wokół niego. Jeden z nich rzucił się, by przeciąć mu drogę. Conan machnął mieczem i poczuł, że ma przed sobą nie zwykły cień, lecz ucieleśniony kształt. Nie było to jednak ciało żywej istoty, istoty z krwi i kości, lecz coś jakby zgęstniały cień.

Straszliwy, ochrypliwy krzyk wyrwał się z ugodzonego widma. Pozostałe, snujące się dotychczas bliżej ścian cienie, teraz, jakby ponaglone, rzuciły się na Cymmerianina.

Uratowała go szybkość. Nie zatrzymał się po pokonaniu pierwszego stwora, jego wycie nie wstrzymało go nawet na chwilę. Teraz, gdy nieprzeniknione ciemności przemieniły się w szary, czarodziejski półmrok, niepotrzebna mu była lampka. Cymmerianin rzucił się zaciekle ku głównej sztolni, a widma ruszyły za nim jak dymny welon straszydeł.

Conan wpadł do sztolni i pomknął do wyjścia. Jednak zaraz wyrósł przed nim nowy przeciwnik — stojąca nieruchomo wysoka zjawą... Nie, nie można było tego nazwać nawet zjawą. To był nieboszczyk, ożywiony przez potworną demoniczną siłę, która dawała złudzenie życia. Na jego kościach drgały jeszcze szczątki nie rozłożonego ciała i resztki odzieży. Conan zrozumiał, że starcie go nie minie. Nie zwalniając kroku, zadał mieczem sieczny cios.

Odcięta ręka nieboszczyka upadła na ziemię, lecz na tym, którego raz już zabito, nie wywarło to żadnego wrażenia. Druga ręka chwyciła Cymmerianina za gardło i ścisnęła z nieludzką siłą. Conana uratowały tylko jego stalowe mięśnie — kark słabszego człowieka nie wytrzymałby takiego uścisku. Barbarzyńca spróbował odtrącić stwora kopniakiem, lecz równie dobrze mógłby kopać w ścianę szybu. Przysiadł więc gwałtownie, chwytając nadgarstek nieboszczyka i wykręcając mu rękę. Udało mu się wyzwolić z uchwytu. Rozległ się trzask. Ręka stwora była złamana, lecz palce nadal chwyciły powietrze. Odskakując do tyłu, Conan skierował miecz w szyję stwora, po czym chwyciwszy odrąbaną głowę, cisnął ją obok reszty ciała. Umarlak drgnął jeszcze konwulsyjnie, lecz Cymmerianin wiedział, że ten wróg ; już mu nie zagraża.

Potyczka zatrzymała Conana i wicher cieni dogonił go. Oślizgłe, wodniste ciała oblepiły Cymmerianina. Pracując wściekle mieczem i kindżałem, udawało mu się bronić, lecz o tym, by wydostać się z szybu, nawet nie miał co marzyć. Przywarł plecami do ściany i bronił swego życia, odrzucając atakujące go widma. Ciął podobne do meduzy ciała, odtrącał je, lecz ich napór nie słabł. Czując obecność żywego człowieka, gnały naprzód, by dopaść go i odplącić żywym za pohańbienie ich ciał.

Nie przerywając mechanicznej obrony, Conan obliczał szansę ratunku, lecz jego wnioski

nie były pocieszające. Gdyby nawet udało mu się dostrzec sznura, po którym spuścił się do szybu, z całą pewnością ogromna masa uwieszonych na nim stworów nie pozwoliłaby mu na wydostanie się na górę. Lecz nie miał innego wyjścia. Żaden człowiek nie dysponuje niewyczerpanymi siłami. Conan czuł, że jego uwaga słabnie i przeklęte potwory podchodzą coraz bliżej. Ratowało go tylko to, że wodniste duchy ciała nie mogły poruszać się z prędkością zwykłego człowieka. Tak było dotychczas, lecz kilkakrotnie już ucieleśnione cienie przebijały się przez iskrzącą zasłonę, którą Conan utkał wokół siebie, i wpijały się w jego nogi. Barbarzyńca nadal starał się od nich odbić, czekając tylko na dogodny moment, aby dostać się do sznura i wydostać z szybu.

Jednakże całe mistrzostwo Cymmerianina było bezsilne wobec naporu nieboszczyków. Szczątki ciała pokrywały sklepienie sztolni, lecz pozostałe stwory nadal starały się dobrać do człowieka. Conan musiał cofnąć się o krok, potem jeszcze jeden i jeszcze... Jakby podporządkowując się czyjejś złośliwej woli, wskrzeszone zjawy powoli, lecz pewnie, spychały Cymmerianina w głąb podziemia. Sycząc, mamrocząc niezrozumiałe słowa, zagradzały mu drogę do wyjścia, pozostawiając wolnym przeciwległy koniec sztolni. Conan walczył z determinacją skazańca. Raz za razem odrzucał potwory, lecz nieubłagane pograżał się coraz dalej w ciemność. Napastnicy zepchnęli już Cymmerianina w koniec tunelu. Teraz walczył zdany tylko na swoje wyczucie — w otaczających ciemnościach nie był w stanie niczego dojrzeć. Niejasne poczucie niebezpieczeństwa powstrzymało go przed kolejnym krokiem w tył. Przywarł plecami do ściany i ostrożnie wybadał nogą klepisko pod sobą. Wyczucie nie zawiodło go i tym razem — za sobą miał urwisko.

Jednak odkrycie to nie uratowało Conana. Kolejny atak zmusił go do ponownego cofnięcia się. Ziemia uciekła mu spod nóg i Cymmerianin poleciał w dół. Nie spadał długo. Znalazł się na pochyłym stoku i zaczął się staczać. Jeszcze w czasach dzieciństwa, na skokach gór Cymmerii, nauczył się, jak postępować w takich przypadkach, i teraz przydała mu się ta umiejętność.

Skoncentrował się, ciało jego utraciło sztywność i niczym ogromny balon potoczyło się na spotkanie niewiadomego. Ku jego zdumieniu stok szybko się skończył. Cymmerianin poderwał się na nogi i rozejrzał się. Jego prześladowcy pozostali z tyłu. Żaden nie ruszył w ślad za barbarzyńcą, jakby stwory miały zamiar zapędzić tu człowieka i osiągnąwszy swój cel — uspokoiły się. Znajdujący się głęboko pod ziemią tunel oświetlony był ledwie majacącym, sączącym się, nie wiadomo skąd, niebieskawym światłem, jakby świeciło samo powietrze. W bocznych ścianach tu i ówdzie widniały czarne jamy. Conan zrozumiał, że oświetlony jest tylko centralny korytarz podziemnego labiryntu, który ciągnął się w dal, po czym rozszerzał się, tworząc olbrzymią pieczarę. Wzruszył ramionami i ruszył naprzód. Cokolwiek go tam oczekiwało, nie miał chęci wracać do potworów.

Wkrótce ściany tunelu rozszerzyły się, sklepienie podniosło i Conan znalazł się w wielkiej grocie. Tu i ówdzie wznosiły się dziwnie wykrzywione, sięgające sklepienia kolumny, widać też było usypiska kamieni, z jakiegoś powodu przypominające Conanowi umocnienia dawnych miast, które zdarzyło mu się widzieć na pustyni. Opowiadano, że miasta te zasiedlała starożytna rasa mieszkańców Lemurii albo jacyś inni, jeszcze bardziej zagadkowi ludzie, bardziej demoniczni aniżeli ludzcy. Conan nigdy nie przywiązywał wagi do takich opowieści — chciał żyć, czuć smak mięsa i wina, kochać kobiety, a nie upodabniać się do tchórzy, umierających ze strachem przy opowieściach wędrownych śpiewaków, wyobrażających sobie siebie jako bohaterów starych legend.

Ściskając miecz w ręce, Cymmerianin przecinał pustynną pieczarę. Nagle pod jego nogą coś chrupnęło. Schylił się i podniósł z ziemi poźółkłą od starości kość. Jeden rzut oka wystarczył mu, by zrozumiał, że trzyma w ręce ludzkie żebro. Rozrzucając nogami pył, pokrywający kamieniste podłoże, zobaczył cały szkielet i poczuł, jak jeżą mu się włosy na potylicy. Miał przed sobą szkielet jakiejś straszliwej istoty, której ludzki korpus zwieńczony był ogromną węzową czaszką.

— Na Crom! — wymamrotał Conan półgłosem, oglądając się wokół, jakby w oczekiwaniu, że ujrzy drugiego takiego potwora — żywego. Jednak pieczara nadal była pustynna i cicha. — A więc opowieści o ludziach-wężach mówiły prawdę — rzekł powoli. Pochylił się nad szkieletem i zaczął go uważnie oglądać. Jasne było, że przyczyna śmierci nie miała nic wspólnego z magią: w piersi człowieka tkwiło mnóstwo ostrzy — był wprost naszpikowany strzałami. Nieboszczyk, który zginał w boju tysiące lat temu, do tej pory ścisnął w ręce pozbawiony już oprawy dziwny, wąski, skręcony nóż — coś między mieczem a kindżalem.

Chrzążąc sceptycznie, Conan podniósł niezwykły nóż. Jego ostrze zrobione było z nieznanego mu materiału. Zdołały go dziwaczne wzory — krótkie zakrętasy, nieregularne

kręgi. Barbarzyńca uśmiechnął się, wsunął go za pas i ruszył dalej w głąb pieczary. Teraz Cymmerianin przypominał skradającego się drapieżnika. Muskuly miał napięte i oczekiwał napaści zza każdej sterty kamieni. Instynktownie wyczuwał, że miejsce to jest wypełnione złem, i to starszym, niż był w stanie sobie wyobrazić. Przeszedł przez ogromną podziemną salę i znalazł się przed rozwidleniem. Jeden tunel schodził stromo w dół, drugi zakręcał i prowadził w górę. Według obliczeń Conana powinien dochodzić do opuszczonego przez niego szybu, a więc bliżej powierzchni. Wybór był oczywisty. Conan ruszył w górę, mając nadzieję opuścić to przeklezione miejsce.

W niezliczonych bocznych przejściach czuć było niejasne ruchy, kilka razy poczuł spojrzenie jakichś gorejących w ciemności oczu. Jednak na razie żaden z tajemniczych mieszkańców pieczar nie próbował na niego napaść. Kilka razy natykał się na stare szkielety, widział też fragmenty zbutwiałego ze starości oręża. Kiedyś, w zamierzchnych czasach, w podziemiach tych musiała wrzeć twarda bitwa.

Conan zauważył, że niektóre z tych kości są rozłupane, jakby ktoś usiłował wydobyć z nich szpik. Pomyślał, że po zniknięciu nieznanych gospodarzy podziemi w pieczarach wciąż pozostawały groźne istoty. I nagle niczym dla potwierdzenia tego wniosku drogę zagroziła mu straszna istota — żywe ucieleśnienie ponurej atmosfery podziemi.

Wyglądała jak coś pośredniego między małpą a wężem. Przypominała żabę, która osiągnęła rozmiary goryla. Naga, pozbawiona sierści skóra straszdyła pokryta była brodawkami i ohydny śluzem, ogromne, białawe oczy przewiercały na wskroś człowieka, który ośmielił się wtargnąć do podziemnego labiryntu. Tylne łapy były masywne i muskularne niczym kolumny niewielkiej świątyni, przednie w porównaniu z nimi wydawały się maleńkie i słabe, ich siły wystarczyłoby jednak dla przetrącenia grzbietu nosorożca. Poza tym każdy z masywnych, sękatych palców przednich łap zakończony był pazurem wielkości niewielkiego sztyletu. Wyciągnięta morda stanowiła stadium pośrednie między głową węża a krokodyla. W uchylonej paszczy widniały długie żółtawe zęby.

Przerażający gad wysunął i schował szorstki język, przełknął ślinę i z pożądaniem patrzył na swą zdobycz. W ciągu tej nocy Conan zobaczył wiele rzeczy, które dawno odebrałby rozum każdemu pozbawionemu żelaznej woli i niepokromionej siły życia Cymmerianina. Jednak widok owego tworu rodem z mrocznych otchłani, jakby pojawił się wprost od tronu Nergala, sprawił, że wzdręgnął się cały. Barbarzyńca wyczuł, że węża przyciąga jego strach. Kryjąca się w białawych, na wpół ślepych oczach straszdyła pustka pociągała Conana. Nie była to jedna z magicznych sztuczek hipnotyzerów z hyboryjskiego świata, miał do czynienia ze znacznie starszą magią.

Conan mógłby przysiąc, że straszdyła nie wydało żadnego dźwięku, lecz w jego uszach rozległ się nagle głos — monotony, powtarzający te same słowa.

— Śmiertelny. Śmiertelny, który przestąpił próg — usłyszał. — Śmiertelny powinien pozostać nad mogiłą władcy.

Stwór zaczął się kotłować na boki, a jego paszcza rozwarła się w czymś w rodzaju uśmiechu. Conan zauważył, że tylne łapy napięły się do skoku, i uchylił się na bok. W samą porę, gdyż gad wyskoczył już do przodu. Cymmerianin poczuł dotyk pokrytej śluzem skóry. Gdyby spóźnił się bodaj o ułamek sekundy, cios szponiastej łapy rozplątałby go, zostawiając jedynie strzępy skóry.

Nie czekał na następny atak i chwyciwszy obiema rękami miecz, zadał cios w kark straszdyła. Rezultat był taki, jakby ukuł go szpilką.

Miecz odskoczył od skóry, nie wyrządzając potworowi najmniejszej szkody, i człowiek znów znalazł się oko w oko z podziemnym strażnikiem.

Pojedynek trwał dalej. Dzięki nadludzkiej zręczności Conanowi udało się kilka razy uniknąć napaści potwora, którego rozum nie był jednak tak prymitywny, jak mogłoby się wydawać. Gdyby barbarzyńca kolejny raz uskoczył z linii ataku, znalazłby się w ciasnej szczelinie, bez możliwości ucieczki.

Świadomy tego, rzucił miecz, celując w oko potwora — jego jedyne czułe miejsce. Ostrze trafiło w cel. Rozległ się ogłuszający ryk, w którym połączyły się ból i wściekłość. Lecz gad nie odstąpił nawet o krok. Dalej stojąc w miejscu, zastępował Conanowi wyjście ze szczeliny. Ze sterczącym z oka mieczem gad wyglądał śmiesznie, lecz Conanowi nie było do śmiechu. Zdawał sobie sprawę, że patrzy na swoją śmierć.

Wziewawszy imię Croma, wyciągnął zza pasa znaleziony w pieczarze dziwny nóż i przywierając do skały, przygotował się na to, że drogo sprzeda swe życie. Cymmerianin stracił też nadzieję na ratunek, lecz chciał chociaż z pomocą bogów pociągnąć ze sobą na tamten świat swego przeciwnika.

— No co, błotny pełzaczu, przerośnięta żabo — zwrócił się ironicznie do stwora. —

Podejdz bliżej, to powrócisz do swych martwych panów. Chodź, a wykończę cię.

Dla pewności zamachnął się swym żalonym, niecodziennym orężem, przywołując gada. Straszycło skoczyło. Przednie łapy ścisnęły Cymmerianina w śmiertelnym uchwycie, pazury przeorały jego plecy. Conan wyrzucił w przód rękę z nożem, nawet nie mając nadziei, że wyrządzi tym ciosem krzywdę przeciwnikowi. Jednak ku jego zdumieniu ostrze po rękojeść zatonało w brzuchu gada. Jego łapy rozwarły się, wypuszczając Conana, i w jedynym oku błysnęło coś na kształt zdumienia.

Z pełnym bólu wyciem stworz szarpnął się do tyłu. Wyciągnął sterczący z brzucha nóż i rzucił na oręż gasnące spojrzenie ocalałego oka. — Panie — Conan znowu usłyszał, a raczej poczuł głos umierającego straszycła. — Za co, panie?

W następnej chwili ogromne cielsko runęło na klepisko pieczary. Conan podszedł do martwego potwora, wyciągnął z jego oka miecz, potem zabrał wykrzywiony nóż, który uratował mu życie.

Pozostała z niego tylko rękojeść — ostrze roztopiło się w krwi stwora. Conan odrzucił bez żalu niepotrzebny już oręż i ruszył dalej.

Tunel powoli podnosił się. Wkrótce niebieskawy blask, który oświetlał dolne poziomy, zniknął. Tunel zwężał się nierówno. Conan szedł dalej w mroku i tylko zdolność widzenia w ciemnościach pomagała mu posuwać się naprzód. Wreszcie doszedł do centralnego tunelu. Z prawej widać było otwór, w który się opuścił. Pozostało mu już tylko kilka kroków.

Cymmerianin podziękował w myślach Cromowi za ratunek i ruszył do pozostawionego przez siebie sznura.

Nagle dosłyszał w ciemności jakiś szelest i zatrzymał się. Przestrzeń wąskiego tunelu ponownie napełniła się niewyraźnymi sylwetkami zjaw. Po wpędzeniu barbarzyńcy do studni pozostały w szybie, czekając na nową ofiarę. Teraz wyczuły obecność żywego człowieka i rzuciły się na niego.

— Tego już za wiele — zamruczał Conan.

Ledwie stał na nogach po potyczce ze strażnikiem pieczary i wiedział, że nie wytrzyma nowej bitwy ze zjawami. Znowu musiał odbijać się od zalewających go falami stworzeń. Ostatkiem sił odrzucał je, rozcinając lodowate ciała ze świadomością, że niedługo już wytrzyma ten atak. Pomoc przyszła zupełnie nieoczekiwanie. Nagle po sznurze z małą zręcznością ześlizgnął się niewysoki, odziany tylko w przepaskę biodrową człowiek. Na dole rozejrzał się, błyskawicznie ocenił przebieg zdarzeń i zamarł. Ku zaskoczeniu Conana nie przestraszył się, nie próbował wydostać się na powierzchnię, lecz nie rzucił się też na pomoc. Wydawało się, że po prostu obserwuje go, nie doświadczając żadnych uczuć.

Po kilku sekundach widma wyczuły obecność nowego człowieka i wydobywający się z głębin podziemi potok cieni rozdzielił się. Część nadał otaczała Conana, pozostałe popęzły do drugiego człowieka. Ten uśmiechnął się, wypluł coś na dłoń, rzucił przez ramię i wypowiedział kilka zdań w nieznanym Cymmerianinowi języku.

Wynik był wstrząsający. Stwory zatrzymały się i ruszyły do tyłu. Wokół ludzi powstała jakby jakaś linia, której nie potrafiły przekroczyć. Cienie miały się przy niej w bezsilnej złości, usiłując dostać się do Conana i jego zbawcy. Małeńki człowieczek, jak wydało się Conanowi, z uśmiechem rozejrzał się wokoło i wskazał gestem na sznur. Cymmerianina nie trzeba było długo namawiać. Wsunąwszy oręż do pochwy, podskoczył, chwycił linę i w kilka sekund był na górze. Niemal jednocześnie z nim wydostał się z szybu jego zbawca. Za nimi rozległo się głucho wycie widm. Nieznajomy obejrzał się i przeciął sznur krótkim, krzywym nożem. Z dołu dobiegł ich dźwięk upadku i wycie nieboszczyków przeszło w ochrypły, przedśmiertny jęk. Żółolicy wybawca obejrzał się na Conana.

W bladym świetle księżycy obaj ludzie przyglądali się sobie uważnie. Cymmerianin nigdy jeszcze nie spotykał nikogo podobnego. Małeńkiego wzrostu, krępy, z wyrobionymi mięśniami rąk i nóg, zbawca Conana należał do jakiejś nieznannej, zdecydowanie niezachodniej rasy. Mówiły o tym jego szerokie kości policzkowe i skośne oczy. Nie był jednak również podobny do znanych Conanowi przedstawicieli ras wschodnich — Khitajczyków i Vendhian. Stopniowo zaczął rozumieć, z kim ma do czynienia...

— Ty — Conan z Cymmerii — odezwał się nieznajomy, kalecząc zamoryjskie słowa.

Conan patrzył na niego w milczeniu. Wyglądało na to, że mały człowiek nie oczekuje ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia. Powiedział po prostu to, co wiedział.

— Ja — Won-hu z Uttary — kontynuował z takim wyrazem twarzy, jakby jego imię mogło wyjaśnić rozmówcy wydarzenia. Conan nadal patrzył na niego w milczeniu.

— Ja zabrać szafiry — powiedział Won-hu i wyciągnął rękę. Conan pokręcił głową.

— Wdzięczny ci jestem za wybawienie od tych stworów — wskazał na czarną zapadlinę w ziemi — lecz szafiry należą do mnie. A ja przyrzekłem, że oddam je komuś innemu.

Donnell Tim - Conan I Widmo Przeszłości

Ostrze krótkiego, krzywego noża błysnęło przed oczami Cymmerianina, który cudem tylko zdążył odskoczyć. W następnej chwili Conan otrzymał kilka bolesnych ciosów. Atak Won-hu był tak błyskawiczny, że barbarzyńca nie zauważył nawet jego ruchów, nie mówiąc już o wydobyciu miecza. W następnej chwili z szerokiej rany po lewej stronie piersi Conana pociekła krew. Upadł na plecy, przetoczył się i błyskawicznie poderwał na nogi. Wściekłość zasłoniła mu oczy. Ten napadający zniemacka, bez uprzedzenia żółtolicy niedoróbek koniecznie musi przypłacić to życiem. Lecz na Conana spadły nowe ciosy, których nie zdążył odparować. Cudem usunął się przed skierowanym w szyję nożem i mocno schwycił przeciwnika za nadgarstek. Nóż z brzękiem wypadł z rozluźnionej dłoni. Conan odsunął Won-hu i z całej siły wałnął go pięścią w twarz. Maleńki człowiek padł nieprzytomny. Jego twarz zmieniła się w krwawą masę. Pięść Cymmerianina była zdolna powalić na ziemię byka. Conan pochylił się i sprawdził puls leżącego.

— Żyje — warknął, podniósł ciało i zarzucił sobie na plecy.

W pierwszym odruchu Cymmerianin chciał zepchnąć je do szybu, lecz stopniowo zaczął się uspokajać.

— W końcu uratował mi życie — wymamrotał.

Znalazł leżący na ziemi nóż Uttarczyka, wsunął go sobie za pas i ruszył w stronę miasta. Na cmentarzu nędzarzy znów zapanowała cisza. Tylko nietoperze niespokojnie miały się w świetle księżyca i szalona stara czarownica grzebała w stosie ludzkich kości.

VI

Gilzach przyszedł na miejsce zasadzki na cmentarz nędzarzy jeszcze wieczorem. Aby pozostać nie zauważony, przebrał się w strój niewolnika — biali niewolnicy często szperali w stosach śmieci, usiłując znaleźć coś do jedzenia. Widział, jak barbarzyńca pojawił się na cmentarzu i przeszedł obok niego, klucząc między kupami śmieci i czarnymi zapadlinami szybów. Od tej chwili minęło dość dużo czasu i Gilzach zaczął już podejrzewać, że Cymmerianin wrócił do miasta inną drogą.

Noc się kończyła, gdy wysoka postać Conana pojawiła się na ścieżce. Cymmerianin niósł coś na ramionach. Niedowidząc w ciemnościach, Gilzach sądził początkowo, że to worek, lecz szybko dostrzegł, że Conan dźwiga ciało nieprzytomnego człowieka. Barbarzyńca zrównał się ze stosem odpadków, w którego cieniu przyczał się morderca, i spokojnie poszedł dalej.

Gilzach uniósł do ust rurkę, wycelował i gwałtownie wypuścił powietrze. Lekka strzała, nasączona śmiertelnym jadem węży z bagien tajemniczego Keshanu, wystrzeliła w nie osłonięte plecy barbarzyńcy...

Jeniec zaczynał dochodzić do siebie. Jego oddech stał się niespokojny, rozległ się krótki jęk i Conan poczuł, że jego mięśnie napinają się. Zatrzymał się, zdjął go z ramienia i zaczął ostrożnie spuszczać na ziemię. Nagle lecąca bezszelestnie w ciemności maleńka strzała wbiła się w plecy wciąż nieprzytomnego Won-hu. Żółtoskóry drgnął ledwie dostrzegalnie, lecz gdy jego ciało dotknęło ziemi, był już martwy.

Conan widział wcześniej działania maleńkich zatrutych strzał, wyrzucanych podmuchem przez rurkę, toteż zareagował błyskawicznie. Padł na ziemię i odczołżył się na bok. Druga strzała wbiła się ledwie o piędź ziemi od niego. Kątem oka zdążył zauważyć niewyraźny zarys sylwetki czającego się w cieniu człowieka i poderwawszy się, błyskawicznie rzucił się w jego stronę, wyciągając z pochwy miecz. Gniew zwyciężył w nim ostrożność. Nie dość, że nieznany morderca podstępnie strzelał mu w plecy, jak tchórz, który boi się stanąć twarzą w twarz z wrogiem, to jeszcze zabił człowieka, który uratował mu życie.

Na widok zrywu Cymmerianina Gilzach zrozumiał, że nie zdąży wydobyć kolejnej strzały. W ciągu tej nocy miał mnóstwo czasu, by opracować drogi odwrotu na wypadek niepowodzenia. Natychmiast wślizgnął się w wąskie przejście między dwoma stosami kamieni i pobiegł krętą ścieżką. Nie udało mu się jednak oderwać od prześladowcy. Conan, który nocą czuł się równie pewnie jak za dnia, wyraźnie widział postać uciekającego człowieka i stopniowo go doganiał.

Mknęli po martwym pustkowiu w zupełnej ciszy. Conan czuł, że siły przeciwnika wyczerpują się. Już kilka razy potknął się i cudem tylko utrzymał na nogach. Upuścił swą śmiertelnościaną rurkę i kołczan z maleńkimi strzałami, które zamieniły się w miazgę pod sandałami Conana. Czując, że barbarzyńca go dogania, Gilzach nieoczekiwanie zatrzymał się na skraju jednego z szybów i z rozmachem cisnął w prześladowcę ciężki nóż. W ostatniej

chwili Conan zdołał odbić go mieczem. Gilzach wyciągnął zza pasa drugi nóż, przygotował się do rzutu, lecz ziemia nagle uciekła mu spod nóg. Ogromny zwal ziemi poleciał w dół, do szybu. W rozpaczy upuścił nóż, usiłując utrzymać się na zboczu, lecz osuwisko nieubłaganie wlokło go w dół. Krzyknął, lecz jego krzyk urwał się.

Conan podszedł ostrożnie do skraju szybu i zajrzał w głąb, lecz nawet on nie potrafił niczego dojrzeć w panujących w dole ciemnościach. Zabójca zapłacił swą zgubą za wybawienie od pogoni. Jeśli nawet po osunięciu się ziemi pozostał żywy, w dole czekała na nieprzytomnego jeszcze straszliwsza śmierć. Conan odwrócił się i ruszył z powrotem do ciała Won-hu. Żółty nie był tchórzem, walczył twarzą w twarz i zasługiwał co najmniej na pogrzebanie. Jednak ciała na miejscu nie było. Conan poczuł, że od nadmiaru wydarzeń tej nocy zaczyna mu się kręcić w głowie. Przeszukał wszystko wokół, lecz nie znalazł najmniejszego śladu zabitego. Wreszcie przypomniał sobie urzekający uśmiech Kameli i swą obietnicę, że ją odwiedzi, przerwał poszukiwania i szybkim krokiem ruszył do miasta. Gdy doszedł do świątyni Derketo, świtało już i wschodzące słońce bladymi promieniami różowiło niebo nad Arendżunem.

Gdy ziemia uciekała mu spod nóg, Gilzach był przekonany, że wkrótce znajdzie się w królestwie podziemnych cieni, które odbiorą mu nie tylko życie, lecz i duszę. Z jego gardła wydobył się mimowolny krzyk przerażenia. Jednak sprawne ciało, podporządkowując się mocno zakorzenionemu instynktowi przetrwania, reagowało inaczej. Szczupły Zamoryjczyk skulił się, usiłując opóźnić upadek, utrzymać się na powierzchni lub chociaż nie dać zasypać się z głową. I kiedy ogromne osuwisko ziemi pociągnęło go ze sobą, jakimś cudem udało mu się znaleźć na wierzchu. Przychodząc do siebie, Gilzach stwierdził, że znajduje się na dnie głębokiej jamy. Zepchnął ziemię z nóg i podniósł się. Szczęście go nie opuszczało. Ciało bolało od niezliczonych urazów, na rękach miał kilka zadrapań, lecz kości pozostały całe. Podziękowawszy obrońcy swego rodu, Gilzach zaczął się rozglądać.

Ściany jamy były niemal pionowe. W górze widać było niebo, i wyglądało na to, że słońce zbliża się do zenitu. Gilzach ocenił sytuację i zrozumiał, że szyb, w którym się znalazł, od dawna był już zasypywany wieloma osuwiskami i jego głębokość zmniejszyła się zdecydowanie. Teraz od powierzchni ziemi do dna było nie więcej niż piętnaście łokci i temu zawdzięczał życie. Wydostanie się na wierzch nie przedstawiało dla niego żadnej trudności. Wykorzystując dwa pozostałe sztylety jako kliny, szybko znalazł się na powierzchni, ściągnął zmienioną w łachmany odzież i ruszył do miasta. Na razie Cymmerianin żyje. Jednak do wieczora jest jeszcze czas.

VII

Zapadał zmrok, gdy Conan zbliżał się do zajazdu kupca Mariasa, gdzie miał na niego czekać Czengar Bchutt. Otoczony dużym ogrodem zajazd mieścił się przy jednej z głównych ulic. Wieczorami do ogrodu wpuszczano drapieżne charty, które pilnowały domu lepiej niż jakkolwiek straż, w środku zaś samego domu stale siedzieli uzbrojeni stróże, toteż rabusie omijali ten dom, natomiast przyjezdni kupcy bardzo chętnie się tam zatrzymywali.

Zamożność mieszkańców przyciągała do domu żebraków. W prowadzącej do domu alei siedzieli okaleczeni nędzarze, wystawiający na pokaz swe straszne wrzody, z których wiele zostało sztucznie wyhodowanych przez mistrzów z Labiryntu, para nawiedzonych, kilka schludnych staruszek, których twarze przykryte były zgodnie z obyczajem szczelnymi zasłonami — wszyscy w oczekiwaniu skromnego datku.

Conan przeszedł powolnym krokiem spacerującego ochroniarza większą część alei, gdy coś tknęło go wewnątrz, uprzedzając o niebezpieczeństwie. Barbarzyńca poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przesuwają się kłująca, chłodna fala i natychmiast sprężył się w oczekiwaniu ataku. Postronny obserwator nie dostrzegłby żadnej zmiany w jego spojrzeniu ani w kroku, lecz oczy Conana dosłownie przesywały każdą napotkaną postać, a rozszerzone nozdrza zachłannie wciągały powietrze. Cymmerianin różnił się od tak zwanych cywilizowanych ludzi tym, że jego zmysły nie były stępione długim życiem w mieście, pośród kamiennych olbrzymich domów, które zastępowały im naturę.

To właśnie zapach uprzedził go o niebezpieczeństwie, a raczej niezgodność między wyglądem człowieka a jego wonią. Siedząca na skraju alei starucha ruszyła w jego stronę, wyraźnie w nadziei wyżebrania drobnej monety na chleb, lecz wydzielana przez nią woń zdradzała mężczyznę. Nim zrozumiał, co się dzieje, odskoczył od staruchy i skierowane w jego serce ostrze kindżału lekko tylko zadrasnęło skórę, przeciąwszy tunikę i bandolet miecza.

Conan wydobył kindżał, lecz nie mógł się zmusić, by zadać cios. Był wojownikiem i nie walczył z kobietami. Sekunda wahania mogła kosztować go życie. Drugi cios, nie mniej niebezpieczny do pierwszego, zsunął się po jego żebrach, lecz Conan zdążył zerwać zasłonę z twarzy napastnika. Patrzące z nienawiścią oczy tkwiły w śniadej, okolonej krótką brodą twarzy.

W alei rozpoczął się pojedynek dwóch godnych siebie przeciwników. Gilzach nie na darmo słynął ze swego mistrzostwa we władaniu sztyletem. Wąskie ostrze w jego ręce połyskiwało w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i fruwało niczym stalowy motyl. Nie sposób było przewidzieć, gdzie skieruje następny błyskawiczny cios. Lecz Cymmerianin nie ustępował mu szybkością, a przy tym był znacznie silniejszy. Jego walka nie była tak efektowna, lecz umiał parować ciosy Gilzacha. Gilzach przypominał atakującego węża, Conan zaś podobny był do tygrysa, którego błyskawiczne ciosy sprawiały wrażenie leniwych i powolnych. Z raje, którymi przeciwnicy musieli odpierać ciosy, sączyła się krew, ich oczy gorzały zimną wściekłością.

— Wczoraj zasłoniłeś się cudzym ciałem — szeptał Gilzach — i przedłużyłeś sobie życie o jeden dzień. Teraz znajdziesz się w krainie snu, a głodne demony będą wiecznie jeść twoje kości.

— Drugi raz nie uda ci się wyślizgnąć z Szarych Równin — odrzekł krótko Conan. Jeszcze kilka chwil trwała szalona wymiana wypadów i uników. Conanowi nie udało się odparować kolejnego ciosu i odsonił lewą pierś. Gilzach wykorzystał to natychmiast i skierował sztylet w serce Cymmerianina. Lecz w ostatniej chwili Conan zdążył przekręcić tułów. Kiedy ostrze sztyletu ześlizgnęło się po jego ciele, kindżał Conana lekko przeciął gardło Gilzacha.

Zamoryjczyk stał jeszcze chwilę, kiwając się, a potem padł twarzą do ziemi. Na miejsce potyczki biegli już ludzie. Conan pochwycił swój miecz i uciekł w gęsty ogród. Kiedy w oddali ścichły krzyki podnieconych, pochylonych nad ciałem Gilzacha ludzi, zwolnił kroku i ruszył ku domowi. W drzwiach natknął się na ochroniarzy, którzy wybiegli, słysząc rwetes. — Co się stało? — zakrzyknął jeden z nich, wyróżniający się drapieźnie nastroszoną rudą brodą.

— Napadli na gościa — odpowiedział Conan spokojnie. — Niegodziwiec już uciekł, pewnie gdzieś do ogrodu.

Strażnicy z tupotem zbiegli po schodkach. Słychać było, jak rudobrody daje rozkaz przeczesania ogrodu.

VIII

Conan wszedł na piętro i odnalazł wskazany mu przez Vendhianina pokój. Otworzył kopniakiem drzwi i wszedł, wyciągając miecz z pochwy.

Opasy Vendhianin siedział przy maleńkim stoliku na środku pokoju i oglądał zwitek papirusu. Podniósł głowę i jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Conana. Czengar Bchutt wyglądał, jakby zobaczył wskrzeszonego nieboszczyka, który przyszedł, by zabrać go ze sobą na Szare Równiny. Twarz Vendhianina zszarzała, oczy rozszerzyły się. Zdawało się, że jeszcze chwila, a wyjdą z orbit. Ostatnie wątpliwości Conana rozwiąły się.

— Czekając na tego niedoróbka, który miał mnie wykończyć — rzekł Conan powoli — lecz on jest już martwy. A teraz sam wybierzesz się w ślad za nim.

Przerażenie w oczach Czengara Bchutta potwierdziło tylko podejrzenia Cymmerianina. Podszedł do grubasa i przystawił ostrze miecza do jego gardła.

Czengar Bchutt czynił rozpaczliwe wysiłki, by coś powiedzieć, lecz język nie był mu posłuszny. Conan wyciągnął woreczek z szafirami i rzucił na kolana grubasa. Ręce Vendhianina natychmiast go odruchowo chwyciły.

— Tak chciałeś je zdobyć — powiedział Conan ironicznie, nie zdejmując miecza z gardła tłuściocha. — Teraz możesz zabrać je ze sobą tam, skąd nie ma powrotu. Być może ogrzeją cię w komnatach Pani Losów.

Uczył niedostrzegalny ruch mieczem i z cienkiego przecięcia na szyi Vendhianina pociekła strużka krwi.

— Jedz! — rozkazał Conan. — Rozwiąż woreczek, weź szafir i zjedz go.

Vendhianin skubał trocзки, ze strachem patrząc na Conana. Wreszcie wyciągnął szafir i powoli uniósł go do ust. Popatrzył na Conana wzrokiem zaszczutego zwierzęcia, lecz nie znalazł współczucia. Nieoczekiwanie Conan wyczuł za plecami ruch i jednocześnie coś zmieniło się w spojrzeniu Czengara Bchutta — strach zastąpiła nadzieja, a potem znów strach.

Cymmerianin zdążył odwrócić się na spotkanie niebezpieczeństwa, lecz nie zdołał uniknąć ciosu. Zauważył skradającego się do niego bezszelestnie człowieka podobnego do zabitego Won-hu, i w tej samej chwili silny cios spadł na jego głowę. Zapadając się w czernię niepamięci, Conan zdążył jeszcze zamachnąć się mieczem. Zrozumiał, że chybił, i runął ciężko na siedzącego przed nim grubasa.

Przytomność wróciła do Conana nagle — niby błysk światła przebiła się przez zamknięte powieki. Wyczuł w palcach rękojeść miecza, którego nie wypuścił, gdy padał, przygotował się do potyczki i otworzył oczy.

Czengar Bchutt siedział w fotelu na środku pokoju. Ręce miał mocno przywiązane do podłokietników, twarz zszarzała jak popiół, a w jego oczach zastygł wyraz śmiertelnego przerażenia. Stojący obok niego dwaj ludzie przypominali wyglądem zabitego nocą Won-hu. Jeden z nich odwrócił się do Cymmerianina z wyrazem groźby na twarzy. W jego rękach pojawiły się dwa szerokie kindżały. Conan przygotował się do odparcia ataku, kiedy z kąta pokoju odezwał się jakiś głos. Wypowiedział kilka słów w nieznanym języku i człowiek, kłaniając się lekko, schował oręż do pochwy.

— Wstawaj, zasiądź wygodnie i bądź spokojny. Tu nic ci nie zagraża — odezwał się ten sam głos po zamoryjsku. Conan spojrzął w odległy róg pokoju. Na niewysokim tapczanie siedział jeszcze jeden Uttaryjczyk. Nie tylko rozkazujący ton, lecz całe zachowanie wskazywały, że ma do czynienia z władcą.

— Jesteś zapewne Conanem z Cymmerii — powiedział powoli. — Ja jestem Khu Bor, syn władcy lub jak się to mówi — króla — Uttary.

Conan ostrożnie, nie wypuszczając z rąk miecza, przysiadł na niskim taborecie.

— Morderca, którego wysłał za tobą ten handlarz cudzymi tajemnicami, okazał się mniej zręczny, niż mu się wydawało — mówił książę. — Spodziewałem się tego. Skoro zdołałeś zwyciężyć Won-hu, najlepszego wojownika Uttary, nikt inny nie mógł cię powstrzymać. Z pewnością domyśliłeś się już, że historia, którą opowiedział ci ten tu — Khu Bor wskazał kurczącego się pod jego spojrzeniem Vendhianina — daleka jest od prawdy. Jak wszyscy, którzy znają wydarzenia z cudzych słów, był przekonany, że młody barbarzyńca z Północy uwierzy w każde kłamstwo. Lecz waleczność zawiera się nie tylko w mięśniach, ale i w rozumie. Czy od razu zrozumiałeś, że on kłamie? — Koniec frazy zawiśł pytająco w powietrzu.

— Matka Taurusa zmarła kilka lat temu, a jego kochanką została jedna wywłoka z Labiryntu, która na drugi dzień po jego śmierci zapomniała o nim. Mieszka teraz w wesołym domu, poświęconym Derkato — wyjaśnił krótko Conan.

— Domyślam się, że trzeba ci wytłumaczyć, o co tak naprawdę chodzi. Wiesz już, że w tych szafirach zawarty jest los Uttary. Stare podania mówią, że jeden z nich został подарowany mojemu dalekiemu przodkowi przez Rudrę, który zstąpił do ludzi. Bóg przepowiedział, że król oraz jego potomkowie będą rządzić Uttarą tak długo, jak długo będą posiadać szafir. W związku z tym król nakazał, by wydobyto siedem drogich kamieni i oszlifowano je tak, aby nie można było znaleźć między nimi różnicy — na wypadek, gdyby jakiemuś zuchwałemu złodziejowi przyszła do głowy kradzież boskiego szafiru. Tak więc prawdziwą wartość ma tylko jeden z kamieni, lecz nikt nie wie, który — mówił z niewesołym uśmiechem Khu Bor.

— Wiesz już, jak kamienie znalazły się w skarbcu króla Meru — kontynuował książę. — Ukradł je stamtąd przypadkowo, nie podejrzewając nawet, jaką mają wartość, Taurus, którego nie na darmo nazywali królem złodziei. Poza nim nikt nie zdobyłby się na taki wyczyn.

Po tym jak mój ojciec zmuszony był oddać szafiry królowi Meru, zwrócił się do znamienitego vendhyjskiego maga i mędrca larcha z prośbą, by ten pomógł mu odzyskać kamienie. Posługując się swą magią, larch dowiedział się, że klejnoty zostały wykradzione ze skarbcza przez Nemedyczyka Taurusa. Jednak dalszej drogi szafirów nie umiał prześledzić. Czas mijał i ojciec pogodził się już z utratą szafirów. Lecz pewnego razu larch przekazał mu wiadomość, że trafił na ich ślad. Natychmiast wyjechałem do maga, lecz nie zastałem go już wśród żywych — nawet najwięksi mędracy podlegają starości. Jego syn — ten właśnie grubas — nie odziedziczył mądrości ojca, co kompensował sobie sprytem i chciwością. Przed śmiercią ojciec wyjawiał mu, gdzie znajdują się szafiry, lecz Czengar Bchutt nic mi o tym nie powiedział, zaproponował natomiast, że odnajdzie je i mi sprzeda. Nie miałem wyboru.

Musiałem się na to zgodzić. Jednak, podejrzewając oszustwo, kazałem go śledzić. Wkrótce dowiedziałem się, że nawiązał korespondencję z królem Meru, któremu także zaproponował odzyskanie skradzionych z jego skarbcza szafirów, i zrozumiałem, że nie można mu wierzyć. Gdybym nawet przebił cenę króla Meru, nie miałbym pewności, że dostanę szafiry. Dlatego,

gdy wybrał się w podróż, udałem się za nim wraz z kilkoma towarzyszami.

Od swego ojca nauczył się kilku prostych sztuczek magicznych, lecz uważał siebie za równego prawdziwym Wtajemniczonym. Dzięki magii dowiedział się, że prawowici właściciele szafirów idą w ślad za nim — kontynuował Khu Bor — i wybrał jedyne go człowieka, który był w stanie nas wyprzedzić, a w razie konieczności — odebrać kamienie. Trzeba przyznać, że się nie pomylił. W końcu jednak kamienie wróciły do właściciela — mówił dalej książę. — Przyjmij więc w dowód wdzięczności ten dar. Zarówno ja, jak i wszyscy moi krewni jesteśmy ci bardzo zobowiązani. Gdy pokażesz tę bransoletę komukolwiek z nas, otrzymasz wszystko, czego zażadasz. Mam też nadzieję, że kiedyś uda mi się bardziej godnie ci się odwdziżyć.

Zdjął z nadgarstka masywną złotą bransoletę i podał Conanowi. Kształtem przypominała długi liść lotosu, na którym przedstawione były sceny z polowania. Maleńkie figurki ludzi wykonane były z najwyższym kunsztem. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się można było dostrzec szczegóły. Z daleka zlewały się, tworząc dziwaczne wzory. Conan skłonił się i wypowiedział kilka słów wdzięczności. Na chwilę zapadła cisza.

— Moi woje wybrali się za tobą na cmentarz — podjął król. — Z jednym z nich spotkałeś się w szybie. Won-hu wiedział, że tej nocy ożyją widma, wiedział też, jak można się przed nimi uratować. To najprostsza magia, którą zna niemal każdy w Uttarze. Lecz wyprzedziłeś go i nie udało mu się odzyskać szafirów. Jego pomocnicy bali się walczyć z tobą, więc zabrali tylko ciało swego towarzysza, kiedy rzuciłeś się w pogoń za nastanym zabójcą. — Książę zamilkł, a jego spojrzenie zubożało.

— Won-hu był mi bliższy niż brat — podjął w końcu. — Samo to starczyłoby, abym ukarał człowieka winnego jego śmierci. Lecz jest jeszcze jeden powód. Prawa magii wymagają, aby jeden z tych, przez którego ręce przeszły drogocenne kamienie, został zabity, a jego krew skropiła szafiry. Inaczej na ich właściciela padnie klątwa. Ta krew, to cena kamienia, zapłata za kradzież. Oto dlaczego Czengar Bchutt, ten drobny vendhyjski czarnoksiężnik, wynajął mordercę i wysłał go w ślad za tobą.

Conan odwrócił głowę i twardym spojrzeniem popatrzył na opasłego Vendhianina.

Zdawało się, że jeszcze chwila i oczy Czengara Bchutta wyskoczą z orbit. W wykrzywionej twarzy widać było otwarte w bezgłośnym krzyku usta. Woreczek z szafirami nadal leżał na jego kolanach. Z tyłu rozległ się śmiech księcia.

Cymmerianin odwrócił się. Tępy zwierzęcy strach w oczach wiarołomnego tłuszciocha wywołał w nim wstręt podobny do tego, jaki pojawia się na widok jadowitego pająka. Jeden z Uttryczyków podszedł do skamieniałego Czengara Bchutta, wysypał mu na kolana szafiry z woreczka, potem pochylił się i zdecydowanym gestem przeciął gardło Vendhianina.

Tryskająca krew zalała szafiry i jeden z nich zabłysnął jasnym, niebieskim płomieniem. Drugi Uttaryczyk włożył szafiry do woreczka i z pokłonem podał je księciu.

— Idziemy — rzekł Khu Bor — nie mamy tu nic więcej do roboty.

Idący wraz z księciem Conan przyjmował zdumione spojrzenia mieszkańców. Jawnie zazdrościli młodemu barbarzyńcy — przyjezdny wielmoża postanowił przyjąć strażnika, który będzie teraz żył rozpieszczany bogatymi podarunkami. Jakby czytając w ich myślach, książę zaproponował Conanowi, by wstąpił do niego na służbę. Conan udał, że nie dosłyszał propozycji.

— Mówisz, panie, że dużo wiesz o magii — rzekł, zostawiając bez odpowiedzi słowa księcia. — Tam, w szybie, zetknąłem się nie tylko z żywymi widmami, lecz także z innymi zagadkowymi rzeczami.

Opowiedział krótko o labiryncie pieczar oraz potyczce z nieznanym straszidłem, która omal nie zakończyła się jego śmiercią. Twarz księcia utraciła opanowanie, a w jego oczach zamigotało niekłamane zdumienie, jakie pojawia się u czarownika na wieść o istnieniu nieznanego mu źródła siły magicznej.

— Rzeczy, o których mi opowiadasz, przekraczają moją wiedzę — rzekł wreszcie. — Mogę jedynie domyślać się ich sensu. Nie jest to magia dzisiejszych adeptów Czarnego Kręgu. W ogóle żaden z magów w ciągu ostatnich kilku tysiącleci nie potrafiłby stworzyć niczego podobnego. Jeśli się nie mylę, jest to wytwór rasy, która władała ziemią przed pojawieniem się człowieka. Byli to ludzie-węże, mający ludzkie ciało i łeb węża, o duszach równie przerażających, jak ich ciała. Czili bóstwa ciemności i posiadali ogromną moc magiczną. W zamierzchłych czasach, kiedy toczyła się wojna między nimi a ludźmi, w najodleglejszych zakątkach ziemi zbudowali wiele podziemnych schronisk. Stworzyli też przerażające istoty, które miały chronić owe miejsca. Powiadają, że strażników tych zabić mogło tylko orężę węży — takie jak znaleziony przez ciebie nóż...

Wyszli już z ogrodu i doszli do palankinu księcia. Sześciu wysokich silnych Kushytów

trzymało drążki.

Conana, jak zawsze, interesowało tylko praktyczne znaczenie opowieści.

— Tak więc — przerwał księciu — tych stworów nie ma już na ziemi? Nie trzeba się bać przypadkowego spotkania z nimi w odludnym miejscu albo w domu jakiegoś bogatego kupca?

Księciu, który pełen natchnienia opowiadał o ciemnych, magicznych tajemnicach dawnych czasów, nieoczekiwane pytanie odjęło mowę. Nawykły do delikatnego traktowania subtelnej materii, nie mógł sobie wprost wyobrazić, że Cymmerianin tylko dlatego interesuje się magicznymi stworami, aby dowiedzieć się, jak je najłatwiej zabić.

Nie znajdując odpowiedzi, Khu Bor skinął tylko głową. Podchodząca świta pomogła mu usiąść w lektyce. Conan odwrócił się w stronę Labiryntu.

— Jeśli zdecydujesz się służyć przyszłemu królowi Uttary — dobiegł go głos księcia — znajdziesz mnie...

Końca zdania Cymmerianin nie dosłyszał. Szedł już powoli przez ludzki potok, wypełniający wieczorem ulice Arendżunu. „Zamienić wolne życie na służbę — myślał ze wstrętem — toż to jakby dobrowolnie założyć sobie obrożę. Wszyscy ci książęta, magowie, którzy myślą jedynie o tym, jak utrzymać się na tronie, wywyższyć się, zdobyć jeszcze więcej wpływów, jeszcze większą władzę — niech idą do paszczy Nergala. Jeśli kiedykolwiek zamieszkać na królewskim dworze, to będę królem, nie sługą. A swoją koronę zdobędę sam. A na razie — co może być lepszego niż hulaszczę życie złodzieja w mieście złodziei? Lepiej uczciwie kraść, aniżeli trząść się, siedząc na tronie w oczekiwaniu napaści spiskowców”. Wieczorem sprzedał w świątyni boga Anu otrzymaną od księcia bransoletę, po czym przez kilka dni w spelunkach Labiryntu wszelkiej maści typy spod ciemnej gwiazdy ucztowały, wystawiając hojność Conana z Cymmerii.

ZAMEK STRACHU

Za dzikimi pustyniami Stygii rozciągały się stepy Kushu — bezkresne przestrzenie, setki hektarów gęstej trawy.

Z rzadka tylko urozmaicały pejzaż samotne krzewy: kłująca akacja, smokowiec z liśćmi w kształcie miecza, zaostrzone szmaragdowe lobelie i gęsto otoczony odrostkami trujący wilczomlec. Od czasu do czasu step przecinały otoczone lesistymi brzegami strumienie; zdarzały się stada zebra, antylop, bawołów i innych wędrownych zwierząt.

Tu i ówdzie trawą kołysał lekki wiaterek, przyginając ku ziemi soczyste źdźbła, lecz oślepiające tropikalne słońce paliło niemiłosiernie. Czasami na jasnobłękitnym niebie zbierały się chmury i rozpętywała się krótka, lecz intensywna, burza. Świetnie przedstawienie z błyskawicami i piorunami trwało krótko i chmury zniknęły równie szybko, jak napływały.

Dzień miał się ku końcowi. Po bezkresnym stepie włókł się zmęczony wędrowiec w przepasce na biodrach i sandałach na nogach. Jego ciemna, południowa opalenizna upodobała go do Aborygena, młody człowiek wyróżniał się jednak wspaniałą budową — szerokie ramiona, długie, silne nogi. Pod brązową, pokrytą białymi szramami skórą poruszały się mocne muskuły.

Ponurą twarz otaczała grzywa nie czesanych czarnych włosów, pod ściągniętymi brwiami gorzały wściekle błękitne oczy. Młodzieniec przemierzał step sprężystym krokiem i czujnie wpatrywał się w kępy lśniącej czerwono w promieniach zachodzącego słońca trawy. Wkrótce nad Kushem zapadnie noc i korzystając ze schronienia skrzydeł, na step wyjdzie śmierć w poszukiwaniu zdobyczy.

Lecz podróżnika zwano Conanem Cymmerianinem, a on nie znał strachu. Barbarzyńca, dziecko natury! Nagie wzgórza dalekiej Cymmerii były jego rodzinnym domem... Wychodził z honorem z najtrudniejszych prób, które dla cywilizowanych, wykształconych ludzi kończyły się haniebną śmiercią.

Conan szedł już ósmy dzień z rzędu, lecz wciąż jeszcze miał wiele siły. Żywił się jedynie dziką zwierzyną, zabijaną strzałami z bamulskiego myśliwskiego łuku, który nosił na plecach. Od dawna już przywykł do trudów dalekich wędrówek. Przemierzył już pół świata i wiele zdążył zobaczyć. Zawsze bardziej niż smutne wspaniałości miast za wysokimi murami twierdz pociągał go daleki horyzont w szkarłatnej mgiele.

Za sobą zostawił nieprzebyte dżungle, gdzie wśród bujnego, szmaragdowego listowia płonęły osobliwe orchidee, a plemiona okrutnych czarnoskórych dzikusów walczyły o swe miejsce na ziemi.

W wilgotnych zacienionych gąszczach dawał się słyszeć to ryk rozdrażnionego leoparda, to chrząkanie dzika. Czasem zabrzmiał sygnał trąby słonia albo pisk małpy. Conan przeżył

tam ponad rok, będąc wodzem potężnego plemienia Bambułów.

Lecz chytrzy czarnoskórzy czarownicy byli niezadowoleni z panowania białego człowieka. Oburzała ich nieskrywana pogarda, jaką okazywał starym obyczajom. Wreszcie udało im się podburzyć plemię przeciw Conanowi.

Zdarzyło się to tak: Przyszła straszna susza, wyschły rzeki i studnie, a dzikie plemiona zaczęły krwawe spory o źródła drogocennej wody. To była walka o życie. W ogniu ginęły całe wsie, ludzie padali jak muchy. Gdy głód i rozprężenie sięgnęły apogeum, pojawiła się okrutna dżuma.

Złe języki oskarżyły o wszystkie nieszczęścia Conana; ponoć duchy rozgniewały się, że bladolicy przybysz siłą zdobył władzę nad plemieniem Bambułów. Szamani twierdzili, że Conana należy obdrzeć ze skóry na czarnym ołtarzu krwiożerczego boga. Inaczej cały naród zginie.

Ta perspektywa nie spodobała się Conanowi i postanowił stanowczo się temu przeciwstawić. Na początku więc zabił głównego szamana, przebijając go szerokim pochodzącym z Północy mieczem, po czym obalił drewnianego bambulskiego bożka i skrył się w mroku dżungli.

Ruszył na chybił trafił na północ i przeszedł długą i ciężką drogę, nim gęsty las zrzędl, ustępując miejsca pastwiskom.

Przed nim za sawanną rozciągało się dawne królestwo Kush. W służbie u śniadych monarchów z pewnością znajdzie sposobność, by wykorzystać swą nadludzką siłę i ciężki miecz.

Tu jednak jego rozmyślenia zakłóciło niejasne przeczucie zagrożenia. Pierwotny instynkt podpowiadał, że coś jest nie tak. Conan zatrzymał się i obrzucił wzrokiem sawannę.

Wokół panowała cisza i nie było widać niczego niepokojącego, lecz z jakiegoś powodu poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Czułe nozdrza Cymmerianina wciągały powietrze, przenikliwe oczy wpatrywały się w półmrok.

Żadnych zapachów, żadnych odgłosów, jedynie mgliste cienie krzewów drżały w ostatnich promieniach zachodu. Lecz Conan czuł, że niebezpieczeństwo jest obok.

Obejrzał się szybko i zdążył zauważyć we mgle dwa połyskujące krążki. Oczy zniknęły natychmiast. Wszystko stało się tak szybko, że Conan uznał to za jakieś złudzenie, i ruszył dalej. Teraz jednak był czujny.

A pałające ślepie patrzyły za nim z gęstej trawy. Pełne gracji rude zwierzęta postępowywały bezszelestnie śladami człowieka. Lwy Kushu łaknęły gorącej krwi i świeżego mięsa.

Minęła godzina i nad sawanną zapadła noc. Tylko na zachodzie ciągnęła się cienka wstążka wieczornej zorzy, a na jej tle czerniała samotnie sylwetka uschniętego drzewa. Conan był już wyczerpany. Trzy razy rzucały się na niego lwice i trzy razy wypuszczał śmiertelne strzały. Mrok gęstniał i trudno było wcelować, lecz po każdym wystrzale z zarośli dobiegał ryk. Znaczyło to, że Conan nie spudłował, choć zagadką pozostawało, czy drapieżniki są zabite, czy tylko ranne.

Ale kołczan był już pusty i barbarzyńcy pozostało tylko czekać, kiedy milczący zabójcy napadną znowu. Jego śladami postępowyło już około dziesięciu lwów, i do duszy Conana zaczęła wkradać się rozpacz. Powiedzmy, że dwa położył mieczem, lecz trzeci raz nie zdążył się zamachnąć i zwierzęta rozszarpiały go na strzępy.

Już dawniej spotykał się z lwami i nie tylko ze słyszenia znał nieprawdopodobną siłę tych zwierząt — unieść w zębach zebre było dla niech nie trudniej niż kotu mysz. Nawet Conan, jeden z najsilniejszych ludzi swego czasu, czuł się przy lwie jak dziecko.

Barbarzyńca sadził wielkie susy. Bez większego wysiłku pokonał kilka kilometrów, lecz później zmęczenie dało o sobie znać. — wszak miał już za sobą niebezpieczną drogę przez dżunglę i ośmiodniowy pochód przez równinę. Przed oczami wszystko wirowało, bolały go nogi. Wydawało mu się, że z każdym uderzeniem serca traci siły.

Błagał swych bogów, aby zza groźnych chmur, które zaciągnęły niemal całe niebo, wyrzął księżyc. Modlił się o jakieś wzgórze lub drzewo na tym pustym stepie. Niechby bodaj jakiś głąz. Przywarłby do niego plecami, by bronić się ostatni raz. Bogowie jednak nie słyszeli.

Tu i ówdzie rosły jedynie karłowate, kolczaste drzewka, których pnie wznosiły się na wysokość zaledwie sześciu, ośmiu stóp, a rozłożyste korony przypominały kapelusze grzybów. Jeśli nawet, nie zwracając uwagi na ukłucia, wejdziesz na takie drzewo, pierwszy lew podskoczy i natychmiast zrzuci go na ziemię... Czasami spotykał termitiery, zbyt niskie, by miał z nich jakiś pożytek. Pozostawało mu tylko jedno — biec dalej.

Gdy kołczan opustoszał, Conan odrzucił wielki myśliwski łuk, by uwolnić się od niepotrzebnego ciężaru. Szkoda mu było rozstawać się z takim wspaniałym orężem, lecz nie

miał wyboru. Kołczan i rzemienie podzieliły wkrótce los łuku. Teraz Conan miał na sobie tylko przepaskę biodrową ze skóry leoparda i wiązane na rzemienie sandały. W ręce trzymał bukłak z wodą i ciężki, szeroki miecz. Rozstanie się z nimi oznaczałoby pozbawienie się ostatniej nadziei.

Lwy deptały mu już niemal po piętach; czuł zapach potężnych drapieżników i słyszał ich ciężkie oddechy. Jeszcze chwila, a okrążą go — wtedy będzie to jego ostatni bój. Conan wiedział, jak zachowa się stado. Przywódca zostanie za plecami ofiary, po bokach ustawią się młode samce, a szybkie lwice pobiegną do przodu, by odciąć Conanowi drogę. Rzucają się na niego wszystkie naraz i to będzie jego koniec.

I wtedy nad sawanną wzeszedł księżyc. Miękkie, srebrzyste światło zalało biegnącego olbrzyma i posrebrzyło rudą sierść jego prześladowców.

Z lewej błysnęła wehniста grzywa i Conan zrozumiał, że jest okrążony. Napiął wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na atak, lecz w tym momencie lwica stanęła w miejscu jak wryta i Conan wyprzedził ją o dwa susy. Kątem oka zauważył, że lwica z prawej też została.

Przysiadła, wyszczerzyła zęby i warcząc wrogo, zaczęła bić ogonem po trawie.

Conan zwolnił bieg i obejrzał się niepewnie. Ku jego najwyższemu zdumieniu lwy zaprzestały pogoni. Stały jakby wstrzymane niewidzialną barierą i ryczały w bezsilnej wściekłości, a w świetle księżyca połyskiwały ich żółte kły.

Barbarzyńca ściągnął brwi. Co zmusiło stado do zrezygnowania ze zdobyczy? Jaka nieznaną siłą odstraszyła zwierzęta? Conan uniósł miecz i popatrzył na lwy wyczekujące. Zwierzęta ryczały groźnie i bryzgały śliną, lecz nie ruszały się z miejsca.

I wtedy Conan dostrzegł jedną dziwną rzecz: lwy zatrzymały się na granicy między gęstą, wspaniałą zielenią sawanny a pustkowieciem porośniętym rzadką, zeschniętą roślinnością. Zupełnie jakby niewidzialna linia przedzieliła step na dwie części. Trawa pod nogami Conana był szara i pozbawiona życia, tu i ówdzie wystawała naga ziemia.

Jak okiem sięgnąć ciągnęła się przed nim martwa pustynia, krąg śmierci.

Mimo śmiertelnego zmęczenia barbarzyńca zaczerpnął powietrza i ruszył naprzód. Nie wiedział, czy tajemnicza bariera na długo wstrzyma lwy, toteż wołał odejść od nich jak najdalej.

Wkrótce dostrzegł przed sobą wielką, czarną plamę. Księżyc nadal świecił jasno, lecz w dali nie widać było niczego. Ciemny masyw mgły w martwym stepie przypominał ispolińskiego bożka, wyrąbanego w czarnej skale przez dawnych kapłanów. Conan szedł, trzymając miecz w pogotowiu.

Stopniowo czarna chmura nabrała zarysów na wpół zrujnowanej twierdzy. Conan nie miał pojęcia, komu mogło przyjść do głowy wznieść zamek pośrodku sawanny, przy tym jeszcze w tak dziwnym stylu. Wykonana z twardego, czarnego kamienia budowla ozdobiona była mnóstwem kolumn, tarasów i wieżyczek. Jej naczelną cechą zdawał się być niewyjaśniony brak harmonii, wystarczyło przesunąć spojrzenie po załamaniach zębatych ścian, by dostać zawrotu głowy. Zupełny brak konstrukcyjnej logiki nasuwał wniosek, że budowniczy był niezupełnie przy zdrowych zmysłach.

Wreszcie Conan oderwał wzrok od ruin. Teraz rozumiał, dlaczego lwy zostawiły go w spokoju. Otoczona aurą zła twierdza była źródłem śmiertelnej grozy. Być może czarny zamek stał tu niejedno tysiąclecie i zwierzęta unikały go już instynktownie.

Nagle blade oblicze księżyca skryło się za ciemnymi, burzowymi chmurami, gdzieś w dali odezwał się grom, rozjarzyła się błyskawica. Jeszcze chwila, a rozszałe się silna, tropikalna burza.

Conan zamyślił się. Twierdza przyciągała go, mógł skryć się tam przed deszczem, a poza tym zaspokoić swą ciekawość. Barbarzyńca nienawidził jednak wszystkiego, co nadprzyrodzone, a czarny zamek wyraźnie miał związek z magią. Nie bał się niczego, co ziemskie, lecz niebezpieczeństwa innego świata przyprawiały go o zawrót głowy.

Grzmot przetoczył się nad nim i Conan musiał podjąć decyzję. Zaciśnął zęby i mocno chwyciwszy obnażony miecz, ruszył pewnie ku ciemnemu portalowi.

Conan szedł powoli po pustej sali z wysokimi sklepieniami. Czarna posadzka pokryta była grubą warstwą pyłu i suchych liści; pod masywnymi kamiennymi kolumnami leżały stosy zbutwiałych odpadków. Wyglądało na to, że nikt nie mieszkał tu od kilku stuleci.

Na chwilę zza chmur wyrztał księżyc i oświetlił salę. Miała wysokość dwóch pięter, wzdłuż jej obwodu ciągnęły się galerie. Conana zaintrygował ten stary zamek — położony na środku sawanny, setki kilometrów od najbliższej osady. Chodził krętymi korytarzami i zaglądał do zasypanych pyłem komnat, których przeznaczenia nawet nie potrafił odgadnąć.

Czarny zamek był przerażająco ogromny i mogły się z nim równać jedynie świątynia boga — pająka w zamoryjskim Yezudzie oraz turański pałac króla Ildiza w Agrapurze.

Całe skrzydło zamku leżało teraz w ruinach, lecz nawet to, co pozostało, przewyższało wielkością wszystkie budowle, które Conan widział w swym życiu. Trudno było ocenić wiek zamku. Zbudowany był z czarnego onyksu, lecz Conan nigdy nie spotkał w tych okolicach tego kamienia. Zapewne materiał przywieziono z daleka, lecz komu to było potrzebne? Niektóre szczegóły dziwnego zamku przypominały stare cmentarzyska znieawidzonej Zamory. Inne przywoływały na myśl zakazane świątynie dalekiej Hyrkanii; widział je, gdy służył jako najemnik u Turańczyków. Nie mógł jednak zrozumieć, czy to grobowiec, pałac, czy też świątynia.

Towarzyszyło mu niejasne poczucie zagrożenia — w miejscu tym było coś wstrętnego naturze człowieka. Jeśli wygląd zewnętrzny można było jeszcze porównać do jakichś kanonów, wewnątrz nie przypominało niczego.

Stopnie schodów były znacznie szersze i niższe, niż potrzeba, zaś otwory drzwiowe wysokie, lecz wąskie, i Conan z trudem się przez nie przeciskał.

Na ścianach pyszniły się reliefy ze skomplikowanych wzorów geometrycznych, przypominające symbole ezoteryczne. W pewnej chwili Conan zauważył, że z trudem odrywa wzrok od przemyślnie spletających się linii — zupełnie jakby go hipnotyzowały.

Wszystko w tej straszliwej kamiennej twierdzy przypominało o węzach — kręte korytarze, wijące się ornamenty. Nawet w powietrzu czuł jakby unoszący się zapach gadów.

Conan zatrzymał się zadumany. Może dziwny zamek wzniesli ludzie — węże dawnej Waluzji, których ślady ginęły w nieprzeniknionych mrokach dziejów? Olbrzymie gady władowały ziemią jeszcze przed powstaniem Siedmiu Cesarstw, przed Katastrofą i zanim Atlantyda zatонуła w wodach Zachodniego Oceanu. Większość z nich wymarła na długo przed pojawieniem się człowieka.

Przy ogniskach surowej Cymmerii i w marmurowych świątyniach Nemedii słyszał legendy o Kullu, potężnym królu dawnej Waluzji. Ludzie-węże za pomocą magii nauczyli się przyjmować ludzką postać, co pomogło przeżyć niektórym z nich. Kull odkrył tajemnicę przemiany i w całym królestwie ogniem i mieczem wytrzebił owe gady.

Bardzo możliwe, że ten obcy zamek to pozostałość owych na pół zapomnianych czasów, kiedy ludzie walczyli z gadami o władzę na planecie.

O kamienie zastukał deszcz, woda zaczęła płynąć cienkimi strużkami przez zmurszały dach. Grzmoty ścichły szybko i burza odeszła na zachód, a w okna zamku zajrzał jasny księżyc. Lecz za tą burzą spieszyły następne i na wschodzie znowu zajaśniały błyskawice.

Conan drzemał niespokojnie w kącie galerii, wiercił się i mamrotał jak dzikie zwierzę, wyczuwające zbliżającego się wroga. Spanie w sali z rozwartymi drzwiami nie wydawało mu się bezpieczne — nie liczył zbytnio na to, że nieznana siła utrzyma mieszkańców sawanny za granicami martwego kręgu.

Z dziesięć razy budził się, podrywał, chwycił za miecz i nieufnie wpatrywał się w niewyraźne cienie pośród ruin. Nie widząc niczego, ponownie układał się do drzemki, lecz cienie znów go obstępowały i rozlegały się jakieś szepty.

Wreszcie barbarzyńca miał tego dość, przeklął i cienie, i szepty, pomodlił się do wszystkich swoich bogów i zasnął.

We śnie, który mu się przyśnił, wszystko działało się jak na jawie. Niematerialne oczy jego „ka”, jak mówili Stygijczycy, patrzyły na galerie, zalane mętnym krwawym światłem niewiadomego pochodzenia. Nie był to ani srebrzysty blask księżyca, ani rozbłyśki dalekich błyskawic.

W czerwonym świetle, między kolumnami wisały niby nietoperze bezcielesne cienie. Migoczące oczy zdradzały zwierzęcy głód; zamek wypełniał się dziwnymi odgłosami — kakofonią szepcowań, złowieszczonego chichotu i zwierzęcego wycia.

Dla „ka” Conana nie było tajemnicą, że szepczące cienie są widmami istot, które tu zginęły. Budowniczości prastarego zamku — czy byli nimi ludzie-węże z waluzyjskiej legendy, czy jakaś inna zapomniana rasa — skropili marmurowe ołtarze krwią tysięcy ofiar. Dusze owych nieszczęśników z pewnością przykute są do zamku potężnym, starym jak sama ziemia zaklęciem. Może właśnie owo zaklęcie odstraszało stepowego zwierza. Lecz nie było to wszystko. Widma czarnego zamku pragnęły świeżej krwi — krwi Conana. Jego wyczerpane ciało leżało pogrążone w głębokim śnie, a cienie tymczasem unosiły się wokół, przebierając bezcielesnymi palcami.

Duch jednak nie może wyrządzić krzywdy żywej istocie. Musiałby wcześniej przyoblec materialne kształty. Hordy trajkoczących zjaw były zbyt słabe. Wyczerpane długim głodowaniem widma nie potrafiły już zmienić się w wilkołaki.

Donnell Tim - Conan I Widmo Przeszłości

I duch śpiącego Conana w jakiś sposób o tym wiedział. Kiedy ciało spało, jego „ka” wciąż obserwowało wydarzenia. Tuż przy głowie Conana wampiryczne cienie trzepotały niematerialnymi skrzydłami, drapały niewyczuwalnymi pazurami jego pulsujące gardło. Zjawy wściekały się, lecz nie mogły zrobić mu żadnej krzywdy. Spał jak zaklęty. Po jakimś czasie w czerwonym astralnym blasku zaszła zmiana: majaki zwały się w bezkształtne skupiska. Nieznośny głód zmusił wampiry do strasznego przymierza i zlewały w jedno biedne resztki swych sił. I oto w realnym świecie zaczęła nabierać kształtów demoniczna istota, odżywiona życiową siłą dziesięciu tysięcy widm. Z wiru cieni w mroku marmurowego balkonu powoli zaczął się wyłaniać czarny zarys. A Conan wciąż spał.

Rozległ się ogłuszający trzask piorunu. Księżyc znowu schował się za chmurami, nad pociemniałą równiną załśniła błyskawica. Burzowe niebo rozwarło się i na sawannę lunęły potoki wody.

Przez całą noc polujący na niewolników Stygijczycy jechali południowym skrajem Kushu. Wyprawa wyglądała na nieudaną: ani jeden czarnoskóry hodowca bydła nie wpadł im w ręce. Być może wojna lub zaraza oczyściły sawannę z ludzi, a może ktoś ostrzegł plemiona o pojawieniu się myśliwych.

Kierwali się teraz do dżungli w nadziei, że tam im się lepiej powiedzie. Leśni murzyni mieszkali we wsiach, które najprościej otoczyć o świcie i łowić mieszkańców jak ryby w sieci. Starych, dzieci i chorych zabijają na miejscu, pozostałych zwiążą i pogonią na północ. Stygijczyków było czterdziestu. Jechali na dobrych koniach, w hełmach i długich kolczugach. Wysocy, śniadzi siłacze o twarzach jastrzębich nie znali ni strachu, ni litości. Zabicie człowieka było dla nich równie proste, jak zgniecenie komara.

Burza rozproszyła sformowaną kolumnę. Błyskawice oślepiły wojowników, wiatr wydymał wełniane peleryny i lniane koszule, chlastał po twarzach grzywami koni. Nagle jaskrawy rozbłysk oświetlił sawannę i za ciężką zasłoną deszczu Stygijczycy zobaczyli ogromny zamek. Dowódca wydał rozkaz, spał wronego konia i pogalopował ku czarnym ruinom. Jeźdźcy ruszyli za nim. Rozległ się głośny tętent kopyt, dzwonienie kolczug i szczęk oręża. Stygijczycy spieszyli, by skryć się przed deszczem, toteż nie zdziwił ich wygląd zamku.

Wchodzili do środka, tupiąc nogami, klnąc i strząsając wodę z peleryn. Zebrali chrust oraz suche liście i wykrzesali ogień, który wkrótce dymił potężnie na marmurowej posadzce pośrodku sali; jasnopomarańczowe odbłaski oświetlały przedziwne reliefy na ścianach. Ludzie pozbyli się przytroczonych toreb, rozwiązyli mokre burnusy i rozłożyli je do suszenia. Z trudem ściągnęli kolczugi i zaczęli wycierać je natłuszczonymi szmatami. Potem wydostali z toreb czerstwe placuszki i wbili w nie mocne, białe zęby. Na zewnątrz ryczała burza i jarzyły się błyskawice. Potoki wody wytryskiwały kaskadami przez spękania ścian, lecz Stygijczycy nie zwracali na nie uwagi.

Na galerii stał cicho Conan. Przebudził się i drżał całym ciałem — szum ulewy przełamał zakłęcie. Szukał oczami straszdyła ze swego snu. Błysnęło i barbarzyńcy wydało się, że w oddalonym końcu galerii majaczy jakaś czarna plama, lecz nie odważył się podejść bliżej. Kiedy rozmyślał, jak wymknąć się z galerii, omijając straszdyła, do zamku z tupotem i krzykiem wpadli Stygijczycy. Byli nie mniej niebezpieczni od widm — z zadowoleniem sprzedaliby Cymmerianina do niewoli. Nawet Conan, z całą swą niespożytą energią i żołnierskim mistrzostwem, nie oparłby się w pojedynkę czterdziestu dobrze uzbrojonym wojownikom. Jeśli natychmiast nie wymknie się z zamku, pochwycą go. Co lepsze — szybka śmierć czy dożywotnia katorżnicza praca w Stygii?

Stygijczycy odwrócili uwagę Conana od zjaw, lecz te także zainteresowały się nowo przybyłymi. Czterdziestu młodych, silnych wojowników stanowiło dla wampirów wspaniałą zdobycz. Zjawy spłynęły przez balustradę i spadły do sali niby jesienne liście. Stygijczycy rozłożyli się wokół ogniska. Przekazując z rąk do rąk flaszkę wina, gadali w swym gardłowym języku. Conan znał tylko kilka stygijskich słów, lecz z intonacji i gestów domyślił się, o czym mówią.

Dowódca, gładko ogolony olbrzym wzrostu Conana, namawiał swoich ludzi do spędzenia nocy pod dachem. Przetrzywiają ulewę w tych ruinach — dach tu i ówdzie jest w dobrym stanie — a o świcie znowu ruszą w drogę. Stygijczycy wysuszyli jeszcze kilka flaszek, ogrzali się, obeschli i ułożyli do spoczynku. Ognisko dogasało. Na prawdziwy ogień potrzebne są drwa, nie chrust.

Dowódca machnął ręką w stronę jednego z wojowników i coś powiedział. Stygijczyk wstał z niechęcią i naciągnął kolczugę. Najwyraźniej jako pierwszemu wypadło mu stanie na straży.

Przez jakiś czas wartownik z mieczem w ręce stał przy dogasającym ognisku, a wojownicy spali mocno. Od czasu do czasu Stygijczyk przechadzał się po sali, zatrzymywał się, by popatrzeć na kręte korytarze lub rzucić spojrzenie przez drzwi na zewnątrz, gdzie burza już cichła.

I gdy odwrócił się plecami do swych chrapiących towarzyszy, pokrył ich czarny cień. Pozbawiona kształtów, składająca się z tysięcy potępionych dusz substancja przemieniła się stopniowo w ohydne straszdyło. Ogromne, tłuste cielsko stało na dziesięciu krótkich nogach i wyciągało na wszystkie strony potworne łapy—macki. W miejscu szyi niby dziwaczne owoce sterczało mnóstwo głów. Jedne, z potarganymi czuprynymi i brwiami, przypominały ludzkie, inne były po prostu kawałkami żywego ciała, z beładnie umieszczonymi oczami, uszami, ustami i nosami.

Nawet najbardziej zuchwałemu śmiałkowi krew zastygłaby w żyłach na taki widok. Kiedy w nikłym świetle ogniska Conan zobaczył stugłowe straszdyło, włosy zjeżyły mu się na karku, a przez plecy przebiegły mrówki.

Straszdyło postąpiło niepewnie kilka kroków i dziesiątkiem szponiastych łap schwytiło pożądliwie najbliższego Stygijczyka. Człowiek obudził się i zakrzyczał, lecz koszmarnie Coś w tej samej chwili rozerwało swą ofiarę na części, a krew i wnętrzności bryznęły na wszystkie strony.

Stygijczycy natychmiast poderwali się na nogi. Nawet najbardziej zahartowani mordercy nie mogli powstrzymać krzyku na widok potwora. Na ich wrzaski wartownik odwrócił się i ruszył na pomoc kompanom. Dowódca, rzucając szybkie rozkazy, ruszył do walki. Zaskoczeni Stygijczycy chwycili za oręż, aby bronić się przed śmiertelnym wrogiem. Miecze rąbały bezkształtną tuszę, kopie przebijały rozdęte, galaretowate brzuszysko. Skręcające się odcięte maski padały z głuchym stukotem na posadzkę. Lecz straszdyło najwyraźniej nie odczuwało bólu. Zabijało jednego człowieka za drugim. Niektórym odrywało głowy, innych chwyciło za nogi i roztrzaskiwało o kolumny.

Na oczach Conana potwór zabił lub okaleczył piętnastu Stygijczyków, a straszliwe rany straszdyła zasklepiały się natychmiast. Na miejsce odrąbanych rąk i nóg wyrastały nowe. Conan zrozumiał, że wojownicy nie mają najmniejszej szansy na ratunek, i postanowił uciec, nim straszdyło dobierze się także do niego. Droga przez salę była zbyt ryzykowna, toteż wyszedł przez okno na rozsypujący się dach, który w każdej chwili mógł załamać się pod jego ciężarem.

Ulewa ucichła i zmieniła się w mżawkę. Niemal nad samą głową Conana zza chmur nieśmiało wyjrzał księżyc. Conan wychylił się przez parapet, odkrył oplecione lianami stopnie i spuścił się po nich z małą zręcznością.

Księżyc zaświecił pełnym blaskiem, jasno oświetlając podwórze, gdzie Stygijczycy przywiązali konie. Zaniepokojone dobiegającymi z zamku odgłosami rumaki rżały i biły kopytami. Raz po raz dzikie wycie zagłuszało inne dźwięki — to kolejny nieszczęśnik wpadał w łapy straszdyła.

Conan zeskoczył cicho na podwórze i rzucił się ku wielkiemu wronemu koniowi dowódcy. Barbarzyńcy potrzebny był oręż i zaopatrzenie. Kolczuga, którą nosił jeszcze jako rozbójnik i przyjaciel Belit, dawno już popękiała i przerdzewiała, a z plemienia Bambuła Cymmerianin uciekł tak, jak stał. W zamku pełno było sprzętu, lecz żadna siła nie zmusiłaby go teraz, by wrócił do strasznej sali, gdzie królowała wcielona śmierć.

Gdy barbarzyńca odwiązał upatrzonogo konia, z zamku wybiegł z krzykiem człowiek i rzucił się ku niemu. Conan poznał młodego wartownika. Zapewne dzięki hełmowi i kolczudze udało mu się uniknąć losu towarzyszy.

Conan już otworzył do niego usta. Nie odczuwał szczególnej sympatii do Stygijczyków, lecz skoro z całego oddziału uratował się tylko jeden człowiek, mógł zawrzeć z nim przymierze, choćby tymczasowe, dopóki nie dostaną się do najbliższej wsi.

Lecz nie zdążył powiedzieć nawet jednego słowa, gdy spostrzegł, że Stygijczyk wpadł w szaleństwo. Oczy błyskały mu dziko, z ust kapiała piana. „Idź do piekła, demonie!” — krzyknął i ostry nóż błysnął w świetle księżyca.

Instykt barbarzyńcy nie działał. Gdy tylko Stygijczyk znalazł się wystarczająco blisko, Conan obnażył miecz. Zadźwięczała stal i błysnęły skry. Kiedy przewracający dziko oczami szaleniec uniósł szablę do kolejnego ciosu, Cymmerianin wbił miecz w jego gardło.

Stygijczyk zachrypiał, kiwnął się i padł twarzą do ziemi.

Oparty o siodło Conan dyszał ciężko. Pojedynek był krótki, lecz zacięty — Stygijczyk okazał się niełatwym przeciwnikiem.

W pradawnych ruinach zaległa złowieszcza cisza, umilkły straszne krzyki. I nagle Conan

Donnell Tim - Conan I Widmo Przeszłości

usłyszał ciężkie, powłóczyste kroki. A jeśli pożądające krwi straszycło rozprawiło się ze wszystkimi w zamku, a teraz kieruje się na dwór?

Conan nie miał zamiaru wyjaśniać sprawy. Drżącymi rękami ściągnął z zabitego kolczugę, zabrał jego hełm z czubem z grubej skóry jakiegoś stepowego zwierza, pośpiesznie przywiązał trofea do siodła, dosiadł konia, ujął wodze i zdzielił wierzchowca piętami w żebra.

Koń galopem wyniósł Cymmerianina w pokryty step z pożółkłą trawą.

Z każdym uderzeniem kopyt schronienie pradawnego zła oddalało się.

Gdzieś w pobliżu chodziły głodne lwy, lecz to Conana ani trochę nie obchodziło. Po upiorach czarnej twierdzy z radością zmierzyłyby się ze zwykłymi drapieżnikami.